

Nina Biczuja

# KWIECIEŃ W CZÓLNIE



NINA BICZUJA, ur. w 1937 r. w Kijowie, należy do grona tych współczesnych pisarzy ukraińskich, których twórczość cieszy się dużą popularnością nie tylko na Ukrainie — jej utwory są tłumaczone m. in. na język rosyjski i węgierski.

Zadebiutowała w 1966 r. książką dla młodzieży „Wakacje w Światłogorsku”. Potem ukazały się: „Szpada Sławka Berkuta”, „Drohobycki liczygwiazda”, „Glistnik”. Większość swoich opowiadań kieruje pisarka do młodszych czytelników, jednak ze względu na problemy, które w nich porusza, są one chętnie czytane także przez dorosłych. Zajmują ją głównie pytania etyczno-egzystencjalne, zagadnienia dobra i zła, odpowiedzialności i obowiązku.

Zbiór opowiadań „Kwiecień w czólnie” jest debiutem pisarskim Niny Biczui w Polsce.

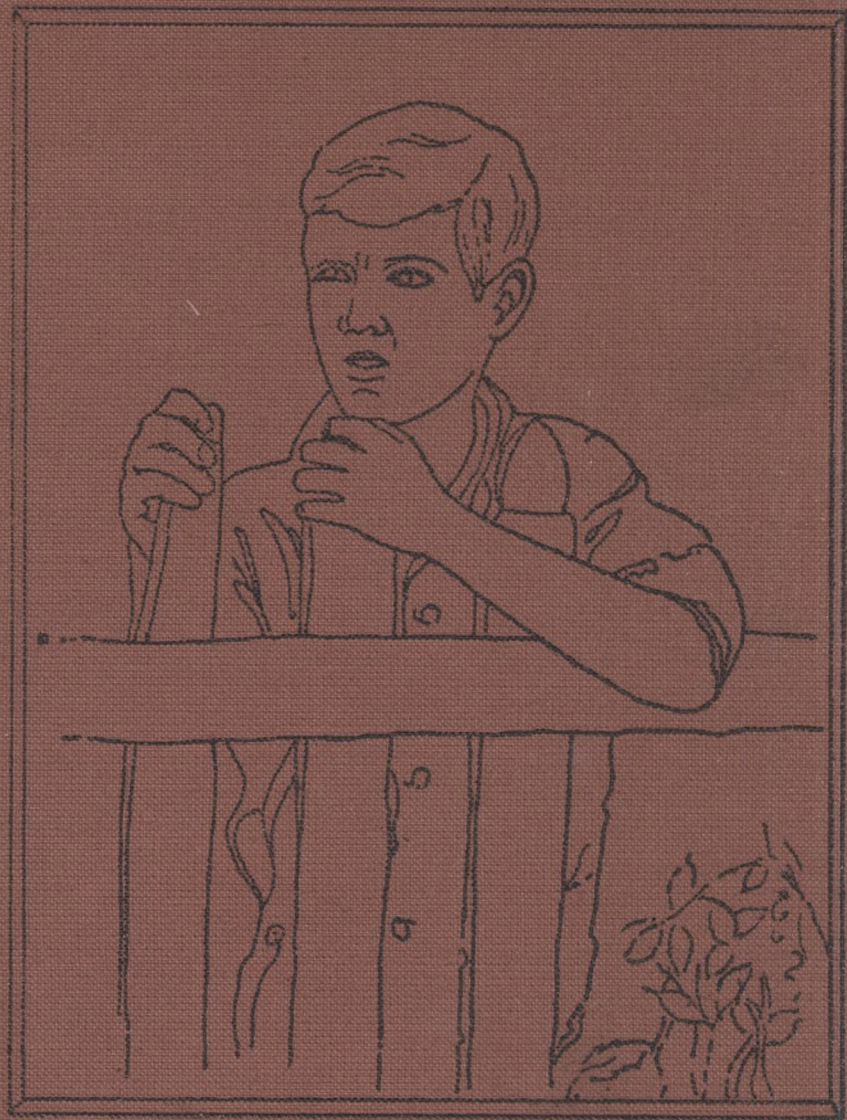


Пол/п

В 583

Nina Biczuja

# KWIECIEŃ W CZÓLNIE





---

KWIECIEŃ  
W CZÓŁNIE



Tytuł oryginału  
KWITEN' U CZOWNI

Nina Biczuja

# KWIECIEŃ w CZÓŁNIE



Przełożyła  
MARIA DOLIŃSKA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Okladka i karta tytułowa  
JERZY KOSTKA

ISBN 83-222-0145-1

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie Lublin 1981



## BIAŁA WIŁA

*Niechaj nikt po mnie nie płacze*  
*Lesia Ukrainka*

W nocy przyleciał Perełesnik \*. Stałaś w płomieniach od ognia, którym cię obdarzył, i spalałaś się, by o świcie odrodzić się w słowie.

Skończywszy pracę artysta przez dłuższy czas nie śmiał spojrzeć na swe dzieło z dystansu, bezstronnie, żeby je ocenić bodaj dla siebie.

Nie żałował, że wybrał taki właśnie materiał: ciepła, miodowa żółtość najlepiej harmonizowała z jego zamysłem, a miękkie linie, które nakreśliła natura na wrażliwym drewnie gruszy, stały się również częścią artystycznej koncepcji; szkoda było dotykać czarną farbą świeżych, jasnych wgłębień; wiedział zresztą, że powielony w mnóstwie może nawet dobrych odbitek drzeworyt zatraci coś ze swojej pierwotnej szczerości i wartości. Czarno-białe, ostrzejsze i bardziej skonstrastowane rozwiązanie obrazu okaże się może nie takie jak to, niemal żywe, wykonane w drzewie.

Chciał również zachować poczucie więzi z obrazem, nie pozwolić mu, by się oddalił i zbytnio usamodziel-

---

\* Postać fantastyczna. Jako ognisty smok Perełesnik nawiedza kobiety i kusi je.

nił, żył własnym życiem — artysta poczułby się wtedy ogołocony z czegoś, pozostawiony sam na sam ze swoim własnym, zwyczajnym „dzień jak co dzień” i kto wie, na jak długo — aż zrodzi się nowy zamysł i ogarnie go znowu twórczy zapał. Jednocześnie był rad, że się w końcu uwolnił od zamysłu, od koncepcji i wizji, które żyły w nim dotąd, bezustannie i natrętnie domagając się ujawnienia w realnym, fizycznym kształcie.

Nocą przyleciał Perełesnik i śmierć skuliła się na progu, nie odważyła się go przestąpić, bojąc się ognia, którym płonęła chora. Łesia lubiła kontrasty, najlepiej krystalizowała się w nich jej myśl — może dlatego w ostatnich dniach życia tak pragnęła napisać o wieczności, może dlatego wśród gór Kaukazu przywidziała się jej pustynia.

— Pamiętasz swoją obietnicę, Łesiu? — powiedziała matka. — Chciałaś przecież coś napisać dla tego wydawnictwa „Argo”.

Wierzyła matka, że jej śmiertelnie chora córka jeszcze coś potrafi robić, czy nie wierzyła? Wierzyła, czy też chciała po prostu uspokoić i siebie, i ją, odwrócić myśli w inną stronę, wyrwać się bodaj na chwilę z otchłani beznadziejności?

Łesia nie była w stanie zastanawiać się nad tym, więc odpowiedziała:

— Pewnie, że pamiętam, mamusiu, było to wiosną, po podróży do Egiptu, prawda?

Pustynia rodziła dziwne rzeczy. Żółty piasek po tysiącletniach oddawał ludziom korony królewskie, resztki starych budowli i nawet kruche papirusy, na których zapisane były myśli trwałe i wieczne jak sama pustynia.

Na pustyni rodził się także chamsin, rudy jak ogień i zły jak rozpacz, i zrodziła się wtedy w Egipcie beznadzieja, lecz także i iskierka wiary w duszy Łesi.

Ktoś smagły i smutny jak Izolda o Białych Dłoniach, ktoś gdzieś daleko, w zielonych bukowińskich górach otwierał koperty z egipskim stemplem i słowa paliły kogoś jak podmuchy wiatru egipskiego...

*Na leżących pada światło słoneczne i patrzą na nich gwiazdy, egipski zachód słońca roztacza przed nimi kosztowną purpurę, a złota pustynia tka przed ich oczyma swoje gorące południowe marzenia — wszystko to jeszcze nie jest mi zabronione...*

— Mamo, weź papier. Chcę spróbować, jak by to mogło wyglądać. A potem, kiedy wstanę, koniecznie napiszę poemat dramatyczny.

Matką przygotowała się do zapisywania, a przed oczami Łesi stanął Egipt; najlepiej pamiętała twarze i kraje widziane w dzieciństwie, ale Egipt też dobrze zapamiętała.

*...Na widnokregu bezkresne złote piaski, a wzdłuż linii kolejowej, nad wodą faluje złota pszenica, faluje, zda się, toczy się na pustynię jak złote morze. W Egipcie zaczynają się żniwa...*

— Zapisujesz, mamo?

— Przecież nic nie mówisz, Łesiu, co mam pisać?

— Rzeczywiście? Więc będę już mówić, słuchaj.

*Na przedmieściu Aleksandrii mieszka grecka (helleńska) rodzina, a są to czasy, kiedy nowa wiara już się umocniła i z kolei zaczęła uciskać i przepędzać ludzi, co trzymali się starej wiary i rozmiłowani byli w dawnej nauce.*

*Teokryt, wielce uczony Grek nie jest chrześcijaninem. Rozmiłowany w starych pismach posiada całą bibliotekę papirusów. Jego dzieci, siedemnastoletni syn i piętnastoletnia córka zdobywają starą wiedzę i wierni są dawnej religii.*

*Jest pogodny dzień, popołudnie. Syn i córka Teokryta siedzą na dziedzińcu swego domu; syn czyta i opowiada sio-*



strze. Przychodzi starszy człowiek, sąsiad, mocno wzburzony i mówi dzieciom, że ich ojca schwytano na stopniach świątyni; uwięziono go za to, że „szerzył herezję”, głosił prawdy greckich filozofów, zniechęcał ludzi do dogmatów wiary chrześcijańskiej. Teokryt mówi: „nie ma rabów bożych”, są i powinni być ludzie wolni „ciałem i duchem”.

— Nieszczęścia tylko patrzeć — powiedział stary. — Przyjdą także do waszego domu, zabiorą wszystkie papirusy, zniszczą i spalą jako pisma heretyckie, pogańskie.

Dziewczyzna płacze, potem naradzają się oboje z bratem, co robić. Postanawiają, że ukryją bodaj najcenniejsze papirusy... Czekają wieczoru martwiąc się, czy zdążą je ukryć... Nocą zapalają światło w skarbcu, wybierają papirusy znajdujące się w komnatach. Idą i ukrywają je na pustyni, po prostu w piasku... Chłopiec groźnie potrząsa wzniesioną ręką:

— Niechaj będzie przeklęta ta ziemia i niechaj wiecznie przeklęci będą ludzie, którzy karzą śmiertcią mądrość! — Niechaj wiecznie przeklęci będą...

Różowe sfinksy. Dagabia, duża barka o białych żaglach, płynie w górę Nilu. Ruiny starych świątyni w Luksorze, Karnaku, na Elefantynie. Żniwa w Egipcie. Chamsin. Tak bardzo chciałabym to jeszcze raz zobaczyć!

— Może zmęczyłaś się, Łesiu? Już dosyć, odpocznij, potem dopiszemy, mamy jeszcze czas.

— Mamy czas? Nie mam czasu, mam. Niegdyś nie bardzo umiałam go cenić, marnowałam niepotrzebnie i dlatego wciąż mi się zdawało, że ucieka ten czas przede mną, nie wiedziałam, jak go zatrzymać... Mam, wykreśl te ostatnie linijki z przekleństwem, nie chcę przekleństw. Niech dzieci wierzą, że nastaną dla nich lepsze czasy, że ktoś znajdzie kiedyś te skarby i dostąpi wielkiej mądrości. Skończy się zaraz noc, wzejdzie słońce i dzieci padną na kolana. Niechaj ostatnim akordem będzie modlitwa do Heliosa...

Notatki pozostały notatkami. Zamysłowi temu nie sądzona była realizacja. Zapisany ręką Ołeny Pczyłki zarys utworu wydrukowano w tomie „Argo”, ale już po śmierci Łesi.

Myśl i wizja żyły w artyście od dawna, zrodzone tak znienacka i niespodzianie, jak rozbłysła nagle błyskawica, i dlatego nie zdołał rozpatrzeć ich od razu, uświadomić sobie i wyrazić, więc pozostały w nim początkowo nieukształtowane, bez wyraźnych konturów, prawie nieokreślone. Ale nawet takie nieokreślone i właśnie z powodu tej nieokreśloności nie odstępowały go i prześladowały, przeszkadzały myśli ogarniać nowe przestrzenie i nawet wtedy, kiedy myślał o czymś zupełnie innym i dalekim, myśl wracała mimo wszystko do tego jednego, co nie zdołało od razu dojrzeć i nie znajdowało rozwiązania.

Że nie powinien to być zwyczajny portret, wiedział z całą pewnością: w takim portrecie musiały się znaleźć elementy podobieństwa, byłby więc zmuszony korzystać z prac innych malarzy. Portrety mogą malować tylko współcześni — w każdym razie takie było jego własne i niezłomne przekonanie; nie pozostało mu więc nic innego, jak szukać zupełnie innego ujęcia jej natury czy charakteru lub istoty. Chociaż nie zamierzał malować portretu, w którym wysuwałoby się na plan pierwszy zewnętrzne podobieństwo, trochę mimo wszystko zazdrościł Truszowi i Kraszyckiemu, którzy mogli malować jej wizerunek z natury, jakkolwiek zazdrości tej towarzyszyło przy tym poczucie pewnej nad nimi przewagi.

Zawdzięczał tę przewagę dystansowi czasowemu, który dzielił go od niej. Trusz musiał widocznie zdawać sobie sprawę, że ma przed sobą wyjątkową indy-

widualność, ale kiedy spotykamy się z niezwykłym człowiekiem w jak najbardziej zwykłych okolicznościach, rozmawiamy z nim, pijemy razem kawę, żartujemy, widzimy, jak się ubiera i jakie ma przyzwyczajenia, a te nie zawsze się nam podobają, niekiedy mogą nas nawet irytować, pod wpływem tej codziennej rzeczywistości zatracamy niewątpliwie poczucie istotnej wartości owego człowieka. Trusz był jej współczesnym, ale trzeba perspektywy czasu, żeby zrozumieć sens tego, czego Łesia dokonała, żeby zrozumieć jej wielkość i zbliżyć się do tej indywidualności.

Urwawszy się z kotwicy, miasto popłynęło w ciemność i zabrało z sobą cały nerwowy, nieustanny, zgiełkliwy i uciążliwy ruch, jak zabiera go w nieznaną statek wypływający z przystani w morze, ja zaś pozostałam sama jedna wśród pustyni.

Nad nagą, żółtą płaszczyzną wschodziło powoli tak samo żółte słońce, nie było nic prócz słońca i pustyni, nie zasnutej nawet mgłą, a na tej pustyni musiałam odnaleźć rękopis, który kiedyś, w pradawnych czasach pozostawiło tu dwoje dzieci, brat i siostra.

Rozumiałam całą nadaremność mego zamiaru, całą beznadziejność próby odnalezienia czegoś na tej żółtej pustyni i mimo to szłam naprzód (czy może wstecz?) pragnąc przeszukać wszystko i znaleźć te niewątpliwie bardzo ważne słowa na papirusie. Przecież ukryło je dla kogoś dwoje dzieci, które ratowały myśl swego ojca, nie mogąc ocalić jego samego. Dwoje dzieci na pustyni wznosiło ręce do słońca nie przeklinając, lecz modląc się: „Heliosie! Ratuj nasze skarby! Powierzamy je tobie i złotej pustyni” — słabe i bezbronne wydawały mi się te dzieci, żałowałam, że mam tak mało władzy nad słowem, że brak mi odwagi, by dopisać



ciąg dalszy tego, czego nie pozwoliła jej dokończyć śmierć, bo czyż nie usiłowano przez długie lata po znalezieniu Nike z Samotraki odtworzyć jej twarzy, ruchu głowy, linii rąk? Czemuż nie spróbować i nie dopisać tego, co nie zostało dopisane, czemu nie odnaleźć manuskryptów ukrytych w piasku pustyni, czemu nie uwolnić dwojga dzieci od wiecznej wątpliwości, czy daremna, czy też niedaremna była w ich życiu ta chwila, kiedy przezwyciężając strach postanowiły ocalić mądrość przodków, mądrość swego ojca?

Cóż, że poszły na marne wszystkie próby odtworzenia głowy skrzydlatej Nike, nie takie to już ważne — ważniejsze były same usiłowania, by wnikać w koncepcję, w zamysł twórcy, ważniejsza była śmiałość pozwalająca potomkom podjąć się takiego zadania.

Dlaczego nie dopisać tego dalszego ciągu, żeby jakoś uzbroić w ten sposób dwoje dzieci na pustyni?

Stałam niezdecydowana przed dwiema możliwościami i nie wiedziałam, na którą mogę się odważyć.

Po każdym dwugodzinnym seansie Trusz bywał szczególnie delikatny i uprzejmy, ale podczas pracy wydawał się wprost bezlitosny, jakby ten portret, który zaczął malować, był czymś najcenniejszym na świecie. Łesi nieobcy był taki stan ducha i stosunek do pracy, rozumiała Trusza i wcale się nie gniewała. Poza tym, że musiała najzwyczajniej pozować, przykra i bardzo męcząca była jej własna bezczynność podczas tych godzin, które osobiście dla niej były, prawdę mówiąc, zmarnowane — tyle tylko, że mogła obserwować całkowicie pochłoniętego pracą Trusza. Przyglądała mu się, kiedy tak pracował i dziwiła się, jak może to robić pod jej baczny spojrzeniem, nawet nie zwracając na nią uwagi, widząc w niej tylko model, źródło

inspiracji. Zazdrościła Truszowi, bo sama by tak nie potrafiła. W ogóle ta wiosna w Kijowie nic jej właściwie nie dała, zbyt wiele było wrzawy i codziennych kłopotów: chorowała jej siostra Oksana, przyjechał i znowu wyjechał ojciec, długo i denerwująco wybierała się w drogę do Hadiacza matka, a potem znów święta z pieczeniem, smażeniem i gotowaniem, z gośćmi, których trzeba było przyjąć jak przystało dobrej gospodyni, ale jaka z niej gospodyni, nie umie przecież gotować, potrafi chyba tylko upiec smaczny keks angielski i zrobić dobry kruszon lub poncz. Zresztą duże towarzystwo jest trudne do zniesienia zarówno w święta, jak w dni powszednie — najlepiej czuła się w samotności, sam na sam nawet z tym strasznym bólem, od którego wydawała się sobie cieniem z dan-tejskiego Piekła — przecież w samotności tak się jej dobrze pisało, natchnienie też lubiło samotność i nocną ciszę, północna pora — to najlepszy czas do pracy.

Wiosna w Kijowie była w tym roku chłodna, a Łesia marzyła o ciepłe, wciąż jej się przypominała ta rzeczywiście wyjątkowo piękna wiosna w Kołodiaznem, jedna z tych nielicznych wiosen, spędzonych na obczyźnie. Zdawało się, że chyba z całego świata zleciały się tam kukułki, a dzięki ich nie milknącemu kukaniu czyła się dobrze i było jej wesoło. Ponadto czekał na nią w Kołodiaznem różowy pokój z białym deseniem i pewna miła jej i droga rzecz, do której tęskniła, gdziekolwiek się znalazła, gdyż czuła się bez niej jak bez rąk i bez pióra — biureczko, na którym pisała. Co robić, przyzwyczajają się człowiek do rzeczy, tym bardziej kiedy wiąże się z nimi tak wiele jak na przykład z takim biureczkiem czy fortepianem... A mimo wszystko nie jest znów taka zła ta wiosna w Kijowie, Łesia akompaniowała przecież pewnej śpiewaczce na wieczórce poświęconym Heinemu.

Zimno jest jak jesienią. Trusz urządził sobie pracownię w gmachu muzeum miejskiego. Łesia musiała chodzić tam, na ulicę Ołeksandriwską z daleka, traciła na drogę jakieś półtorej godziny, ale Trusza to nie obchodziło, odpowiadało mu tam oświetlenie czy coś jeszcze, co wiedzą i rozumieją tylko sami malarze, i nie interesowało go nic innego. Gmach muzeum dopiero co zbudowano, jest zupełnie nowy, zalatujący tynkiem, wydaje się niemal nie zamieszkały i nieprzytulny — gdyby tak zapalić na środku pracowni sobótkowe ognisko i pogrzać się przy nim.

— Zimno pani, panno Łesiu? — domyślił się wreszcie Trusz. — Jeżeli tak, może na dziś wystarczy?

— Skoro dobrze się panu pracuje, to pomarzę jeszcze trochę, jestem cierpliwa.

Cierpliwa! Miała kilka dni temu bynajmniej nie lekki atak i musiała radzić sobie sama, nie było nikogo, kto by dopomógł, zmuszała się do przewyciężenia dreszczy i apatii, kazała sobie wrócić do życia.

Trusz ochłonął widocznie ze swego roboczego transu, ciągnął bowiem rozmowę.

— Panno Łesiu, chwalono pani referat. Włożyła pani w ten wieczór wiele trudu. I dobrze pani zrobiła, trzeba było koniecznie przypomnieć w Kijowie Heinego.

— Uważałam to za swój obowiązek, zwłaszcza że wiele jego wierszy przekładam... Ale ta nasza kijowska publiczność — tak trudno coś przygotować na oznaczony dzień, w dodatku nie było śpiewaków, trzeba było uczyć wszystkiego. A zresztą, czuję, że brak mi zdolności organizacyjnych, tak, tak.

— Ależ nie, panno Łesiu, jest pani świetnym organizatorem. Wieczór był udany i wszyscy bardzo go chwalą!

— Och, ci Galicjanie! Umieją prawić komplementy!

— Więc pewnie dlatego zaprzyjaźniła się panna Łe-



sia z tymi Galicjanami, tyłu ma wśród nich przyjaciół?

Rzeczywiście, tyłu przyjaciół. Takich, bez których nie warto byłoby żyć i pracować. Franko, Pawłyk — pewnie, ci są najbliżsi. W rozmowie z Pawłykiem może być taka szczerza, jak chyba z nikim innym prócz brata i młodszej siostry.

— Przyjaciele pani — to prawdziwi patrioci swojej ziemi i ojczystej literatury, gotowi są życie poświęcić, byle rozwijała się literatura i zdobyła należne jej na świecie miejsce — poważnym już tonem ciągnął Trusz. — A propos literatury: Hnatiuk pyta w liście, dlaczego nie posyła pani swoich utworów do druku?

— Dziękuję za wiadomość, przygotowuję je, pamiętam, samej mi na tym zależy, panie Iwanie... A jeżeli chodzi o patriotyzm — nazwać Frankę i Pawłyka patriotami — to za mało. Widzi pan, całe nieszczęście, że tak dużo ludzi uważa, iż niby to wystarczy mówić po ukraińsku, a tym bardziej pisać — i ma się już prawo do miana patrioty pracującego na ojczystej niwie, a wcale tak nie jest. Kryje się czasem za takim patriotyzmem ograniczenie i niezrozumienie naszych obowiązków względem ludu...

Myślała w tej chwili o Serhiju Merżynskim. O jego niedawnym przyjeździe do Kijowa w sprawach socjaldemokratów, o tej intensywnej działalności, jaką rozwija, przy czym nikt nie zwraca uwagi, jaki zmęczony jest ten Merżynski, jaki chory. Powinien wyjechać z zimnego i wilgotnego Mińska na Krym, na słońce i dobrze by było, gdyby ona sama przeniosła się z Kijowa — bodaj na chutor... Bo rzeczywiście, dlaczego nie pojechać na lato do Hadiacza, nie uciec przed całym tym nawałem różnych zajęć i zabrać się do pracy, niechby tłoczyły się w głowie i wypierały wzajem niezliczone, rodzące się dopiero zamysły, niechby po-

jawiały się myśli i mówiły, że chcą żyć na świecie, prosiły się na papier — trzeba będzie tak zrobić!

Patrzyła na swój portret — dziwna jest jakaś, zasnutą, wprost zamglone smutkiem spojrzenie — cóż, może tak właśnie jest, bo nieczęsto potrafi się teraz roześmiać beztrosko i wesoło, jak śmiała się dawniej, w dzieciństwie. Jej własna twarz na płótnie, wyraz tej twarzy, malujący się na niej nastrój, który malarz uchwycił i odtworzył, były czymś nowym, nawet obcym — tak, jakby to nie ona, lecz ktoś inny pozował do portretu, ktoś do niej podobny, ale nie ona sama. A może była taka aż do tej chwili i dopiero co stała się tą inną, której Trusz jeszcze nie dostrzegł i nie zrozumiał? I która z nich jest prawdziwa? Ta, jaką widzi ona sama, czy ta, namalowana przez Trusza? Nie miała w sobie ani odrobiny próżności, nie zazdrościła innym sławy, była raczej skłonna do ascetyzmu, surowa, gotowa cierpieć i złożyć z siebie ofiarę na ołtarzu przyjaźni, gdyby ofiara ta była nawet daremna, gotowa była dźwigać krzyż jeszcze cięższy niż ten, który włożył jej na ramiona los (kiedyś żałowała, że nie może człowiek jak w bajce sam jeden wziąć na swe barki wszystkich na świecie nieszczęść i bólu wszystkich ludzi) — może chciała tego po to, żeby zmierzyć i dowiedzieć się, do czego człowiek jest zdolny, a może po to, by z żalem powiedzieć sobie i innym: widzicie, jak niewiele mogę — i chciała przy tym wiedzieć, co pozostanie po jej życiu dla tych, co żyć będą po niej. Niechaj pozostanie tylko to, co pisze. I niechaj pozostanie oto ta jej podobizna, niechaj ludzie widzą ją taką, jaką zobaczył Trusz, i niechaj nikt nawet po jej śmierci nie szuka szczelin, by podpatrywać jej minione życie, nie grzebie się w nim, bo nawet po śmierci sprawi jej ból czyjeś nieostrożne dotknięcie. Czy rzeczywiście muszą poeci, myślała nie-

jednokrotnie, żyć zawsze jakby na skrzyżowaniu wielu dróg i poddawać ludzkiej krytyce i potępieniu nie tylko swoje myśli i dzieła, lecz nawet własne życie? Dyskutowała kiedyś na ten temat z Kakowejem; przekonywała go, że każdy człowiek ma prawo bronić swej duszy i serca, żeby nie wdzierali się tam gwałtem obcy ludzie. A może tylko ona sama tak odczuwa, może nie udałoby się teoretycznie uzasadnić tego jej zdania — cóż, nawet teraz, zupełnie niedawno, na owym poświęconym Heinemu wieczorze słuchała z oburzeniem długiego referatu, eseju o życiu Heinego; tak wiele miejsca poświęcił tam prelegent literackiej plotce, a cóż właściwie za korzyść z takiego przetrząsania wszystkiego, co było w życiu zmarłego poety?

Może nie powinna się była zgodzić na to portretowanie, jeżeli naszedł ją z tego powodu taki smutek? Zmusiła się do uśmiechu — bardzo to miło ze strony Trusza, że z taką delikatnością znosił jej kiepski humor i zamyślenie.

— Wie pan, pewnego razu w Hadiaczu był u nas w gościnie pewien młody malarz, Fotia... Fotij Krasycycki i jakoś nie próbował mnie uwiecznić, chociaż wszystkich innych malował... Widocznie nie przypadłam mu do gustu.

— Mnie przypadła pani jak najbardziej, panno Łesiu, mam zamiar uwiecznić panią i zarazem swoje własne imię na portrecie pani.

Och, ci Galicjanie, umieją prawić takie wyszukane komplementy! Zachciało się jej nagle w tej chwili przemienić w dziwożonę o długich, połyskujących, zielonych włosach, przemienić się w dziwożonę w czujnym, oczekującym jakiegoś niezwykłego cudu odwiecznym wołyńskim lesie.

Skrecał się na wietrze żółty piasek, w którym pła-  
sał mały, chytry diablik, podskakiwał na cienkich,  
kosmatych nóżkach, czepiał się mnie i kusił mrużąc  
okrągłe, zielone oko: a gdybyś spróbowała zaludnić  
tę pustynię, przyprowadź tu dwoje dzieci z papiru-  
sami, niech ukryją swój skarb w piasku — zobaczy-  
my, co z tego wyniknie — a ponieważ ludzie nie  
umieją nic robić w milczeniu, więc muszą mówić tak-  
że te dzieci — dobrze będzie, jeżeli przemówią, a od  
ciebie już zależy, jakie to będą słowa!

Czułam, że to świętokradztwo, że nie mam prawa  
dotykać tego, czego nie dopisała Łesia — pokusa była  
jednak wielka, zbyt wielka — nie mogłam dłużej zno-  
sić samotności i żółtego piasku pustyni, tych chytrych  
diabelskich podszeptów i uległam w końcu, poddałam  
się, zmusiłam dzieci, żeby się pojawiły na pustyni.

Dziewczynka: Może tutaj, nigdzie żywej duszy,  
Żółta pustynia w krąg i milczenie.

Chłopiec: Dobrze, niech piasek skarb nasz ukryje.

Dziewczynka: Mądrość pod piaskiem... Słuchaj, braciszku,  
Jeżeli nigdy nikt tu nie przyjdzie,  
Umrze ta mądrość! I umrze prawda?  
To ojcu pomoc nieść należało!  
Bo samo słowo prochem jest marnym,  
Szmerem nieważkim i niepotrzebnym,  
Piaskiem sypkim, co go palce nawet  
W kształt nie ulepią żaden. A ojciec...

Chłopiec: Milcz. Przyszliśmy, niech więc zwątpienie  
Nie udaremni ważnego czynu,  
Owocu narad i postanowień.  
Niech zamiarowi zadość się stanie!

Dziewczynka: A nuż świątynię ktoś tu zbuduje?  
Wtedy już nikt nie znajdzie, nie zdoła...

Chłopiec: Skarb nasz kamieniem węgielnym będzie  
Świątyni nowej. A prawdę naszą

Niechaj odkryją ludzie i głoszą.  
Warto za triumf myśli zapłacić  
Życiem tym jednym...

Dziewczynka: Wszak ojciec zginie!

Chłopiec: Nie przypominaj! Czyżbyś myślała,  
Że nie boleję nad tym?

Dziewczynka: Nie będę...

Dwoje dzieci zabrało się do dzieła. Piasek osuwał się i osuwał, mordega to była wykopać w piasku skrytkę dla papirusów, a z daleka wyglądało tak, jakby to była zabawa, jakby dzieci budowały fantastyczny i kruchy zamek z piasku. Mogło się również wydać, że szukają i chcą znaleźć wodę na tej pustyni. Mały diablík śmiał się cicho z dziecięcego trudu, a gdzieś daleko, na pustyni rodził się wiatr i wzbijał tumany piasku, który smagał po powiekach i wgryzał się w oczy.

Dziewczynka: Powiedz, braciszku, skąd ci wiadomo,  
Że do świątyni tej nowej przyjdą  
Druhowie nasi, nie źli wrogowie,  
Mów, skąd wiesz o tym, kto ci powiedział!

Chłopiec: Prędzej, siostrzyczko! Nim przyjdą ludzie,  
Co żyć na świecie już po nas będą,  
Nim na pustyni wzniosą świątynię,  
Ktoś lada chwila przybyć tu może  
I nas podpatrzeć. A wtedy na nic  
Nadzieje wszystkie, bo nie zdążymy  
Z zadaniem naszym. Prędzej, siostrzyczko!

Widać było mimo wszystko, że nękały chłopca wątpliwości, jakkolwiek starał się nie słuchać podszeptów chytrego diablika, iż praca ich pójdzie ponoć na marne, chłopiec walczył odważnie z tymi swoimi wątpliwościami, które wypowiadała na głos jego naiwna siostra nie wiedząc, że nie należy wątpić; skończyli wreszcie pracę i chłopiec padł na kolana wyciągając ręce do słońca.



Chłopiec: O, Heliosie, dobry i wszechmocny,  
Tobie, coś z wszystkich bóstw najpiękniejszy,  
Skarb powierzamy wraz z tajemnicą  
I o opiekę kornie błagamy  
Aż do tych czasów przyszłych, wspaniałych...

Diabełek śmiał się do rozpuku, kryjąc się w skreconym na wietrze tumanie piasku, miotał się po pustyni, pokpiwając sobie z mojej bezsilności, że udało mu się skusić mnie i zmusić do robienia tego, czego robić nie umiałam. Rozumiałam, że nie mam nic, w co bym mogła uzbroić dzieci na pustyni, zdawałam sobie sprawę z własnej małości i niedoskonałości, z braku mądrości i mimo to chciałam, żeby dzieci te nie były nie-mie, żeby coś mówiły, czułam się bowiem taka osamotniona wśród piasków, a ten chytry diabełek wyśmiewał się z mojej bezsilności, póki nie wróciło wreszcie miasto wraz ze swoim uciążliwym ruchem, do którego byłam jednak przyzwyczajona, który był mi konieczny do życia.

Nawet teraz, kiedy dokoła było miasto, myślałam wciąż o tym, że skoro już zahaczyłam o tę sprawę, muszę znaleźć stary papirus, że jest to już teraz moim obowiązkiem. Bo inaczej, po co zmaćiałam dzieciom spokój i przyprowadziłam je na pustynię, dlaczego kazałam im coś tam mówić, na środku tej pustyni? Powinnam znaleźć papirus i przeczytać go. A mały diabełek wciąż się mnie trzymając trafił i do miasta, chodził za mną krok w krok i cieszył się, że taka jestem bezradna.

Swój portret zobaczyła Łesia jeszcze raz w rok później.

Umarł Merżynski. Smutek pędził ją po świecie, szukała jakiegoś kącika, w którym mogłaby zapomnieć. Pożądana była zmiana otoczenia, trzeba było spoty-

kać się z ludźmi, pracować. Wszystko to jakoś się jej nie udawało, nie miała chęci absolutnie na nic. Niby w kleistej cieczy pograżyła się w nieprzezwykłej apatii — trzeba się było zmuszać do wszystkiego i wymyślać sobie marzenia, których nie pragnęła. Niekiedy — aż do ostrego, niemal fizycznego bólu — pragnęła tylko jednego — żeby wszystko zaczęło się znowu, to nieprawda, jakoby jego śmierć zwalniała ją od ciężkich obowiązków ponad jej siły fizyczne i moralne, nieprawda, że ma teraz czas i prawo po temu, że musi koniecznie odpocząć i zrobić coś dla siebie — nic jej dla siebie nie trzeba, niechby się wszystko zaczęło i trwało bez końca, byle tylko żył i coś mówił, prosił ją, żeby zagrała czy poczytała lub po prostu pottrzymała jego rękę w swojej. Jednocześnie rozumiała, że śmierć uwolniła go od mąk, że nie było to już życie, że Merżynski umierał powoli przez całe miesiące i jego długa i ciężka agonia była męką również dla otoczenia.

Dlatego mijały dni — jeden, drugi, dziesiąty — i nie odczuwając pragnień i radości żyła jednak i dziwiła się, że zdolna jest do życia; gdyby mogła, prosiłaby go o przebaczenie, że żyje — bo jak mogła bez niego? Wciąż marzył o podróży — nad morze albo w góry — dlaczego ludzie przed śmiercią zawsze mówią o podróży? Daleka droga? Droga bez powrotu? Dobrze by było pojechać w góry. Na zieloną Bukowiinę, do kraju, który od dawna był jej tak drogi i wymarzony. W zazielenione wiosną góry.

Wiosną zawsze dręczyła ją febra, była wierniejsza od najwierniejszego druha, ale właśnie wiosną tak bardzo pociągała ją droga — może ze strachu przed febrą, która doskwierała szczególnie w domu, a może weszło to już w zwyczaj, bo konieczne były zawsze te wędrówki, by ratować zdrowie i walczyć o życie —

albo kto wie, może miała taką włóczęgowską naturę? Czy tak się rwała do podróży, bo zmuszała ją do tego choroba? A gdyby była zdrowa, czyż nie ruszałaby w drogę instynktownie, jak przelotny ptak? Co innego, że przyjemniej jest i milej podróżować z własnej woli i chęci, tak, to już zupełnie co innego.

— Gdybym miała zdrowie, byłabym drugim Przewalskim, mam taką włóczęgowską naturę — żartowała, ale nikt nie odpowiadał na jej żarty uśmiechem. A Łesia mówiła dalej z humorem: — Umarł we mnie wielki podróżnik i wielki muzyk, dobrze, że bodaj chwyciłam za pióro...

Pociągały ją góry. Droga z Kijowa na Bukowinę prowadziła przez Lwów. Gdziekolwiek zresztą jechała, do Warszawy, Wiednia czy San Remo, Lwów był zawsze na jej drodze.

W wagonie było duszno, aż słabo się jej robiło, a na lwowskim peronie wilgotny chłód zaatakował słabe płuca i wywoływał kaszel. Trusz ją oczekiwał, chwycił od razu w ręce niewielki jej bagaż i pojechali z dworca do hotelu.

— Wie pani, panno Łesiu, wczoraj trzy razy wychodziłem do pociągów, jakoś mi się wydawało, że ma pani przyjechać.

— Ładnie by to wyglądało, gdybym tak trzykrotnie wyjeżdżała w jednym dniu!

Szary, smutny Lwów w szarawej mżawce. Wiosenna lwowska słońca, na przemian deszcz i śnieg nie mogły jej wprowadzić w lepszy humor, przyjemna była tylko delikatność Trusza i jego gorliwa chęć niesienia we wszystkim pomocy. Hotel „Central” był bardzo przyzwoity, ale i tam było jej zimno. Pracownia Trusza, który też mieszkał w tym hotelu, znajdowała się obok pokoju Łesi. Trusz zapalił w piecu, żeby podróżniczka ogrzała się trochę, zamówił gorącą herbatę.

— Napije się pani herbaty, ogrzeje i od razu Lwów wyda się piękny, a słońca — rozkwitającą wiosną.

Łesia z przyjemnością piła herbatę trzymając filiżankę jak dziecko oburącz i grzała o nią dłonie, a jej szczupłe, białe palce wydawały się równie delikatne jak porcelana.

Zamierzała początkowo spędzić we Lwowie trzy dni, ale trzeciego dnia spóźniła się na pociąg i została jeszcze na dzień. Cały ten czas był wypełniony spotkaniami, rozmowami, wizytami w redakcjach i u znajomych — dobrze, że Trusz pomagał, a kiedy mógł, robił to i owo za nią, żeby się nie przemęczała. Czuliła się jednak wciąż wyczerpana, jej napięte nerwy, mimo że starała się z całych sił trzymać je na wodzy, wyrywały się i aż skręcały, wszystko sprawiało jej ból, gotowa była sprzeczać się z lada powodu, a rozumiała przecież, jak trudno jest ludziom rozmawiać z osobą tak chorą jak ona. Przerzucała się ze stanu całkowitej apatii do budzącego się niespodzianie ożywienia, zamykała się w sobie lub zachowywała bardzo ekspansywnie. Dziwiła się nawet, że namawiali ją ludzie (zwłaszcza Trusz), żeby została jeszcze trochę we Lwowie, ale chciała się już znaleźć wśród zielonych gór, w ciepłych Czerniowcach, które wyobrażała sobie jako cichy i pełen uroku kącik, gdzie czeka na nią dobry duch, by ukoić jej ból i przynieść ulgę. Krótkie cztery dni spędzone we Lwowie w warunkach hotelowo-restauracyjnych wytrąciły ją całkowicie ze zwykłego trybu życia.

Ratowała ją powściągliwość w sposobie bycia, umiejętność niedokuczania innym i panowania nad sobą zwłaszcza w obecności obcych — dlatego mało kto wiedział, z jakim trudem załatwiała sprawy literackie i społeczne. Zostawiła u Hankiewicza kilka rękopisów, których autorami byli jej koledzy z Ukrainy, broszury

opracowane i przygotowane do druku przez socjal-demokratów; była sama przekonana, że należy je opublikować jak najprędzej, a ponadto poczuwała się do tego obowiązku przez pamięć o Merżynskim, sądziła, że pozostała przy życiu także dlatego, by kontynuować pracę swego nauczyciela i przyjaciela.

Hankiewicz nie wydawał się jej zresztą zbyt pewnym człowiekiem, prosiła go jednak bardzo, żeby potem napisał jej o wszystkim do Czerniowiec, obliczył, ile kosztować będzie wydanie broszur, co z tych kosztów mogą pokryć Galicjanie, a ile trzeba będzie przysłać z Dniepru. Przeprowadziła w tej sprawie także poważną rozmowę z Franką, mimo że spotkanie ich było tym razem krótkie.

Zwierzać się ze swoich własnych kłopotów nie umiała nikomu, nie skarżyła się — ten z nikim nie dzielony smutek wydawał się jeszcze cięższy. Nie chciała jednak nic, co przychodzi lekko, nie chciała nawet tracić bólu, trwonić go na zwykłe słowa w zwyczajnej rozmowie. W chwilach zrywu, gdy wszystko wybuchało w wierszach i należało już nie tylko do niej, nie bała się już ani słów, ani wybuchu uczuć, nie wątpiła w swój talent, nie dręczył jej jak zwykle w innych chwilach żal, że żyje jak roślina, że ponoć nie przynosi żadnego pożytku ludziom ani samej sobie, nie myślała: niechby moim umiłowaniem życia i odrobiną talentu los obdarzył kogoś innego — nie, w żadnym razie! — przecież czuła się wtedy najsilniejsza na świecie.

W taki mokry, słotny i zimny jak nigdy w kwietniu dzień przyszła do redakcji „Literaturno-naukowoho Wisnyka”. Dowiedziała się, że jej przekłady wierszy Heinego nie zgubiły się i nie przepadły, ale znajdują się na razie w „Wisnyku”, gdzie zostaną opublikowane jeszcze przed edycją książkową.

W redakcji „Wisnyka” stała oko w oko przed samą sobą. Znowu miała przed oczyma swój portret namalowany w Kijowie i mimo że napisała do matki: nie wiem dlaczego, ale trochę to śmieszne tak na siebie patrzeć — w pierwszej chwili wcale nie chciało jej się śmierć. Jakoś wydał się jej ten portret niczym z nią nie związany, nie łączył się ani z dniem dzisiejszym, ani z tym minionym, kiedy artysta ją malował, należał raczej do przyszłości, był czymś, co pozostanie po niej, niezależnie od jej chęci i woli.

Kiedy spotkała się wówczas z Pawłykiem, czuła takie wewnętrzne rozdwojenie, nerwy miała takie poszarpane. Przed Mychajłem Pawłykiem nie odczuwała lęku. Frankę uważała przede wszystkim za nauczyciela i prawdziwego mistrza, a jeżeli nawet zdobywała się na odwagę, by mu powiedzieć, co myśli, jeżeli ryzykowała nawet i krytykowała mistrza — miała już taką naturę, że gdyby nawet sam Pan Bóg zrobił coś inaczej, niż się po nim spodziewała, powiedziałyby mu również, co o tym myśli — France nie umiała czy nie śmiała zwierzać się tak, jak zwierzała się Pawłykowi:

— Może się pan dziwi, ma mi pan za złe moją apatyczność czy obojętność — wcale tak nie jest, nie jestem obojętna, interesuje mnie wszystko, co powinno mnie interesować... Bardzo pana proszę, niech pan tego nie mówi nikomu z lwówian. Ci i owi we Lwowie chyba zajmują się chętnie cudzymi prywatnymi sprawami, a nie chciałabym nikogo wtajemniczać w swoje. Mam za sobą straszną tragedię, pół roku moralnego piekła i stąd teraz — histeria, anemia i jeszcze jeden dar hojnej przyrody, jakiś katar płuc. Chcę pojechać wysoko w góry, uciec przed nieszczęściem... Niech mi pan nie ma za złe...

Pawłyk chętnie ulitowałby się nad nią jak nad małą skrzywdzoną i zmęczoną dziewczynką, nie lubiła jed-

nak litości, jeżeli się nawet skarżyła, robiła to, jakby się przemagając, jakby nie starała się przez to wyznaczyć sobie w nieszczęściu, zrzucając na chwilę jego ciężar, lecz wprost przeciwnie: spowiadając się jeszcze podwajała brzemień swego smutku. Pawłyk postarał się znaleźć słowa pociechy:

— Ależ nie, panno Łesiu, niczego nie biore pani za złe, chciałbym zrozumieć, dopomóc, pocieszyć. Zbyt łatwo decyduje się pani na ofiarę dla kolegi, dla bliskiego człowieka — czyż nie było tak wtedy w Sofii, kiedy nieszczęście zawitało do domu pani wuja? Zaraz, zaraz, niech pani posłucha bodaj chwilę! Przy pani każdy czuje się silniejszy i lepszy, ale czy wolno pani poświęcić się dla jednego człowieka, powiedzmy nawet, kilku, skoro pani talent należy do całego narodu, panno Łesiu? To nie puste słowa — rzeczywiście podziwiam pani rozum, erudycję i talent.

Nie jeden tylko Pawłyk mówił, że ludzie stają się przy niej lepsi i silniejsi — trudno jednak w to uwierzyć, byłby to zbyt wspaniały dar!

— Drogi przyjacielu, niech mnie pan nie idealizuje, tak się tego boję — żeby się potem nie zwalić z piedestału!

Widział konia, niezwykłego, przedziwnego konia, który unosił się w powietrzu podtrzymywany w swym locie przez fantastyczną siłę — ależ nie, koń był skrzydłaty, miał duże skrzydła, w których wyczuwało się unerwioną, rozumną siłę, a lot jego miał bez wątpienia jakiś ukryty cel, którego jeszcze dobrze nie rozumiał.

— Przeznaczył pan tę deskę dla kogoś?

— Podoba się panu? Ładna?

— Jest mi potrzebna. Proszę pana. Zapłacę, nie chcę



na kredyt, zapłacę od razu, ile pan zażąda.

Drewno to było mu potrzebne w tej chwili, czuł je już pod rękami.

— Hm — powiedział stary. — Rozumiem... Adam ma chęć udoskonalic świat boży.

— Nie. Adam ma chęć odgadnąć tajemnicę bożego świata.

— Weź, Adamie, pobaw się — powiedział stary.

Doskonale drewno należało do niego. Trzymał je w rękę, mały kwadrat z drzewa gruszy, w którym zawarte było całe życie tego drzewa — korzeń, deszcz, zielone listowie, chropawa kora, podłużny, żółty owoc, słońce, ostre ostrze noża, ręce starego człowieka. W drzewie ożyje jego zamysł. Drzewo podsuwało mu ten zamysł.

Rytm wiersza łączył się z rytmem tajemnicy zapisanej na drewnie. Ale jaki miał to być wiersz?

Nienaruszone wszystko pozostawię,  
Gdy się na wieki pograżę w niebycie,  
Niech śmierć ma bólu nikomu nie sprawi,  
Jaki cierpiałam przez całe swe życie.

*...Jaki cierpiałam przez całe swe życie.* Nie tak, jakoś inaczej. Z większą siłą wyrazu i zarazem brutalniej. Jaki ból cierpiała przez całe swe życie?

Diablik posmutniał. Biegł za mną unosząc poły dziwnego kaftana.

— Poczekaj, po co wciąż chodzisz i chodzisz tymi ulicami? Gdybyś wiedziała, jak mnie zmęczyło twoje miasto, jak mi brak moich piasków — co ci się tak podoba w tym zbiorowisku spiętrzonych kamieni? Ależ poczekaj! Słowo daję, że ci coś powiem, wiem, gdzie jest tamten papirus — za małą skibkę chleba pokażę ci, gdzie ukryty jest papirus!

Usiadłam na zielonej ogrodowej ławce i posadziłam sobie diablika na kolanach. Wydawał się zmęczony i głodny, dałam mu kawałek chleba. Chleb był czerstwy, przełamałam skibkę na dwie równe części. Spożywaliliśmy chleb — nie jedliśmy, lecz właśnie spożywaliliśmy, jakby odprawiając jakiś święty obrzęd, jakbyśmy oboje wyhodowali to zboże i polewali je, i błagali słońce, żeby się zlitowało i nie spaliło plonu — a potem piekliśmy chleb na ogniu i wpierw podziwialiśmy oboje ten wspaniały cud zwany chlebem, a potem dopiero ośmieliliśmy się spróbować, jaki ma smak.

Kragłę, zielone ślepia diabłątka smutnie przyglądały się światu, który był taki zwyczajny, taki mi bliski i nieodłączny. Diablik, zmuszony opuścić pustynię wraz ze mną, pewnie tęsknił do żółtego piaszczystego piekła, wiatru i trąb powietrznych, pewnie potoczyłby się chętnie niczym gipsówka po tej nieskończonej przestrzeni, a tymczasem musiał siedzieć przy mnie i kusić mnie, żebym przypomniała sobie znowu dwoje dzieci — tutaj, w mieście wszystko było przecież znacznie prostsze i zaczęła się już ode mnie oddalać tragedia dzieci, które pozostawiłam na środku pustyni. Już mnie nawet nie dręczyły wątpliwości, mimo że to właśnie ja wywołałam życie na pustyni i porzuciłam tam na pastwę losu dwoje dzieci. Pomyślałam, czy moje małe diablę nie zapomniało tu, w mieście, gdzie trzeba szukać starego papirusu. Wcale bym się nie zdziwiła! Tyle stuleci upłynęło, ważniejsze sprawy poszły w zapomnienie, nie zachowały się w ludzkiej pamięci całe cywilizacje, wspaniałe zabytki historyczne — czegoż tu wymagać od małego, biednego diabełka? Wezbrała we mnie czułość i tkliwość względem tej dziwacznej istotki, bałam się bodaj poruszyć, żeby nie rozwiać zadumy, w której pogrążył się nagle diabełek.

Przechodzili koło nas ludzie, zamieniaли ze sobą słowa, a słowa te spadały na ziemię wraz z liśćmi — zbliżała się jesień, diablik wygładzał na kolanie zeschnięte liście, który szeleścił jak stary papirus — gdzieś za moimi plecami, za drzewami dzwoniły tramwaje, połyskiwały obnażone jak nerwy szyny tramwajowe, diablik starannie, wprost z nabożeństwem żuł ostatni kęs chleba — i wtedy usiadło koło nas dwoje dzieci, i dziewczyna wyjęła z dużej teczki, z jaką chodzą lekarze i studenci, stary papirus. Zdrętwiałam, skamieniałam.

Dziewczyna: Widzisz, co znalazłam.

Chłopiec: Chyba starocie jakieś, prawda?

Dziewczyna: To papirus. Kruchy jak zwiędłe liście.  
Dotknąć się boję, by się nie rozsypał.

Chłopiec: Dobra... Lecz iść już musimy, siostrzyczko,  
Tyle spraw różnych czeka na mnie dzisiaj.

Dziewczyna: Chwileczkę! Czyś mnie nie zrozumiał, bracie?  
Wszak to papirus! W piasku był ukryty.  
Czyż to nie cud — papirus w naszym ręku?  
Jakby umyślnie dla nas zachowany,  
Jakby to dla mnie ktoś na nim napisał  
Słowa tajemne...

Chłopiec: Bujda! Alboż odczytać je potrafisz?

Dziewczyna: W tym cała bieda, że nie, nie potrafie,  
Już na sposoby różne próbowałam,  
Lecz nadaremnie.  
Gdybym znalazła klucz do pisma tego!  
Wszak odczytano i chaldejskie znaki,  
I nawet Etrusków napisy jakieś.  
Wciąż mi się zdaje, że błaganie słyszę:  
— Zrozumieć spróbuj, pomóż nam, poratuj! —  
Pomóc nie umiem...

Chłopiec: Dziwaczka z ciebie, wciąż coś ci się marzy  
W dzień jasny, biały!  
Gdybyś nawet na kruchym papirusie  
Każde odczytała słowo,  
Nie, nie zrozumiesz sensu pisma tego!

Słowa te, starsze od nas o stulecia,  
Dźwięk zachowały, lecz treść uleciała.

Dziewczyna: Czemu nie wierzysz w starych słów wymowę?

Chłopiec: W dzień wierzę, który widzę w tej chwili,  
Dotknąć go mogę jak twego ramienia.

Dziewczyna: Czyż dzień ten po wieków długich upływie  
W nicość się obróci, będzie nieprawdą?

Chłopiec: Może już jutro w nicość się obróci,  
Jeżeli umrę...

Czemu zrozumieć tego nie potrafisz?  
A gdybyś nawet do głębi pojęła  
Sens słów pradawnych, znaczenie ukryte,  
Co ci po słowach, komu tym pomożesz?  
Jak do naszego dzisiaj dostosować  
Stare modlitwy, prawdy czy cierpienia,  
Czyjeś o świecie starym rozważania?  
Bo samo słowo prochem jest, siostrzyczko,  
Szmerem nieważkim jest i niepotrzebnym  
Czy piaskiem sypkim, co go palce nawet  
W kształt nie ulepią. Człowiek w życiu znaczy  
Tylko przez czyny swoje, nie przez słowa!

Dziewczyna: Milcz... Przyszliśmy wszak, więc niechaj  
zwątpienie

Nie udaremni tak ważnego czynu,  
Owocu narad naszych, postanowień!

Chłopiec: Co mówisz, siostrze?

Dziewczyna: Nie, sama nie wiem... Wciąż mi się wydaje,  
Że już słyszałam kiedyś tę rozmowę,  
Tak się czuję przygnębiona dziwnie...

Chłopiec: Wszystko to bujda. Czytasz różne baśnie,  
Mrzonki i fantazje za prawdę bierzesz.  
Wierzaj mi, siostrze, prawda — tylko w czynie,  
Sam czyn ma znaczenie.

Dziewczyna: Czyn przecież zawsze ze słowa się rodzi!

Chłopiec: Nie, słowo tylko powłoką jest lekką,  
Co ją z łatwością dziecko zdmuchnie małe.  
Czy posiedzisz jeszcze, czy już pójdziemy?

Diablik cicho kwilił, zdziwiony i nawet chyba przestraszony. Dziewczyna włożyła papirus do teczki, na

ustach chłopca pojawił się ledwie dostrzegalny, po-  
błażliwy uśmiezek, oboje wstali, a diablątko uczepiło  
się mnie rączkami:

— Ależ nie tak to było, wszystko nie tak, posłuchaj,  
co się wydarzyło. Papirus był, ale nie powinien się tu-  
taj znaleźć, nie tak ma być, rozumiesz! Nie oszukiwa-  
łem, powiedziałem prawdę — za kawałek chleba, za ten  
smaczny kawałek chleba pokazałbym ci, gdzie jest pa-  
pirus, a ty sprowadziłaś ich tu sama, sama im kazałaś  
mówić to wszystko — więc nie gniewaj się teraz, nie  
narzekaj na mnie, nic tu nie zawiniłem, wszystko dzia-  
ło się z twojej woli, a że nie tak być powinno — to  
już nie moja wina!

Chciałam mu przerwać, mówił tak bezładnie, z ta-  
kim przestachem, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.  
Wszystko było inaczej, niż być powinno, inaczej — z  
mojej woli.

Poszliśmy, pod nogami szeleściły liście, sypały się jak  
piasek na pustyni, jak wszystkie wypowiedziane i daw-  
no zapomniane słowa — czyż rzeczywiście obracają się  
w nicość, ledwie je zdążymy wyrzec? Diablątko drep-  
tało za mną smutne i zmęczone. Nie wykonało swego  
zadania.

Dopiero co wróciła z Bukowiny do Kijowa i już ją  
czeka nowa podróż — do Włoch, do San Remo. Le-  
karz radzi, żeby koniecznie pojechała i sama zresztą  
czuje, że ciężko jej będzie w domu jesienią i zimą.  
Ptak przelotny, tyle że brak jej skrzydeł, a także sił  
i woli, żeby samej przelecieć przez morze.

Czerniowce, Burkut, Wiźnica, Kimpolung — nic dziw-  
nego, że tak ją pociągały góry, pięknie tam było. Spo-  
kojny Prut pod Czerniowcami, zielona wiosna buko-  
wińska o jasnym, miękkim kolorycie, burkucka chata

na skraju lasu i olbrzymi świerk, i paprocie, i ptaki; szumi Czeremosz i wtóruje mu szum żelazistego potoku, który nazywa się właśnie Burkut — pisała tak w listach do najbliższych. Było w tej naturze coś, co mimo wszystko roztopiało lody smutku, pisała już, już pracowała, wrócił może nie najlepszy, ale pogodny nastrój. Wiersze pisała niewesołe, ale jakby je wyczarowywał ten górski kraj:

Na czarnej chmurze aż siedem barw tęczy,  
Powiedz, dziewczyno, powiedz, co cię dręczy!  
Tęsknotę orzesz, smutek siejesz na niej,  
Trud to daremny, nic się nie odstanie...

Pisała z Burkutu do Iwana Franki:

Posyłam te kilka wierszy i proszę nie drukować ich wszystkich razem, jakoś tego nie lubię, niechaj „Rytmy” pójdą oddzielnie, oddzielnie „Chwile” i tak samo „Legendy”, wszystko to w różnych numerach, żeby nie znudziły się ludziom moje utwory. „Opętana” mimo wszystko jeszcze zatrzymam; rozprawki o dramacie — mea culpa — jeszcze nie przełożyłam, ale z pewnością przełożę...

Po raz pierwszy po powrocie z Bułgarii przyszła jej chęć napisania „Wiły-pobratymki”. Pewnie to również góry ożywiły w jej wyobraźni postać pięknej i odważnej dziewczicy, co pobratała się z młodzieńcem, i obraz tego jej konia, którego unosiły w powietrzu cudowne skrzydła, który, choć ognisty i nieokiełzany, był wile, posłuszny. Tylko nie nastał chyba jeszcze czas, by pisać o wile, słowa upornie układały się w wiersze. Może zbyt jeszcze bliska była śmierć pobratymca, żeby pisać o niej, trzeba było może, żeby wszystko, co było własne i nie własne, zlało się w całość, scementowało, strzeliło płomieniem, jak się to stało w dziesięć lat później — trzeba było czasu, by Łesia mogła powiedzieć:

Pieśń żałobną zawodzi wiła —

„To grzmot wiosenny” — mówią ludzie.

Wiła lży roni bólu, żalu —

„To deszcz wiosenny” — mówią ludzie.

Czytała kiedyś — och, jak dawno to było! — o wile pisał Starycki. Wiła mieszka w górach, podobna jest do rusalki czy dziwożony. Serbska wiła jest tylko raczej dobra niż zła. Bardzo piękna, ma cudowny głos, czasem żartuje sobie z młodych ludzi, ale najczęściej troszczy się o nich i o Serbię... Wiła i dziwożona — czy rzeczywiście nie mają ze sobą czegoś wspólnego, czy to nie rodzone siostry? Zielonowłosa dziwożona z lasów wołyńskich i wojownicza wiła z gór — obie gotowe złożyć z siebie ofiarę w imię pobratymstwa. A czyż Łesia nie jest taka sama? Bo inaczej czyż zrozumiała-by je obie?

Nie teraz jednak. Wiedza ta przyjdzie później. Teraz Łesia nie wie jeszcze nawet, do czego jest zdolna i co może zrobić, jak zwykle dręczy ją myśl, że nie zdąży dokończyć bodaj połowy tego, nad czym przemyśliwa.

I mimo wszystko znowu szukam starego papirusu, musi tam być coś adresowanego do mnie. Małe diable przycichło onieśmiałe, zmęczył się diabełek, posadziłam go sobie na ramieniu, tylko ja go widzę, czuję jego ciężar, ale pozbyć się go nie mogę — i nie chcę.

Szukam starego papirusu, chociaż wiem teraz z pewnością, nie mam żadnych rozterek i nie wstydę się swojej bezsilności — nie potrafię dopisać i nie tylko dlatego, że nie władam tak słowem jak ona, że nie mam jej mądrości: żeby dopisać, żeby snuć czyjaś myśl dalej i zrobić to, w dokonaniu czego przeszkodziła komuś śmierć, trzeba patrzeć na świat oczami tego człowieka. Trzeba się nim stać, a jest to niemożliwe. Zamysł nie

był mój, właściwe byłoby tylko jedno jedyne rozwiązanie i zakończenie — to, które znała ona i którego nie zdążyła dopowiedzieć.

Rozumiem już, dlaczego Nike z Samotraki pozostała taka, jaką znaleziono.

Dopisać za kogoś jego dzieła nie możemy, tak samo jak nie możemy dożyć cudzego życia.

Podróż do San Remo — i znowu, jak wiosną, po drodze Lwów.

I znowu jest z siebie niezadowolona, bo dała się unieść nastrojom biorącym górę nad zimnym rozsądkiem, pozwoliła sobie wypowiadać się w rozmowach tak otwarcie i z takim przejęciem. Może w samym lwowskim klimacie coś sprzyjało wybuchom i sporom? Była u Krywyniuka, swego dobrego przyjaciela i przysłego męża młodszej siostry, Lili — mało się zmienił od czasu, gdy go widziała w Kijowie, chyba tylko schudł. Widać było, że się u niego nie przelewa — kiepski pokoik, niezbyt nowe ubranie i skąpa kolacja.

Krywyniuk dowiedział się, że najwygodniejszy pociąg do Wiednia odchodzi z rana — Łesia planowała sobie, że spędzi dzień we Lwowie, żeby odpocząć — nic z tego, zamiast odpocząć, przez cały wieczór spierała się z Truszem i Hankiewiczem — wszystko to z powodu Franki.

— Och, panie Mykoło — powiedziała do Hankiewicza od razu, ledwie się spotkali. — Gdyby pan wiedział, jak chętnie bym pana zbeształa jeszcze wiosną, bardzo pan źle postąpił z tymi broszurami! Z powodu takiego zwlekania z drukiem wielu kolegów traci chęć do pracy, czyż pan tego nie rozumie? Nawet żałowałam już, że liczyłam na pana w tej sprawie.



Hankiewicz próbował się tłumaczyć — koszty, kiepska praca drukarni, korekta.

— Przepraszam, panno Łesiu, że tak się złożyło, ale nie każdy z nas tutaj ma tyle energii i wytrwałości, ile, powiedzmy, pan Franko!

— Franko! Wydaje mi się czasem, że gdyby to było możliwe, zwalono by na Frankę jeszcze więcej kłopotów i pracy, jakby tylko on jeden miał obowiązek oświecać Galicję!

— Trochę nas pani obraża, panno Łesiu, bo...

— Może trochę przesadziłam w ferworze, rozumiem, ale to nasza bieda, że życie wymaga od jednego człowieka od razu tylu cnót!

Trusz stanął po stronie Hankiewicza:

— Chyba nie bieda, lecz nasze szczęście, że Franko jest taki uniwersalny, powinniśmy się cieszyć, że znalazł się wśród nas taki olbrzymi talent, że żyje w tym człowieku beletrysta, poeta, uczony...

— Pomogę panu wyliczać — wybuchnęła Łesia — i praktyk, i publicysta! Naszemu pisarzowi-bojownikowi przypadło w udziale być *Mädchen für alles*, ile by funkcji łączył, ile ciężarów dźwigał na ramionach, nikt mu nie powie: dość już, odpocznij, wyręczę cię!

— A po co go wyręczać, jeżeli nikt lepiej od Franki nie wykona jego pracy! A zresztą, każdy ma własne obowiązki obywatelskie.

— Żartuje pan, panie Hankiewicz! Nikt nie napisze lepiej notki do gazety, nie potrafi opowiedzieć o wystawie gospodarczej? Czyż nie dostrzega pan za tymi opisami utraconych głów, utraconych zamysłów rzeczywiście poetyckich i głębokich? Czy nie rozumie pan, że codzienna praca Franki w dzienniku wpływa ujemnie na jego działalność literacką?

— Przepraszam, panno Łesiu, ale to już czysty li-

teracki arystokratyzm! Nie wiadomo, jaką wartość miałyby owe „utrącone głowy”, nad którymi tak pani ubolewa, a praca w dzienniku od razu odbija się echem w życiu społeczeństwa.

— Jak pan chce, panie Trusz, co do mnie o wiele więcej znaczą „Zwiędłe liście” niż wszystkie jego notki w gazecie.

Teraz już Trusz i Hankiewicz chyba zapomnieli, że rozmawiają z gościem i w dodatku z kobietą.

— Wyświadcza pani France bardzo kiepską przysługę broniąc go nie wiadomo przed czym! Mógłby się poczuć dotknięty taką obroną, pomniejsza pani przecież jego zasługi względem narodu.

Łesia denerwowała się, podnosiła do ust chusteczkę, by tłumić ataki kaszlu, na jej białych policzkach zapłonął rumieniec, raz po raz przyciskała do nich zimne dłonie, usiłowała uspokoić się za wszelką cenę. Nie mogła jednak. Przypomniało jej się, jak kiedyś dawno, jeszcze w Kołodziażnem, Franko przedstawił jej plan pewnego dramatu — plan wydał się jej bardzo ciekawy i oryginalny, ale potem, odnalazłszy jego elementy w „Kamiennej duszy”, powiedziała France:

— Drogi nauczycielu, właściwie spodziewałam się po pańskim zamyśle bez porównania więcej.

Franko, sam niezbyt zadowolony ze swego dzieła, odrzekł:

— Co robić, słusznie, musiałem utracić swemu planowi głowę — tyle jest przyczyn zupełnie ode mnie niezależnych: warunki mojej pracy, warunki mego życia, warunki naszej sceny — czyż mogę na to wpływać, zmienić cokolwiek, panno Łesiu?

Stanęły jej przed oczyma te biedne „utrącone głowy”, i rozgniewana już nie na żarty, krzyknęła pod adresem Trusza:

— A gdyby tak panu, artyście, kazano malować szyldy lub lakierować wagony dla dobra społeczeństwa czy dla chleba, a pejzażom utracono głowy?

— Ależ to zupełnie co innego! — obraził się malarz.

— Albo panu — zwróciła się Łesia do Hankiewicza — kazano by zamiatać place przed wiecem, a pańskim przemówieniom utracono by głowę?

— Cóż, gdyby trzeba było...

— Bardzo by mi było pana żal!

— A więc żal pani, że Franko zajmuje się praktyczną działalnością?

— Tak, żal mi! Taka praktyczna działalność mogłaby zabić talent literacki, gdyby nie był taki silny, taki nadludzko potężny jak talent Franki!

— Sądzę mimo wszystko, że taki pisarz jak Franko nigdy się nie poskarży, że musi zamiatać place — powiedział Trusz — wie bowiem, że w ten sposób toruje drogę innym, może nawet większym talentom, które niewątpliwie będą się rozwijać w lepszych warunkach...

— Chciałabym doczekać tych lepszych warunków. Gdyby bodaj to się spełniło!

— Panno Łesiu, proszę bardzo, niech się pani uspokoi, nie trzeba tak sobie brać wszystkiego do serca... — Trusz chciał jakoś położyć kres tej sprzeczce, na co nie godziła się jednak Łesia.

— Jeżeli nie będziemy sobie brali tych spraw do serca, możemy doprowadzić do upadku naszą literaturę, sprowadzić jej rozwój do poziomu dziennikarstwa!

— Przecież nawet Herkules czyścił stajnie! To zaszczyt dla obywatela zamieść plac dla ludu, dla najzwyczajszej nawet publiczności! Pewnie, każdy ma własne przekonania i skoro panna Łesia życzy sobie

zajmować się czystą literaturą i nie zamiatać placów, ma do tego prawo — panna Łesia jest przede wszystkim kobietą...

Trzeba było obrócić to wszystko w żart, sprzeczka nie skończyłaby się wtedy dla niej tak nieprzyjemnie. Zabrakło jej jednak w owej chwili poczucia humoru, sprawa była wszak taka bolesna, taka poważna. Poczula, że duszno jej, że niemal ją mdli, mimo że w pokoju nie było zbyt ciepło. Hankiewicz i Trusz usprawiedliwiali się i znowu prosili, żeby nie brała sobie wszystkiego tak bardzo do serca — przecież nie pozwalała na to pannie Łesi zdrowie — ale nic już nie mogło tu pomóc. Nie wiedziała już, kto ma rację, chociaż nie czuła się obrażona czy pokonana „na całej linii” w tej dyskusji. Ale mimo wszystko... Któż miał rację? Nie, jej praca nie jest „czystą literaturą” i jeżeli nie pisze nawet zbyt często tego, co „trzeba”, wszystko, co pisze jest mimo to potrzebne, jest, i nie należy tu żywić wątpliwości, bo inaczej — po co walczyć o życie, jeżeli nie po to, by pisać? Cóż, powiedzmy, że nigdy rozmyślnie, z wyraźnym zamiarem nie układała wierszy, powiedzmy, że nigdy nie wzywała tych wierszy — przecież przychodziły jej na myśl same, myśl zaś pobudzał nie tylko jej własny ból i odczucia, lecz również wszystko, co ludzkie i żywe.

Ani Hankiewicz, ani Trusz nie domyślali się, że Łesia po tej rozmowie płakała przez pół nocy — Łesia, która nie uroniła łzy w najcięższych nawet chwilach w życiu. Wciąż stały jej przed oczyma te utracone głowy i myślała, że Franko pewnie by ją rozumiał, rozumiałby jej słowa i łzy, bo nie sposób przecież, by go zupełnie nie wzruszały te utracone głowy — chociaż z drugiej strony lepiej, żeby był taki, jak go sobie wyobrażają jej dwaj interlokutorzy!

Już później, po dwóch latach opowiadając w liście do Franki o tej rozmowie, Łesia pytała:

Czemu wszystko ma prawo do łez: i macierzyńska tęsknota, i nieszczęśliwa miłość, i ból obywatelski, a milczeć musi tylko dusza poety po stracie swych dzieci?... I powiedzą kiedyś ludzie: jeżeli naród ten przeżył nawet takie czasy i nie zginął, jest silny.

Nazajutrz z rana wyjechała do Wiednia i dalej do San Remo. Przelotny ptak, zmuszony wędrować za słońcem, żeby żyć. Przelotny ptak, co wiecznie tęskni do ziemi rodzinnej.

Koń skrzydlaty krew poczuł gorącą,  
W górę wzleciał niby iskra krwawa  
I w dal poszybował, w góry dzikie...

Spiesznie, gorączkowo, jakby pozostało mu bardzo mało czasu, rytował na gładkiej powierzchni drzewa owego skrzydlatego konia i Białą Wiłę na koniu. Znalazł teraz to, czego szukał. Biała Wiła leciała na swoim koniu przedziwnie piękna w swym nieśmiertelnym smutku, dumna z przeświadczenia, że może decydować o ludzkich losach, i jednocześnie nieszczęsna w swym bólu po niepowetowanej stracie. Straciła pobratymca nie wtedy, kiedy go zabiła własną ręką, została sama już wtedy, kiedy pobratymiec w nią zwątpił, kiedy tylko przypuścił, że mogła go zdradzić. Po jednej stronie deski artysta przedstawił dumną wiłę, po drugiej — samotną wiłę.

Wieszczka wiła płacze. Wieszczka wiła zabiła pobratymca. Wieszczka wiła chce umrzeć, ale sądzona jej jest na wieki nieśmiertelność, sądzona jej jest na wieki męka.

Tęcze barwne w górach rozbłyskują,  
W dolinach rzeki budzą się wartkie,  
Na połoninach trawą zieloną

I smutek wielki z chmur nad szczytami  
Radością spada na ziemię naszą...

Trzy ręce ma wieszczka wiła, jedną ręką wstrzymuje skrzydlatego konia, drugą głaszcze twarz martwego pobratymca, którego sama pozbawiła życia, trzecią dłonią przesłania wieszczce wile oczy, gdyż nie chce, nie może patrzeć na to, co musiała uczynić i co uczyniła.

Podobnie jak ów koń, wiła o trzech dłoniach była rozwiązaniem niespodzianym, lecz zrozumiałym dla artysty.

Kupił raz starą ikonę. Starannie oczyszczał ją od brudnoczerwonego lakieru, którym nie wiadomo kto pokrył ikonę, aż ukazało mu się dobre i jaśniejące oblicze kobiety-matki. Zauważył od razu coś niezwykłego, czego nie uświadomił sobie w pierwszej chwili, aż wreszcie zobaczył, że miała ta kobieta trzy ręce. Jedną przycisnęła do piersi — szczupłe, śniade palce były stulone, przegub delikatnej dłoni okalał wąski rękaw koszuli, którego złoty obrąbek został starannie i precyzyjnie wyrysowany. Druga ręka podtrzymywała dziecko, była jakoś mniej delikatna i jeszcze bardziej śniada, a palce wydawały się mocniejsze i grubsze i nagle, zupełnie niespodzianie, ukazywała się gdzieś w dole jeszcze jedna dłoń, ledwie zaznaczona i lekka, lecz przedziwnie piękna, zdawało się, że palce się poruszają i dłoń osłoni ciało dzieciątka przed wszystkimi nieszczęściami, przed trudnościami w życiu, przed nieznanem.

Trudno orzec, czy ten jakiś nieznaną artysta popełnił błąd, czy było to zaniedbanie, którego ten ktoś nie zdążył, nie zdołał czy z jakiejś przyczyny nie zechciał usunąć, czy też miał rzeczywiście zamiar namalować trójręką kobietę-matkę. Tak czy inaczej wyglą-

dało to niezwykle i artysta pomyślał, że wiła musi mieć również trzy ręce, gdyż obraz ten tak głęboko zapadł w jego świadomość, tak się zakorzenił, że nie wydawał mu się obcy, zwłaszcza do czasu, kiedy już wiedział, że przedstawi wiłę, właśnie wiłę, nic innego, kiedy rytm tajemnicy utrwalonej na drzewie zlał się z rytmem tego przedziwnego białego wiersza, wolnego i potężnego zarazem, kiedy wszystko zostało rozwiązane i przybrało wyraźny kształt. Z trudem nadażał za swoją myślą, kreśląc pierwszy czarny szkic i przenosząc go na drzewo, odnajdując najsubtelniejsze linie, by tchnąć weń życie i tajemniczość. Jego wiła miała być właśnie taka i taka musiała zostać, nie wyobrażał jej sobie inaczej od samego początku, kiedy jeszcze nawet dobrze nie wiedział, że będzie to właśnie ona.

Skończywszy pracę artysta długo nie śmiał spojrzeć na swe dzieło z dystansu i taksująco, gdyż było już częścią jego samego.

W nocy przyleciał Perełesnik. Stanęłaś w płomieniach od ognia, którym cię obdarzył, i spalałaś się, by o świcie odrodzić się w słowie.

# KWIECIEŃ W CZÓŁNIE

## 1

Błogosław nam, mateńko,  
Zawołamy wiosenkę,  
Witajże, wiosno miła,  
Już odchodzi zła zima!  
Zima wozem po lodzie,  
Wiosna czółnem po wodzie...

Siedzieli w „dużym” pokoju, w którym pod ścianami stały szeregiem regały pełne książek, siedzieli i słuchali muzyki, paląc papierosy i gawędząc. Zrobiłaś im kanapki, syn zagotował kawę i rokoszowali się oto nie tyle muzyką i kawą, ile poczuciem, że są dorośli, że mają prawo zamknąć drzwi, prawo rozwiązywać samodzielnie jakieś swoje problemy, w które cię nie wtajemniczali. Musisz jednak za wszelką cenę wejść do pokoju po książkę, syn nie wie, gdzie jej szukać, musisz to zrobić sama, ale wciąż zwlekasz i odkładasz tę chwilę, kiedy w końcu zapukasz do drzwi z uśmiechem, takim niewyraźnym i nieznacznym, że nikt się nawet nie poczuje do obowiązku dostrzec go; i wejdiesz do „dużego” pokoju, bo potrzebna ci jest książka do pracy. Zastanawiasz się, czy trzeba się przed nimi wytłumaczyć, i w ogóle coś powiedzieć, bo nie wypada wejść tak bez słowa, milcząco, jakbyś była z czegoś niezadowolona. Trzeba coś powiedzieć, ale co?

Może zapytać, czy nie przynieść im jeszcze kawy. Albo coś napomknąć o kanapkach. Byle nie o muzyce i byle nie przyglądać się im bacznie; i tak wyobrażasz sobie dobrze, jak tam siedzą, palą, słuchają muzyki



i rozwiązują swoje palące i zawiłe problemy, nie mając wcale zamiaru prosić cię o radę.

Dopiero co jakaś myśl przemknęła ci przez głowę i już jej nie ma, zniknęła, wymknęła się jak ryba, co wyślizguje się z rąk. Żal ci, bo było to chyba coś bardzo ważnego — o człowieku, o twórczości, o powiązaniu czegoś z czymś; głowę masz pustą, nie uchwyciła jej, nie zatrzymała. Nie, jest ta myśl mimo wszystko: w jakiej chwili człowiek przestaje odbierać i reagować na to, co nowe? Czy odrzucając nowe nie przekreśla samego siebie i wszystkiego, co dotąd działał, czy nie traci prawa do życia w społeczeństwie? Jak uchwycić to, kiedy przechodzisz w pewnej chwili od mądrości do rutyny, a kiedy wpadasz w ton nudnego mentorstwa? Jak przytrzymać w takiej chwili rękę, nie puścić siebie dalej, do moralnej straty następującej wtedy, gdy człowiek nie odbiera i nie reaguje?

Muzyka ucichła na chwilę, pewnie zmieniali kasetę. Nie, nie obejdiesz się bez książki, trzeba przygotować na jutro pogawędkę dla uczniów o malarzach-pieriedwiźnikach i musisz ją mieć, więc zapukawszy wchodzisz do „dużego” pokoju.

Wstają, żeby się przywitać, i ich zachowanie jest przy tym mieszaniną rycerskiej galanterii i na pół dziecięcej nieporadności; dziewczyna tylko się nieco unosi w fotelu, przyglądając ci się ciekawie. Jednym spojrzeniem ogarnęła twój strój i uczesanie i zauważyła, rzecz jasna, brak manikiuru, bo sama ma paznokcie starannie pokryte mocno czerwonym lakierem ze złotawymi iskierkami na tej czerwoności. Modnym. I ma modnie ostrzyżone włosy „à la Seconne”, jak nazywa się projektant fryzury, francuski fryzjer; równa spódnica, koczaczki już nie na koturnie, lecz z wysokimi obcasami i wąskimi cholewkami, jakby ich właścicielka zamierzała tańczyć „hopaka”, a nie pójść do pracy.

Nie przyglądasz im się, co prawda, ale wiesz, że ja-  
koś są do siebie podobni. Nie masz chęci nazywać tego  
jakimiś przemądrzałymi terminami, ale tak czy inaczej  
— to znak czasu, wspólnota pokolenia, jedność zain-  
teresowań i rzecz jasna, moda.

Bierzesz książkę i wychodzisz z pokoju pozostawiając  
ich znowu sam na sam z ich problemami, ich muzyką,  
ich rozmowami.

Wiesz, że kiedy cię tam nie ma, czują się swobodniej,  
nie krępują się. Dziewczyna bez wątpienia od razu pod-  
ciągnęła pod siebie nogi, chłopcy wzięli do rąk kanapki,  
bo jeść chce się im zawsze, nawet kiedy są w kiepskim  
humorze i słuchają muzyki. Muzyka towarzyszy im  
teraz wszędzie i stale, nie noszą już z sobą wrzaskli-  
wych odbiorników tranzystorowych, lecz muzyka mi-  
mo wszystko jest z nimi zawsze. Wystawanie w kilo-  
metrowych kolejkach przed „Melodią”, poszukiwanie  
nowych płyt, nagrywanie na taśmę nowych piosenek,  
zapamiętywanie nazw różnych zespołów — to obowią-  
zek, którego podjęli się dobrowolnie. Nawet czytają  
nie wyłączając magnetofonu. Wydaje ci się czasem, że  
już nawet nie słyszą tych melodii, podobnie jak sama  
nie słyszysz hałasu ulicy, przez którą idziesz do pracy.

Przerzucając kartki książki uśmiechasz się, gdyż  
zdajesz sobie nagle sprawę, że po raz nie wiadomo któ-  
ry zastanawiasz się nad sprawami dobrze wszystkim  
znanymi i już wielokrotnie omawianymi, ale znowu  
coś ci każe powracać do tych niebagatelnych bagatelek,  
jakby stanowiły klucz do wielkich, ważnych i jeszcze  
nie rozwiązanych zagadek.

Pamięć odszukuje i zbiera odpryski dni, starannie  
sklejając je w całość, że nawet nie widać śladu skleje-  
nia, i zależy tylko od pamięci, czy będzie to piękny  
kryształowy kielich czy niezgrabny fajansowy kubek,  
którego nawet nie żał będzie wyrzucić. Ale może nie

od pamięci to zależy, tylko od ciebie samej, od tego, co robiłaś w ciągu tego czy innego dnia?

Ujechawszy zaledwie kilkanaście metrów od przystanku, tramwaj zadygotał nagle jak żywa istota, zwolnił i stanął. Upłynęło z pół minuty i pasażerowie zaczęli narzekać i uskarżać się jak zwykle w takim wypadku. Ktoś beształ komunikację miejską, ktoś inny żołądkował się z powodu pogody, jeszcze ktoś domagał się rozsunięcia drzwi, ale te tylko syczały i nie ustępowały. Zmuszeni stać w tłoku, jeden przy drugim, ludzie nie mogli zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza, ciepłe opary przemoczonych na deszczu płaszczy przyparwiały o mdłości, z opuszczonych w dół parasoli spływała woda, rączki ciężkich teczek i toreb wpijały się w dłonie, a tramwaj, jak się zdawało, stał nieruchomo już całą wieczność, przejeżdżały obok niego samochody i autobusy oraz wymijali go szczęśliwi przechodnie, którym pewnie ktoś bardzo mądry doradził, żeby nie wsiadali do tego tramwaju. Posępna irytacja i zniecierpliwienie toczyły się po całym wnętrzu, krążyły między ludźmi i przyszło ci nagle na myśl, że to na długo, bo drzwi nie otworzą się do samego wieczoru i wszyscy będą zmuszeni przebywać tu razem w ciasnocie i niewygodzie, kto wie, ile godzin, więc zapra gnęłaś poszukać jakiegoś ratunku, jakiegoś wyjścia z tej sytuacji czy bodaj nadziei. Wtedy właśnie zauważyłaś tych dwoje na pół dzieci stojących akurat w największym tłoku — ona była jasną blondynką, kapiszon kraciatyego płaszczyka zsunął się jej z głowy i pasemka zmoczonych na deszczu i dlatego pociemniałych włosów opadały na twarz; nie mogła ich odgarnąć, bo nie sposób było poruszyć ręką, a może po prostu nie zwracała uwagi na rozwichrzone włosy i patrzyła na chłopaka, który stał obok — nie, tuż przy niej — i coś do niej mówił. Oboje byli prawie jednakowego wzrostu

i jego poruszające się usta muskały jej policzki. Chłopic spróbował wargami odgarnąć jej włosy z oczu, co nie udało mu się jednak, więc roześmieli się oboje, a ich oczy zrobiły się dobre; dwie pary dobrych oczu w tym zdenerwowanym tłumie i nie mogłaś już oderwać wzroku od dwojga dzieci, które nawet nie zauważyły, że tramwaj się zatrzymał.

W końcu zwrócili na nich uwagę także inni. Ścisłany przez ściany wagonu tłum poruszył się nagle, przesunął się ośrodek ludzkiego zainteresowania i wszyscy zapomnieli, że gniewali się na komunikację, na deszcz i stojącego obok niezgrabiasza, który nadepnął na nogę i nie przeprosił. Gniew znalazł teraz nową podstawę, wzbierał i wzrastał się, przedmiot gniewu się przybliżył, zrobił się znacznie realniejszy i bliższy, dostępniejszy dla tej gniewnej reakcji.

Tym dwojgu nie przeszkadzali ludzie — chyba tyle tylko, że on dwoma rękoma odgradzał od niej resztę świata, bronił jej swoją siłą i własnymi ramionami — a w ogóle nie obchodziło ich czyjeś niezadowolenie, nigdzie się zapewne nie śpieszyli, byli jak na dłoni, nie osłonięci, nie ukrywali się, jakkolwiek nie usiłowali nic manifestować — ale to właśnie najbardziej ludzi irytowało. Można było ich oboje dotknąć, wskazać na nich palcem, żądać odpowiedzi na wszelkie zarzuty. Grzechy, jakie popełnili ludzie od stworzenia świata po dziś dzień, spadły na ich barki.

— O, za naszych czasów...

Argument, który wydaje ci się najprawdziwszym antyargumentem, powinien jak ciężkie brzemie przynieść obwinionych, ale ci dwoje nie zwracali na nic uwagi, nie słyszeli złych głosów, nie widzieli gniewnych spojrzeń i wzruszania ramionami, nie zdawali sobie sprawy, że stali się ośrodkiem zainteresowania i przyczyną ogólnego oburzenia.

Rzecz jasna, wszystkiemu był winien tramwaj. Tramwaj, deszcz i motorniczy, który z niewiadomych przyczyn nie otwierał drzwi. Na torze stał już cały szereg innych tramwajów, które niecierpliwie dzwoniły, domagając się przysługującego im prawa ruszenia z miejsca. Gotowe były usunąć przeszkodę z drogi, ale nie mogły tego zrobić. Niestety, i ich pobrzękiwanie tylko wzmagало nastrój podenerwowania.

Niespodziewanie pierwszymi wagonami znowu szarpnęło i nad głowami ludzi rozbrzmiał głos motorniczego: „Jeden silnik wysiadł, tramwaj dalej nie pojedzie. Proszę wychodzić! Silnik wysiadł!”

Ucieszyłaś się, że wreszcie bodaj motorniczy uratował tych dwoje półdzieciaków, obarczanych tyłoma przewinami, i wydawało ci się, że pękła gruba, mocno naciągnięta lina, że uwolniła ludzi, wypuściła. Nie było już tłoku i gniewu, ktoś się głośno roześmiał, ktoś nawet powiedział z humorem: „dojechaliśmy!”, a że deszcz ustał, nie trzeba było nawet otwierać parasoli, by szybko przebiec kilka kroków i wsiąść do następnego tramwaju o dwóch silnikach...

I tylko te dzieci chyba nie słyszały wołania motorniczego, bo stały jak dotychczas — uśmiechnięte, całe jak na dłoni i niczym nie przykryte w swojej nierozsądnej, błogiej prostocie; motorniczy machnął ręką i powiózł tych dwoje dalej uszkodzonym tramwajem o jednym silniku, ci zaś nawet nie podejrzewali, że może im grozić niebezpieczeństwo. Patrzyłaś za nimi, miałaś chęć pomachać im ręką, ale ciebie również nie widzieli, nic ich nie obchodziłaś.

Przyszło ci wtedy na myśl: „Poczekaj, a gdyby to był twój syn? Gdyby to był twój syn, twój Serhij?”

Nie zdziwiła cię ta myśl ani trochę, już się teraz przyzwyczaiałaś do niej, do tego ciągłego zadawania so-

bie pytań: A gdyby to był twój syn, gdyby to była twoja córka — co wtedy?

Zasób dobroci i życzliwości nigdy nie bywa niewyczerpany, oszczędzasz go podświadomie, odruchowo dla najbliższych, dla rodzonych, którym potrafisz wybaczyć znacznie więcej niż komuś obcemu. Jednocześnie lżej ci jednak zrozumieć nieznanomych nastolatków w tramwaju i potraktować ich pobłaźliwiej niż własnego syna. A może to nie dobroć, może to zwyczajna obojętność? Tak przyjemnie było ich obserwować, nic złego nie robili, tacy byli młodzi i ładni — ale wysiadłaś z tramwaju, oni zaś pojechali dalej, nie odpowiadasz za ich czyny, mimo że przed chwilą byłaś gotowa bronić tych dwoje na pół dzieci przed niechęcią świętoszków — nie wiesz, czym się skończy ich jazda tramwajem, dokąd jadą i jak się wszystko będzie dalej rozwijało — nic cię to nie obchodzi. Ale gdyby to był twój syn czy twoja córka? Przyznaj się, czy byś chciała, żeby twój syn jechał tak tramwajem, tuląc się do dziewczyny o białych włosach, żeby na oczach wszystkich muskał wargami jej policzki i żeby jego uśmiechające się usta... Idź i przyjrzyj się sobie w lustrze — miła, sympatyczna kobieta, czas był tak na ciebie łaskaw, że nie pozostawił zbyt wiele śladów na jędrnej, śniadej skórze, twoje błyszczące, piwne oczy patrzą na świat boży z niemal dziewczęcym zaciekawieniem, a kiedy wchodzisz z kolegami do kawiarni, nawet nie tak bardzo się różnisz od osiemnastolatków i patrzysz na nich przychylnie i pobłaźliwie, bo niby dlaczego nie mogą tu posiedzieć i wypić koktajlu; powiedz jednak prawdę, czy chciałabyś się spotkać w barze ze swoim synem! Bywają chwile, kiedy wyrzucasz sobie nie popełniony błąd, nie popełniony grzech, a niekiedy wybaczasz już popełniony.

...Siedzą tam, w „dużym” pokoju, słuchają muzyki,

pałą — ale o czym rozmawiają? Nie pozwolisz sobie posiedzieć razem z nimi, w takich wypadkach dzieli was jak mur różnica wieku, oni od razu zamykają się w sobie, są tacy uprzejmi, chętnie zaproponują, żebyś posiedziała z nimi i coś opowiedziała, mogą cię sami poinformować o jakichś swoich sprawach, ale tylko się po nich prześlizgną, a twój syn, mimo że tak ci ufa i taki jest szczery sam na sam z tobą, robi się nagle jakiś inny i jakby się boi zdradzić tajemnicę, którą mu powierzyli rówieśnicy.

Brzdęk-brzdęk — ktoś z nich wziął do rąk gitarę — brzdęk-brzdęk, jak bardzo pragniesz tego, co jest niemożliwe, fantastyczne: być matką swego syna i jednocześnie jego rówieśnicą. Żebyś zachowała swoje macierzyńskie doświadczenie i żeby nie dzieliły was lata — brzdęk-brzdęk — dla nich jest gitara, dla nich jest muzyka, wszystko się dla nich zaczyna, nikt im nie stoi na przeszkodzie i o Księżycu wpierw wiedzieli, że jest satelitą Ziemi i że koniecznie musi tam polecieć statek międzyplanetarny, a dopiero później się dowiedzieli, że księżyc towarzyszy zakochanym i można układać o nim wiersze. Pomieszanie pojęć, wszystko zostało przewrócone do góry nogami. Ale oni są absolutnie pewni, że na odwrót — stanęło na nogach. Na realnym gruncie. Wszystko ma być właśnie tak, nie inaczej.

I mimo wszystko istnieje taka możliwość, żeby żyć dwa razy. Kiedy twój syn prosi cię, żebyś dosiadła konia, i wskazuje przy tym krzesło, nie mów mu, że to krzesło, dosiadaj „konia” i ruszaj w daleką drogę, bo inaczej stracisz cudowną możliwość żyć dwukrotnie. Co byś jednak powiedziała, gdyby tamtym tramwajemjechał twój syn? Pozostawiając za progiem wszystkie swoje nastroje i wątpliwości, wchodzisz do szkoły i pogrążasz się w niepowstrzymanym wirze głosów, oczu,

uśmiechów, białych kołnierzyków i fartuszków, imion i charakterów.

Twój syn raz powiedział: „Nauczyciele dzielą w szkole cały świat na dwie części — oni i my, nauczyciele i uczniowie — i zapominają, że dzieci — to ludzie, lecz potem chcą, żebyśmy sami o tym pamiętali...”

Szorstka kategoryczność młodości. Kiedy jakiś jeden fakt, za ledwie jeden fakt budzi chęć uogólnienia. Ściślej — daje prawo uogólniać. Ale jakoś zawsze pamiętasz te słowa od czasu, kiedy je wypowiedział.

Brzdęk-brzdęk — śpiewają tam przy wtórze gitary, już wkrótce północ, nie idą do domu, a ty wciąż nie możesz wejść i powiedzieć: „Dzieci, czy nie pora pójść do domu, gołąbeczki, mamusia i tatuś czekają...” Nie śmiesz wejść i powiedzieć, jakkolwiek wiesz dobrze, że mamusia i tatuś właśnie czekają, czekają.

„Dorośli nam nic o sobie nie opowiadają — mówi twój syn. — Wszystko, co nam mówicie, jest tylko w przybliżeniu prawdą, jest prawdą, której potrzebujecie, żeby nas pouczać, żeby dać nam przykład, ale o nas chcecie wiedzieć wszystko”.

Tak, tak — to prawda, chcesz o nim wiedzieć wszystko, a co opowiadasz mu o sobie? Ukrywasz swoje słabości i swoje błędy i usiłujesz zademonstrować wszystko co najlepsze, w trzykrotnym powiększeniu. Obawiasz się jego sądu? Potępienia? Nie chcesz, żeby powtórzył twoje błędy? Chcesz, żeby postępował tylko dobrze? Tak, tak, boisz się jego sądu i potępienia, szorstkiej kategoryczności, z jaką wyrokuje młodość. Przecież jeden fakt pozwala jej wprawić w ruch mechanizm uogólnienia.

Przez ten czas, kiedy myślisz o tym wszystkim, udaje ci się obrąć ziemniaki i przypilnować, żeby zupa nie była mętnawa, tylko czysta; jak różowy stateczek pływa w tej zupie marchew, pachnie pietruszką i cebulą,



krajesz kartofle, zapalasz gaz — kartofle ugotujesz teraz, a jutro z rana wystarczy przygrzać je na maśle, posolić jeszcze trochę, a będą rumiane i chrupiące, przysmażyć kielbasę, syn z pewnością nabierze na talerz musztardy i posypie całą potrawę papryką...

Brzdęk-brzdęk — nic nie poradzisz, nic nie zrobisz, wszystko na bożym świecie jest powiązane, wszystko jest takie ciągle, tworzy jeden kłęb i nic w tym dziwnego, jeżeli filozof musi zanieść do szewca swoje buciki, a nauczyciel pierze bieliznę i rozmyśla przy tym o malarzach-pieriedwiżnikach.

Kiedy zrezygnowałaś z pracy w bibliotece i objęłaś zajęcia w półinternacie, wszyscy dziwili się tak długo i szczerze: bo niby, któż nie wie, że nauczyciele pracujący w półinternacie są mniej szanowani, uważani za nisko kwalifikowanych i poza oczy nazywani „nianiusiami”; a mają przecież tyle pracy i kłopotów, tyle się nadenerwiają — trzeba z dziećmi odrabiać lekcje, trzeba przypilnować, żeby miały wytarte nosy, żeby w porę zjadły i nie zapomniały zabrać do domu worka ze strojem gimnastycznym.

Pewnie, zasób dobroci i tkliwości nie bywa nigdy niewyczerpany, ale musi ci go starczyć dla każdego z tych czwartoklasistów, którzy znajdują się w twojej grupie. Zasób szacunku i życzliwości chyba też się może wyczerpać, ale musi ci go starczyć dla każdego z nauczycieli, którzy uczą twoich czwartoklasistów. A jeżeli posiadasz zasób dobroci, to trzeba mieć jeszcze koniecznie dosyć mądrości, by posługiwać się dobrocią rozsądnie.

Posługiwać się dobrocią rozsądnie? Czy dobroć posłuszna jest twemu rozsądkowi? Co rozsądek może jej polecić, rozkazać, jak nią pokieruje, jeżeli jest niepohamowana i rządzi nią same tylko emocje. Wydaje ci się niekiedy, że chyba nie ma jej nawet, two-

je czyny nabierają odcienia automatyczności, jeżeli można się tak wyrazić, ale niespodzianie budzi się w duszy coś takiego, w czym jakby rozpływasz się cała, zatracasz, chwile ciepła i słońca zalewają wszystko dokoła i to właśnie cechuje DOBROĆ, tylko że dobroć nie podlega analizowaniu, rozumowi, zasadom i życiowej konieczności, nakazującej jej być twardą i nieustępliwą.

Nad swoim myśleniem panujesz jednak mimo wszystko i jeżeli jakiś podświadomy proces nawet wpływa na bieg twoich myśli, coś w tobie wie, jak postępować, bo przez cały przecież wieczór usiłujesz nie myśleć o tym, o czym myśleć teraz trzeba koniecznie, i jednocześnie krążąc myślą dokoła i podchodząc z daleka, zahaczasz w końcu o to, co obawiasz się poruszyć.

## 2

Łeś Witruk ma taką anielską twarzyczkę, mięciutkie włoski nad brwiami i brwi błyszczące, jedwabiste, a duże oczy Łesia tak błękitnie patrzą na świat, że nie sposób nie uśmiechnąć się do niego i nie życzyć sobie, żeby się chłopak odezwał, bo bez wątpienia powie coś przyjemnego i miły nastrój utrzyma się długo.

Łeś Witruk patrzy błękitnie na świat i mówi:

— Mamo, niech mama idzie do wszystkich diabłów.

Już we wczesnym dzieciństwie nauczono Łesia, że do mamy nie mówi się „ty”, i teraz w tym jego „niech mama idzie do wszystkich...” jest tyle faryzejstwa i subtelnej ironii, wyraźnie dźwięczącej w jego tonie, że matka nie wie nawet, co odpowiedzieć.

Łeś wkłada wdzianko, nowiutkie i czyste, bez najmniejszej plamki, bardzo schludny chłopaczek z tego Łesia, spodnie ma odprasowane, buciki czyści, myje starannie szyję, czesze swoje mięciutkie włoski i ni-

czym nie przypomina tych chłopców-zabijaków, którzy często wystają w bramach, palą, sypią brzydkimi słowami i opuszczają lekcje w szkole. Łeś lekcji nie opuszcza, a jego zeszyty są równie czyste jak ręce i różowe paznokietki; podręczniki ma obłożone przezroczystym papierem, a w dzienniku — dobre stopnie. Łeś wkłada wdzianko, mama prosi, żeby nie wychodził z domu tak późno, i Łeś odpowiada jej równym, spokojnym głosem aniołka:

— Mamo, niech mama idzie do wszystkich diabłów...

Znalazszy się na ulicy, Łeś rozgląda się dokoła. Jego bystre, badawcze spojrzenie dostrzega to, czego mogą nie zauważyć roztargnieni i lekkomyślni ludzie: we wszystkim na świecie Łeś widzi cudowną możliwość zabawienia się. Bawi się w sposób subtelny i delikatny, i zawsze kosztem bliźniego.

— Jesteś tchórzem — mówi Łeś do chłopaka, z którym siedzi w tej samej ławce — jesteś tchórzem.

Kto inny oberwałby za takie słowa w ucho, ale Łeś patrzy tak współczująco, z taką wyraźną chęcią służenia pomocą i radą, że jego sąsiad zbity z tropu wzrusza tylko ramionami: no, daj mi spokój! Ma Łeś szczęście — z niezrozumiałych, ukrytych i tajemniczych przyczyn ludzie wybaczą mu takie słowa, jakich nie wybaczyliby nikomu innemu.

— Jesteś tchórzem — z żalem i jeszcze wyraźniejszym współczuciem, niemal z westchnieniem mówi Łeś. — Wczoraj chłopcy wdrapali się na dzwonnice, ale ty byś nie potrafił.

„Nie potrafiłbym — rozważa w duchu Jurko Bereziuk, który siedzi z Łesiem w tej samej ławce — rzeczywiście nie, ale po co mi to?”

Śmiejąc się przyznaje się do swego „tchórzostwa”, jeszcze się nie smuci, jest w dobrym humorze. Była właśnie lekcja algebry, dostał piątkę, wybiera się dzi-

siaj do kina, ma w kieszeni pięćdziesiąt kopiejek, i w ogóle — na dworze świeci słońce.

— I podpalić szkoły nie potrafisz — konstatuje tak samo z żalem Łeś.

— Zwariowałeś czy co? — dziwi się Jurko. Rzeczywiście nie potrafi i nie chce podpalać szkoły, nie widzi w tym żadnego bohaterstwa, ale liczba stwierdzeń, że czegoś nie potrafi i nie robi, rośnie bez końca, powiększa się. Tak, to prawda, on, Jurko Bereziuk nie wdrapie się na dzwonnice, nie spali szkoły, nie przepłynie Dniepru, nie pobije się z chłopakami z dziesiątej klasy, nie wybierze się w tajemnicy w daleką wędrowną.

— Więc co potrafisz w końcu zrobić — prowokuje anielski głos Łesia Witruka, który patrzy na Jurka z dobrotliwym uśmiechem i proponuje jeszcze jedno, ostatnie wyjście z sytuacji, ostatnią możliwość: a potrafiłbyś zdjęć reflektory z samochodu parkowanego na naszej ulicy, wiesz, przed dwudziestą klatką, co wieczora przyjeżdża tam do jednej babki elegancki, wysoki facet w dżinsowym garniturze, z baczkami i przesiaduje u niej godzinami — pomożesz mi w tym czasie zdjęć reflektory z jego wozu? Mam, rozumiesz, pomysł...

Jurko zdaje sobie doskonale sprawę, że nie są mu wcale potrzebne owe reflektory i że na nic mu taki wyczyn, ale ze wszystkiego, o czym mówił Łeś Witruk, jest to jednak najlepsza i najdogodniejsza sposobność, by dowieść swojej odwagi i zmanifestować niezależność od nieznośnych konwencji, którymi zapchali świat ludzie dorośli: tego nie wolno, tamtego nie trzeba, tak nie należy, owak jest źle...

— Co, nie wierzysz, że potrafię zdjęć reflektory z wozu? — chwyta się Jurko najłatwiejszego sposobu, żeby się jakoś uratować. Gdyby Łeś powiedział —

ależ wierzę, dlaczego by nie — można by nie ruszać tych reflektorów, ale Łeś mówi w odpowiedzi:

— Pewnie, że nie wierzę, gdzie ci tam do zdejmowania reflektorów!

Więc Jurko zapewnia, że to zrobi, niech tylko Łeś stoi „na kapie” i jako świadek, Jurko wszystko zrobi.

Przyleciały już bociany, zaledwie kilka dni temu przyleciały bociany, boćki, wojtki, maćki — tak wiele nazw mają te piękne ptaki, szkoda, że jest ich podobno coraz mniej, nie ratuje ich przed zagładą ta różnorodność nazw, często pieszczotliwych i nic nie obroni przed złym, ostatnim w tym roku mrozem i śniegiem; bo jak na złość często tak bywa, że ptaki przylatują, a mróz umyśli sobie nagle powrócić, mimo że już dawno poczerniał i przepadł brudny, ostatni śnieg, nabrzmiały już pąki, gruchają gołębie, ostrożnie, rozglądając się dokoła wychynęła z ziemi bladezielona łodyżka kosaćca, dachy mają kolor taki ceglasty, taki wiosenny — i masz tobie, nagle znowu śnieg i mróz, zupełnie już zbędny, niepotrzebny, niby przybłąda, którego nikt-nikt się nie spodziewał i wszyscy myśleli, że go już spławili, pozbyli się go...

Przyleciały bociany i zimno im, zimno jest również pączkom, dziwią się i niepokoją gołębie, przycichły wróble — ćwir-ćwir, nie ma się gdzie ukryć przed mrozem, który wrócił nie wiadomo po co... A Łeś Witruk w nowym wdzianku stoi w bramie i czeka, kiedy Jurko odważy się wreszcie podejść do cudzego wozu i zdejmie reflektory.

Nic o tym wszystkim nie wiesz, bo Jurko Bereziuk nie pisał ani słówka o jakimś tam Łesiu i nie może powiedzieć, że to Łeś go namówił, bo mało, że dopuścił się takiego złego czynu, jeszcze spadłaby na niego hańba i nigdy by się z niej nie oczyścił: wszyscy by wiedzieli, że można go nakłonić do takiego czynu, że

nie ma charakteru, jest tchórzem i jeszcze w dodatku — skarżypytą.

Nie ma dla Jurka Bereziuka usprawiedliwienia, którego sam zresztą nie szuka, i swoim milczeniem budzi w dorosłych oburzenie i gniew. Uparciuch, jeszcze dobrze, że wpadł z tymi reflektorami, bo kto wie, co w ogóle dotąd robił.

— Nie, nie, nigdy nie zrobił nic złego — zapewnia matka. Słuchasz tych zapewnień i patrzysz na jej twarz. Dość brzydka i nawet niezbyt sympatyczna, o cienkich wargach, z niebieskimi cieniami na powiekach; wiesz jednak, że nie masz prawa reagować subiektywnie na wydarzenia i pozwalać sobie na antypatie czy sympatie, pewnie, zapas dobroci i wyrozumiałości nigdy nie bywa niewyczerpany, ale musi go mimo to starczyć, byś zrozumiała postępek tego chłopaczka, którego widzisz po raz pierwszy, jakkolwiek jego los leży w twym ręku.

Póki nie zaczęłaś pracować w szkole, nic nie wiedziałaś o radzie do spraw nieletnich przy administracji domu, nie wiedziałaś także, że administracja ta zatrudnia pedagoga, ale teraz jesteś sama członkiem tej rady. Walisz się z nóg ze zmęczenia, ale musisz wytrzymać także te dwie godziny pracy — siedzi koło ciebie kilka kobiet, są to przeważnie emerytki, zaproszono również i ciebie, i jesteś oto po raz pierwszy w życiu obecna podczas rozpatrywania tego rodzaju sprawy: trzeba zdecydować, czy Jurka Bereziuka, który usiłował ukraść reflektory samochodowe i od blisko roku figuruje za to na liście chuliganów, awanturników, potencjalnych złodziei itp., można skreślić z tej listy.

Przyglądasz się tym kobietom, które zdecydują teraz o losie Jurka, widzisz, jakie są wszystkie zmęczone — nie mniej niż ty — i wiesz, że zamiast skupić

się całkowicie na sprawie, myślą w tej chwili o swoich bolących nogach i zdeptanych bucikach, o sprawach domowych i o różnych nieważnych drobnostkach, sądzisz bowiem, że wszystko inne w porównaniu z losem Jurka Bereziuka nie ma żadnego znaczenia, a w każdym razie należało to wszystko inne pozostawić gdzieś tam, za drzwiami tego pokoju, w którym zebrała się rada. Zalatuje tu kancelarią, atramentem, zmęczeniem, podpisanymi zaświadczeniami. Pedagog referuje sprawę i okazuje się, że Jurko Bereziuk jest w siódmej klasie, ma czternaście lat, w szkole zachowuje się dobrze, nie wywierał na kolegów złego wpływu, ale ostatnio zaczął się gorzej uczyć, często wychodzi dokądś z domu i pobił się ze szkolnym kolegą Łesiem Witrukiem — robisz sobie w duchu wyrzuty, że nie poszłaś poprzedniego dnia do Jurka do domu i nie porozmawiałaś z nim, bo wiesz, że masz tę ujawniającą się nagle, jakby spontanicznie, zdolność, która pozwala ci zmusić dziecko do rozmowy z tobą i mimo to...

— Nie, nie, nic złego nie robił, sama nie mogę w żaden sposób zrozumieć, jak to się stało z tymi reflektorami...

— To cecha charakterystyczna matek, że rozumieją mniej niż społeczność — sili się na aforystyczność pedagog — matki są zwykle zaślepienie i przeważnie...

Ciąg dalszy to cała seria nienagannie odszlifowanych sztamp, elokwentny wychowawca zna się na rzeczy, ale matka Jurka Bereziuka nie pozwala zbić się z tropu tą całą nawałą słów i mimo że twarz jej pokrywa się czerwonymi plamami, gotowa jest bronić swego dziecka, ty zaś jakoś zaczynasz wątpić, czy argumenty matki są słuszne.

Gdyby Jurko miał taką miłą i powabną powierzchowność i taki anielski głosik jak Łeś Witruk, cała

sprawa potoczyłaby się zupełnie inaczej. Nie znasz, co prawda, Łesia, ale dawno już zdałaś sobie sprawę z faktu, że osobiste sympatie i antypatie często decydują w takich sprawach, jakich rozstrzygać nie powinny.

W twarzy Jurka Bereziuka jest już jakiś rys dorosłego, dojrzałego mężczyzny, ma Jurko takie same wąskie, zaciśnięte usta jak jego matka i nic tu nie poradzisz — każe ci to mieć się na baczności, budzi nieufność, a kiedy chłopak ochryplym głosem odpowiada na pytania, tak bezbarwnie i krótko, nie usiłując pozyskać sobie sympatii i uderzyć w odpowiedni ton, denerwuje tym jeszcze bardziej zmęczone emerytki, już teraz przekonane, że Jurko gotów jest bodaj w tej chwili pójść i zdjąć jeszcze z dziesięć reflektorów samochodowych, mało tego, ucieknie się bez wątpienia do każdego podstępu, żeby dokuczyć dorosłym i kazać im znowu tracić tu czas z powodu zdradzieckich poczynań. Trzeba takich mieć na oku — myślą tak wszyscy, nawet zaproszona na to posiedzenie nauczycielka z klasy Jurka Bereziuka, jakkolwiek nie zaobserwowała u chłopca nic szczególnie złego, godzi się w końcu z opinią, że na razie Jurka skreślić z listy nie można.

I wtedy, jak zwykle w ostatnich czasach, niczym ostry miecz przeszywa cię myśl: poczekaj... a gdyby to był twój syn?

Nagle wszystko ulega przesunięciu, zmienia się ujęcie, inne jest ustosunkowanie do ludzi, co innego znaczą słowa i intonacje — w innym świetle ukazuje się wyraz twarzy każdego z obecnych; poczekajcie, poczekajcie, a gdyby to był — wasz syn? Wasz, twój, nasz, mój?

To ty stoisz przed sądem, to twoja twarz pokryta jest czerwonymi plamami, twoje usta zacisnęły się



tworząc cienką niteczkę, ty położyłaś cienie na powieki, bo nie chcesz za nic, żeby ktoś zobaczył, jakie są opuchnięte od płaczu, ty przypudrowałaś twarz, żeby nikt nie ujrzał na niej męki, która wygląda jednak z każdej zmarszczki, krzyczy z każdego podświadomego grymasu, mimo że tak się starasz panować nad wyrazem twojej twarzy. A twój syn, twoje dziecko — wiesz, że zdjął te reflektory, nie rozumiesz tylko do-  
tąd, po co to zrobił, dlaczego, bo przecież pół godziny temu rozmawialiście o bocianach, które wróciły i zamiast wiosny powitał je mróz, zimno, śnieg, nie mają się gdzie ukryć biedne, bezbronne bociany — dlaczego poszedł zdjąć te reflektory od razu po rozmowie o bocianach? Nigdy nie był fałszywy ten twój chłopczyk. Jeżeli mówił nawet nieprawdę, było to takie niewinne dziecięce kłamstewko, taka nieporadna i jawna próba ratowania się przed jakąś niewielką karą, że od razu ze śmiechem wykrywałaś tę błagę i więcej jej nie było — więc dlaczego właściwie reflektory? Sta-  
nęły między wami, zrodziły obcość i nieufność, dopytywałaś się, a on milczał, ojciec zbił go dwa-trzy razy, a ty nie próbowałaś wziąć go w obronę i chłopak zaczął uciekać z domu przed tymi pytaniami, przed milczącą nieufnością, bo nie wierzyłaś jego objaśnieniu: zrobiłem tak sobie i nigdy więcej nie będę, słowo honoru, że nie będę — a skoro nie wierzyłaś ty, jak mogli uwierzyć obcy ludzie?

Twój syn pobił się z jakimś Łesiem Witrukiem, kto wie, czy ten Łeś nie dopiekał mu skradzionymi reflektorami, lekcji twój syn nie odrabia, nie ma do nich głowy, jego wargi zaciskają się tworząc cienką linijkę, jego gładko zaczesane włosy wydają się tak żałośnie popielate, a spojrzenie — kłujące i obce.

Pamiętasz tę historię — twój syn (rzeczywiście twój własny) zgubił czyjś pierścionek z drogim kamie-

niem i wypytywałaś się codziennie, nalegałaś — powiedz prawdę, powiedz prawdę, a syn odpowiadał wciąż jedno i to samo. Niemal rozdzieliła was ściana, granica, przepaść, było to beznadziejne nieporozumienie, koniec, czułaś już, że tracisz jego zaufanie, ztraca się więź duchowa między wami, wszystko w ogóle znikało, a ty nieustępliwie domagałaś się prawdy.

— Za co wciągnięto cię na listę, Jurku?

— Kradzież automobilowa.

— Co, ukradłeś samochód? Chciałeś pojeździć? A umiesz?

— Nie. Nie. Nie.

Na wszystkie trzy pytania ta jedna tylko odpowiedź. Nie samochód, tylko reflektory, nie chciałem jeździć, nie umiem.

— Synu, powiedz mi w końcu prawdę — mówiłaś tak do swego syna.

— Zgubiłem. Nie. Nie. Nie. Zgubiłem, naprawdę zgubiłem.

Och, te powtarzane sto razy słowa, niemal monosylaby!

To, co wiedziałaś, przedstawiało się następująco:

Dziewczynka mieszkała naprzeciw. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy i można było z nią porozmawiać, wsiąść na rower i pojechać w stronę lotniska lub Brzuchowic, kupić po dwadzieścia pięć kopiejek bilety do kina i obejrzeć film o Czinhaczuku — Straszny Smoku, można zjeść loda i bawić się piłką — obserwowałaś jego naiwne dziecięce zakochanie. Niekiedy zerkał ukradkiem w okno i kiedy dziewczynka tam na dole, po drugiej stronie ulicy, pod bramą kręciła się jak fryga, szczuplutka, z nogami jak zapalki, z króciutkimi włosami i śmieszna, okrągłą twarzą, zapewniał cię, że wszystko już przeczytał, nauczył się i rozwiązał, po czym biegł na

dół, na tamtą stronę ulicy. Bardzo chętnie spacerował z nią po tej ulicy podczas deszczu, zwłaszcza wieczorem, kiedy światła latarni pływały w kałużach. Szli po żółtych refleksach ulicą w dół, wciąż w dół, ona w przezroczystym deszczowcu z kapiszonem; woda spływała po połyskującej, chłodnej powierzchni płaszczyka, on zaś nic nie wkładał na głowę, miał wtedy taką czarną skórzaną kurteczkę, niezgrabny drągał z mokrymi, przylepionymi do czoła włosami, twój dwunastoletni syn, zakochany po raz pierwszy w życiu w dziewczynce z domu po drugiej stronie ulicy. Dziewczynka skakała na jednej nóżce, bawiła się w klasy, nosiła ze sobą skakankę i piłkę, a tuż za nią chodziła jej koleżanka, grubaska z ciężkim, zwisającym poniżej pasa warkoczem. Dziewczęcym zwyczajem o czymś ze sobą szeptały i w takim wypadku twój syn nigdy nie wychodził na ulicę. Czytał leżąc na kanapie albo majsterkował usiłując zrobić łódkę, która poruszałaby się sama po wodzie, instalował silniczek, silniczek nie działał, więc chłopak zaczynał wszystko od nowa i trwało to aż do wieczora, kiedy zaczynał mżyć lwowski deszczyk i koleżanka jego dziewczynki gdzieś zniknęła; z małego naiwnego uczniaka przedzierzgał się wtedy w zakochanego.

Ciekawe, że nigdy nie wpatrywał się w jej okna. Pewnego razu — wszyscy wiedzieli, że jego dziewczynka mieszka naprzeciw — ktoś z dorosłych głupio sobie pożartował:

— Patrz, stoi tam jakaś babka w samej koszuli — czy to nie ta twoja?

Pamiętasz, co się z nim działo?

— To nie ona. I niech się pani nie waży, nie wolno pani nigdy patrzeć w te okna!

Zachłystując się słowami niemal żądał, żebym za-

słoniła wszystkie okna i w ogóle nie pozwalała nikomu patrzeć w stronę jego dziewczynki.

Następnego dnia wieczorem przysłała jej matka, matka tej małej, i powiedziała:

— Syn pani ukradł nam złoty pierścionek.

Prawdę mówiąc, byłaś pewna, że chłopiec nie odróżni złota od miedzi i diamentu od szkiełka, ale jakie to miało znaczenie? Twój syn ukradł złoty pierścionek.

Wymierzono ci policzek, obrażono cię, ale — jeżeli to prawda?

— Nie wziąłem. Nie, nie. Nie wziąłem. Nie wziąłem.

Przy matce tej dziewczynki nie powiedział więcej ani słowa. Dziewczynka stała przy drzwiach, blada, taka blada, że, jak się zdawało, lada chwila osunie się zemdlona na podłogę, nie powiedziała też ani słowa, nic nie tłumaczyła, w milczeniu połykała ślinę, kurczowo zaciskała wargi i ściągała brwi; ładniutka dziewczynka, nawet w tym strachu bardzo ładniutka, mój syn ma dobry gust — pomyślałaś bez związku z sytuacją, bo takie niestosowne myśli zawsze przychodzą do głowy, kiedy sytuacja właśnie wymaga szczególnego napięcia nerwów — pani syn ukradł, powiedziano ci. Okazuje się, że kobieta nie widziała przedtem chłopca, wydaje się jej z wyglądu uczciwy i ładny, nie jest już teraz taka pewna, czy rzeczywiście ukradł, ale pierścionek przecież znikł...

Syn ci później opowiedział: dziewczynka wzięła z domu pierścionek, bawili się w parku jak zwykle — piłką i skakanką — poprosiła go: masz, potrzyмай, schowaj! Był na rowerze, wziął pierścionek nawet sobie nie uświadamiając, że bierze do rąk złoto, włożył do kieszeni, a potem nic w niej nie znalazł. Było to wprost nie do wiary, nie wyobrażałaś sobie, jak mógł

zgubić pierścioneł, tym bardziej że w kieszeni nie było dziury,

— Coś z nim zrobił, coś z nim zrobił?

— Nic nie zrobiłem, nie ukradłem, mówię prawdę.

Po kilku dniach przybiegł zasmarkany malec w charakterze posłańca i zadzwonił do drzwi jak na pożar — przyniósł od dziewczynki karteczkę, którą w swojej naiwności oddał tobie; wręczyłaś ją adresatowi, ten zaś spokojnie porwał kartkę i wrzucił do pieca. Chyba drogo go kosztował ten spokój, ale nie przeczytał liścika.

Prawdę mówiąc, dotychczas nie wiesz, czy wszystko było tak, jak ci opowiedział syn, ale uwierzyłaś. Uwierzyłaś w rzecz najważniejszą — nie ukradł i w głowie mu nie powstało, że to złoto. Matka dziewczynki widocznie też coś sobie wytłumaczyła, bo nie pojawiła się więcej. A twój syn więcej nie spacerował na ulicy w deszcz z tą dziewczynką, zauważyłaś jedynie, że niekiedy zerka na drugą stronę ulicy i odwraca się od razu.

W jakiś miesiąc później zupełnie przypadkowo znalazłaś u niego kartę do gry — goła dama pik z jakiejś serii kart pornograficznych; kazałaś mu pódrzeć tę kartę natychmiast, w twoich oczach; porwał ją tak samo spokojnie i bez żalu jak liścik od swojej dziewczynki. Przestraszył cię ten spokój — trzeba było coś robić, trzeba było ratować siebie i syna przed czymś, czego nie znałaś z nazwy i co tylko instynktownie wyczuwałaś, jak ptak czuje zbliżającą się burzę lub trzęsienie ziemi, nie miałaś już czasu na analizowanie waszych stosunków wzajemnych, czułaś, że trzeba się ratować i ten instynkt właśnie pódowiedział ci wyjście z sytuacji, może nie to jedyne najlepsze, ale mimo wszystko wyjście: kupiłaś bilety

na pociąg i pojechaliście we dwoje, z małą walizką, żeby nawet rzeczy nie przeszkadzały...

— Poczekajcie, panie, nie wpisujcie nic do protokołu — zwracasz się do kobiet decydujących o losie Jurka — przemyślcie wszystko od początku, ale tak, jakby chodziło o waszego własnego syna. Jeżeli nawet wyczerpałyście w ciągu swego życia cały zasób dobroci, dla własnego syna chyba coś zostało? Prawda?

Niestety, w tym sęk, że nic nie powiedziałaś, nie wyrzekłaś tych słów i dlatego tak się teraz zadreżczasz, i tak samo nie odważyłaś się od razu wejść do „dużego” pokoju; analizujesz swój każdy krok i chcesz znaleźć wytłumaczenie dla swego postępowania, dlaczego właściwie nie oświadczyłaś, że masz zaufanie do tego chłopaka, do Jurka Bereziuka? Co zrobiłaś z dobrocią i mądrością, czysto macierzyńską dobrocią i mądrością, dlaczego z nich nie skorzystałaś w odpowiedniej chwili?

Pójdiesz do Jurka Bereziuka? Spotkasz się z nim? Zrób tak, naturalnie, i uważaj, nie zwlekaj zbyt długo, żeby nie było za późno.

Ileż razy stałaś już niemal na skraju przepaści w swoich stosunkach z synem, ileż razy bałaś się, żeby nie było za późno, jak bardzo chciałaś cofnąć swoje słowo i postępek, jak czekałaś, że powie: — Wsiadaj na konia, mamó! — i wskakując na krzesło, doda — to koń. Niestety, od czasu, kiedy roześmiałaś się po raz pierwszy z tej jego fantazji, nie zawołał cię więcej, bawił się sam i tworzył samodzielnie, już niedostępny dla ciebie, świat niezwykłych obrazów i słów.

W pierwszym dniu nauki, kiedy przysłaś do swoich czwartoklasistów, było ich zaledwie pięcioro. Py-

tałaś o imię i nazwisko, niby od niechcienia rzucałaś jeszcze jakieś pytania, żeby wyrobić sobie jakie takie pojęcie, z kim będziesz miała do czynienia w ciągu roku, ta piątka bowiem obiecała, że wszyscy będą przychodzili „na grupowe” z całą pewnością. Mieli po temu swoje własne przyczyny, których ci na razie nie wyjaśnili, przypatrywali ci się tylko tak samo uważnie jak ty im, badali, badali gruntownie i skwapliwie. Ważne było dla nich wszystko — twój głos, pierwsze słowa, nawet strój i chód, z nie ukrywaną ciekawością patrzyli na pierścionek z dużym bursztynem na twoim palcu, rzucali sobie jakieś krótkie odzywki, rzecz zrozumiała, że mieli swój slang, którego nie znałaś i nic z tych słów nie rozumiałaś, ale miałaś mimo wszystko nadzieję, że z czasem zrozumiesz.

— Ma pani perukę czy własne włosy? — było to jedyne pytanie jakie postawiła ci na głos jedna z dziewczynek. Pozostali nie roześmieli się, lecz czekali na odpowiedź. Dowiedziawszy się, że własne, dziewczynka pokazała kolegom język. Domyśliłaś się, że pewnie się o to założyli. Więcej pytań owego dnia nie było i trochę zmarkotniałaś: sama jesteś winna, czy może dzieci są takie... takie tępe?

Następnego dnia miałaś jeszcze większego stracha: przyszło ich tylko troje, a kiedy ostrożnie i nie wprost zadałaś im starannie obmyślane pytanie, dlaczego tak mało dzieci przyszło na zajęcia grupowe, przecież obowiązkowo powinno chodzić dwadzieścioro, odpowiedzieli ci jasno i wyraźnie, że nie ma tu nic ciekawego. Spróbowałaś im wytłumaczyć, że nie przychodzi się tu na zabawę i nic ciekawego być nie może, bo praca jest pracą i musi zainteresować sama przez się... Dzieci zupełnie straciły humor, widać było, że zbiera im się na ziewanie, że chętnie by się przeciągnęły, więc wyszłaś z nimi na szkolne podwórze, gdzie trochę po-

biegały, bawiąc się w ślepą babkę, potem zjadły obiad w szkolnej stołówce i zostawiły na talerzach niemal wszystek makaron, mimo że tak je zachęcałaś do zjedzenia, wreszcie wróciłaś z nimi do klasy, żeby „odrobić lekcje”. Patrzyły na ciebie, dając ci wyraźnie do zrozumienia, że nie oczekują twoich objaśnień i przelewania z pustego w próżne w związku z jakimś tam rzeczownikiem, lecz chcą, żebyś im to napisała na tablicy, i zadanie arytmetyczne na tablicy — i jeszcze co na tablicy, dziateczki?

— A Tatiana Petriwna nam pisała — otwarcie oświadczyły zawiedzione dzieci, kiedy im poleciłaś, żeby się zabrały same do pracy.

Zajrzała do klasy zastępczyni dyrektora, ze zdziwieniem uniosła wyskubane brewki:

— Więc to jest cała grupa? Za mało! Za mało, proszę pani.

Że zrobiła tę uwagę przy dzieciach, wydało ci się trochę nietaktowne, ale trzeba było zmilczeć, bo odpowiedzieć byłoby jeszcze nietaktowniej.

— Jeżeli nie będzie pani pisała na tablicy, w ogóle nikt do pani nie przyjdzie — bardzo poważnie ostrzegła mnie ta sama dziewczynka, która pytała o perukę.

— A was wysłano na zwiad, żebyście przewąchały, jak będzie? — roześmiałaś się i śmiech twój widocznie zadziałał, bo dzieci też się zaczęły śmiać razem z tobą i nawet już o nic nie pytając dowiedziałaś się po chwili, że ci troje nie mają się w ogóle gdzie podziać. Dziewczynce umarła matka, kiedy mała liczyła zaledwie trzy lata, nie pamięta matki i wydaje jej się niekiedy, że nikt jej nie urodził, że sama się wyłupiła z orzecha lub z ziarenka grochu.

Dziewczynka miała ładne imię Zuzanna, była mocno ruda, o dużych ustach i pięknych, lekkich rumień-



cach na delikatnych policzkach. Była w niej jakaś porcelanowa kruchość, a zielonkawie oczy zasnuwały się nagle mgiełką takiego ciężkiego, niedzięciwego smutku, że aż żal cię ogarniał.

Jednego z chłopców przezywano Robin Hood, bo jakiś czas przynosił do szkoły łuk, a poza tym nie było w nim nic z Robin Hooda, był mały, o pulchnych policzkach, szczerbaty i śmieszny w swojej dziecięcości, z kórej chyba nie zamierzał wyrastać. Przepadał za zupą i wszystkimi w ogóle potrawami, które podawano w szkolnej stołówce, w domu nie miał z kim odrabiać lekcji i, mimo że uczył się nieźle, wolał zostawać na „grupowych”, niż iść do domu.

Drugi chłopak był zabijaką i nie ukrywał swoich wojowniczych zamiarów w stosunku do całego świata, jego szkolny mundurek, wymięty i zniszczony, zdawał się go krępować, więc to zrzucał, to znów wkładał marynarkę, wyjmował z kieszeni jakieś kulki, magnes, kawałki drutu i dawał ci wyraźnie do zrozumienia, że ani myśli zabrać się do lekcji. Do domu nie szedł, bo za każdym razem czekały go tam porządne cięgi — matka nawet o nic nie pytając brała pas i waliła. Nazywał się Iwan Tkacz, ale nadano mu przezwisko Osa, może ze względu na jego kaśliwość, a może była po temu jakaś inna przyczyna; reagował na to przezwisko spokojnie, nie obrażał się.

— No cóż — powiedziałaś — niech będzie troje, będziecie dziś pracować we trójkę.

Przekonywałaś samą siebie: musisz coś zrobić, żeby ta trójka powiedziała w klasie: nie było nudno! Cóż, że takim tanim sposobem chcesz zwabić tu innych, nie zamierzałaś korzystać na razie z żadnego innego i dobrze zrobiłaś, postąpiłaś słusznie, co dowiodły ci od razu same dzieci.

Zuzanna zapytała:

— Nie pójdzie pani poskarżyć się rodzicom, że nikt nie chodzi? I do Żaby pani nie pójdzie?

— Nie wiem, kto to taki Żaba — powiedziałaś — więc jak do niej pójde?

Dziewczynka zmieszala się, ale powiedziała mimo wszystko, że chodzi o „psorkę”, czyli, ściślej mówiąc, o wychowawczynię klasy Marię Kłymiwnę. Przewisko wydało ci się takie trafne, że omal się nie roześmiałaś, powstrzymałaś się z trudem i wygłosiłaś zamiast tego nudne pouczenie, że... słowem, wszystko, co należało w związku z tym powiedzieć, powiedziałaś. Obiecałaś dzieciom, że Żaba nie dowie się o tym przyzwisku, jeżeli go więcej od nich nie usłyszysz. A skarżyć się do nikogo nie pójdziesz...

Dopiero po blisko miesiącu na zajęcia zaczęło przychodzić piętnastcioro. Nie umiałaś jeszcze wtedy sama sobie doradzać: poczekaj, nie śpiesz się, pomyśl — mógłby to być twój syn — jeszcze tego nie umiałaś, ale byłaś już na drodze do takiego stawiania sprawy, kiedy prosiłaś matkę Iwana, żeby nigdy więcej nie biła syna — nigdy? — no, bodaj do następnego spotkania z tobą. I nie powiedziałaś jej, że rozmawiałaś z Iwanem długo, jak z dorosłym, kiedy wracaliście raz we dwoje do domu po zajęciach.

Iwan pytał matki:

— Gdzie jest mój tato?

— Daj mi spokój!

— Gdzie jest tato?

— Powiesił się na suchej wierzbie, bierz go cholera!

Ach, powiesił się na suchej wierzbie? A dlaczego na suchej wierzbie?

Wydarzyło się to ubiegłej zimy, mamy nie było w domu, przyszedł mężczyzna, zapukał do drzwi, Iwan otworzył, był to malarz ścienny. Iwan domyślił się,

bo malarze tak się ubierają, mężczyzna przyglądał się długo Iwanowi, przechyliwszy na bok głowę, jakby sam sobie nie wierzył, że można zobaczyć tak blisko takiego małego chłopczyka, takiego małego, tyckiego chłopczyka, ach, mój mały, masz tu trzy ruble, weź, no weź, słyszysz!

— Taki pan dobry? — powiedział Iwan. — Nie potrzebuję pańskich trzech rubli. — Domyślił się, że to właśnie ten, co się powiesił na suchej wierzbie, chłopak słyszał, jak dorośli mówili głośno, że on, Iwan, podobny jest do malarza, który kiedyś malował ich mieszkanie, i śmiali się przy tym. Czyż mógł więc Iwan nie domyślić się, że był to właśnie ten dziwaczny malarz?

— Nigdy więcej nie przyszedł — powiedział Iwan i sama nie wiedziałaś, czego było więcej w jego słowach: ironii czy żalu po tym dziwaku, który, nie wiadomo dlaczego „powiesił się na suchej wierzbie”.

— Może był to po prostu jakiś nieznamy — powiedziałaś. — Bywają na świecie tacy ludzie, którym przychodzi chętka zrobić coś niezwykłego. Znam jednego...

— Pomyślałem sobie raz, kto pochowa ostatniego człowieka, jeżeli wszyscy poumierają.

— Masz tobie. Skąd ci przychodzą do głowy takie myśli? To niemożliwe, żeby wszyscy umarli, nawet gdyby...

— Nawet gdyby była wojna atomowa?

— Nie będzie wojny, Iwanku. Jeżeli ty nie chcesz i jeszcze ktoś drugi nie chce, czyż dojdzie między wami do kłótni i bójki? I każdego zmusicie, żeby siedział cicho, jeżeli nie życzyacie sobie bójki.

— To prawda. A dorośli — ci już w ogóle, kogo zechcą... Wie pani, moja mama nie jest zła, dobra jest, tak tylko o niej mówią, bo tak naprawdę, wiem, że jest

dobra... Raz nawet płakała, biła mnie i płakała, ale kiedy mnie ktoś bije, sam nie wiem, co bym zrobił, byle tylko na złość. Gdyby mnie pani bodaj raz uderzyła, nic by się pani nie udało.

— A co mi się miało udać?

— No, wszyscy chcieli mnie oswoić, jak psa. I wszyscy bili. Jeżeli nawet nie bili, to chcieli uderzyć, wiem już, jakie człowiek ma oczy, kiedy chce uderzyć, a pani nie chciała ani razu.

Przyniosłaś do klasy patefon i płyty, pieśni o matce, czytałaś im wiersze, tak długo aż trochę ochrypałaś i któreś z dzieci zapytało: przynieść pani wody, dobrze? A Zuzanna siedziała taka nieobecna duchem, z takim głębokim smutkiem w swoich zielonkawych oczach, że zrobiło ci się przykro i urwałaś w pół słowa, ujrawszy wyraz jej twarzy. Dziewczynka zauważyła, że na nią patrzysz i jakby starła z twarzy smutek, potrząsnęła swoimi rudymi lokami, aż jej opadły na oczy, i przewyciężając swój ból, uśmiechnęła się do ciebie, ty zaś pomyślałaś wtedy znowu o miarce mądrości niezbędnej w dobroci.

Dzieci miały napisać wypracowanie o drzewie, o brzozie — w podręczniku wymieniono kilka słów, które koniecznie należało zastosować w tym wypracowaniu, a wszystko inne miało już być z fantazji, jak kto potrafi.

Iwan napisał: „Widziałem wiosną złamaną brzozę. Kapał z niej sok w tym miejscu, gdzie była złamana. Sok wyglądał jak łzy. I widziałem jeszcze, jak ptaszek wiał gniazdo na złamanej brzozie. Mimo że brzoza była już nieżywa”.

Iwan nie posłużył się żadnym ze słów, których należało użyć. Może po prostu, „żeby na złość”, ale nic mu nie powiedziałaś, poprawiałaś tylko błędy i poradziłaś, żeby wypracowanie przepisał. Chłopak machnął ręką,

nie zabrał się do przepisывania. Dwa razy robić to samo — tego było dla Iwana za dużo. Mimo to jego wypracowanie spodobało ci się najbardziej. Żaba nie zgodziła się z tobą i to nie po raz pierwszy, już przedtem uprzejmie, lecz wytrwale spierałyście się niejednokrotnie o te dzieci, wychowawczyni klasy dowodziła, że na zajęcia grupowe chodzą najczęściej ci, którym Bóg dał niewiele rozumu i którzy nigdy w życiu i z żadnego przedmiotu nie zasłużą na więcej niż na trójkę. Żaba nie uznawała innych ocen dla ludzkich możliwości niż szkolne stopnie, znała gramatykę i prawidłowo stawiała akcenty w każdym wyrazie, tutaj trudno się z nią było spierać, ale jeżeli chodzi o zasób dobroci, to chyba nigdy z niego nie korzystała. Z powodu tego jej braku wykształcenia i kultury wynikały czasem kłopotliwe dla ciebie sytuacje: kiedy dzieci zapytały cię raz, kto to taki Maria Konopnicka — niemal wszystkie mieszkały na ulicy Konopnickiej — opowiedziałas im coś niecoś o poetce i poradziłaś, żeby przeczytały książkę o sierotce, a następnego dnia przyszły do ciebie i oświadczyły, że pytały także Marię Kłymiwnę, kto to taki Konopnicka, i usłyszały, że — słynna śpiewaczka; komu teraz wierzyć, pytały dzieci, nie wypowiadając zresztą na głos tego pytania.

Trochę się stropiłaś, nie wiedziałas, co tu począć. Bierz ją licha, tę głupią Żabę, trzeba powiedzieć, że Maria Konopnicka — to mimo wszystko Maria Konopnicka, a nie na przykład Sołomija Kruszelnicka, ale jak to powiedzieć? Czym wytłumaczyć dzieciom błąd ich nauczycielki? Jak nie zachwiać w ogóle wiary w nauczyciela i jego nieomyślność? Sama nie wahałaś się zwykle z wyznaniem, że czegoś nie wiesz, powiedziałaś im nawet, że w dzieciństwie słabo znałaś matematykę, a co dopiero teraz — mimo to rozwiązujesz z nimi zadania, poprosiłaś syna, żeby zrobił dla nich tablice

matematyczne, i sama przesiadujesz wieczorami nad podręcznikiem — czy nie lepiej by było, gdyby się ta Maria Kłymiwna przyznała, że nie wie, kto to taki Maria Konopnicka, której imieniem nazwana jest ulica w mieście?

Sławko Żuk sprzedawał gumę do żucia przed wejściem do stołówki. Można pozazdrościć młodocianemu biznesmenowi, miejsce wybrał idealne, przecież każdy, kto idzie do stołówki, musi mieć w kieszeni lub w garści pieniądze. Właśnie — w gotówce i od razu na rękę, żadnego „na kredę” czy „potem” i w żadnym razie nie w naturze, w jakichś tam papierkach od cukierków, znaczkach czy pudełkach od zapałek. Za sztukę brał Sławko czterdzieści kopiejek, czelności i śmiałości można mu też pozazdrościć. Sławko jest w twojej grupie, mogłabyś się cieszyć, że masz takiego mądrego chłopczyka. Ileż ten zuch utargował? Wczoraj poczęstował cię gumą nieodpłatnie, za to dzisiaj — jaki był właściwie utarg?

— Bardzo panią proszę, niech go pani zostawi w spokoju, niech dziecko robi, co chce — perswaduje ci Żaba (byłaś jej tylko nie nazwała w rozmowie Żabą — pamiętaj, że to Maria Kłymiwna). — Lepiej się nie wtrącać, bo jeżeli zabierze się pani do tej sprawy, trzeba już będzie pójść dalej: skąd wzięłaś, co kupujesz za te pieniądze, a jestem więcej niż pewna, że to matka dała mu tę gumę i kazała sprzedać, wiem, że jeździła niedawno do Polski — mówi nie czerwieniąc się Żaba. Idziesz jednak i odbierasz Sławkowi resztę gumy — jeszcze zostało mu sporo tego towaru — rozdajesz całej grupie mówiąc:

— To Sławko Żuk was częstuje, podziękujcie mu, dzieci. — Sławko patrzy zły i naburmuszony, jak znika guma i z nią razem oczekiwany dochód. Nie obawiasz się, że matka Sławka przyjdzie do szkoły na skargę?

Nazajutrz matka Sławka nie przyszła do szkoły, za to Sławko dał Iwanowi do przepisania zadanie za dwadzieścia kopiejek. Wzruszająca troska o sprawiedliwe wynagrodzenie za pracę. Zuch z tego Sławka. Bardzo „nowoczesne” dziecko. I Żaba śmieje się wesoło z takiej przedsiębiorczej „nowoczesności”.

Poczekaj, poczekaj, po co drepcesz w kręgu tych drobnostek, jakbyś chciała zamieść ślady swoich rozmyślań, jakbyś chciała samą siebie zaprowadzić nie wiadomo dokąd różnymi wspominkami z osobistego — nie! — z życia szkoły? Tyle tych szczegółów, wiele mówiących stosunków, tyle tych niuansów, półtonów, półgestów, półspojrzeń — opamiętaj się, dlaczego wybierasz tylko tak, żeby trochę w tym było humoru, odrobina naiwności, odrobina dobroci, ale wszystko razem — to jeszcze nie problem. Problem zaczyna się dla ciebie wtedy, kiedy zbyt późno przypominasz sobie pytanie: a co, gdyby to był mój syn, moje dziecko? Ale nie dopuszczasz nawet myśli, że twój syn mógłby dać komuś do przepisania zadanie za dwadzieścia kopiejek i sprzedawać gumę do żucia przed drzwiami szkolnej stołówki.

A jeżeli chodzi o te reflektory — czy coś podobnego mogłabyś przypuścić? Dlaczego opamiętałaś się tak późno, dlaczego nie przemówiłaś do rozumu tamtym, co siedzieli obok ciebie?

Problemy szkoły mają charakter o wiele ogólniejszy niż te drobnostki, które poruszasz. Koniec końcem może rola nauczycielki w klasach niższych nie sprowadza się do jej wykształcenia i faktu, że myli się jej Kruzelnicka z Konopnicką, lecz ma jakieś zupełnie inne wymiary, a ty zapuszczasz się, dziwaczko, w jakieś niepotrzebne roztrząsania — zastanów się lepiej nad faktem, że nauczyciel był zawsze nie tylko krzewicielem wiedzy, którą przekazywał niejednemu pokoleniu,

że był również, jest i niewątpliwie będzie tym ogniwem, co łączy pokolenia z pokoleniami pomagając im zespalać się i rozumieć wzajemnie głębiej i lepiej. Prawda, że problem? Zgadzasz się z tym czy nie, jest tak mimo wszystko, ale nie w głowie ci to teraz, wyrzucasz sobie, dlaczego nie przekonałaś komisji, że Jurka Bereziuka trzeba skreślić z listy. Jak nie wyczułaś, że chłopczyka to dręczy, że trzeba go od tego uwolnić, zaufać mu, brak zaufania bowiem może spowodować katastrofę.

Ojciec Zuzanny przyszedł do niej w sobotę, mała nie jest do niego ani trochę podobna, to wysoki brunet o twarzy jak z kamienia, chyba tylko to smutne spojrzenie dziewczynka ma po ojcu, nic więcej. Wziąwszy w ręce jej teczkę ojciec nachylił się do dziewczynki i o coś zapytał, ona zaś twierdząco skinęła głową, i poszli razem — dwa kroki dziecka i jeden dorosłego człowieka — była w tym jakaś pewność, że nie stanie się nic złego, że wszystko będzie dobrze nie tylko z małą, ale również z całym światem i także z tobą, trzeba tylko jednego — mądrej dobroci, więc dlaczego się nie połapałaś sama i nie przekonałaś innych?

Brzdęk-brzdęk — wciąż grają na gitarze, jak można tak długo i bezmyślnie brzdąkać, zaczynasz się już gniewać i masz chęć wstać mimo wszystko i powiedzieć im, że czas już się rozejść, iść do domu, ale to dorośli ludzie, prawie wszyscy wyrastali z twoim synem i jeżeli są tacy, a nie inni, jest w tym coś z wpływu twego syna oraz twego własnego wpływu.

Iwan napisał karteczkę i włożył ją do zeszytu Zuzanny. „Jak chcesz zobaczyć usmy cud świata, przyjdź jutro o szustej na plac Dąbrowskiego. Iwan”.

Bez podpisu też byś poznała to nierówne pismo, wszystkie błędy również wskazywały niewątpliwie na Iwana, gdyż tylko on jeden w grupie mógł napisać



„zubaczyć”, „usmy” i „szustej”. Zuzanna niewątpliwie nie zamierzała nikomu pokazywać karteczki, zobaczyłaś te gryzmoły przypadkiem przeglądając jej zeszyt i nie wiadomo dlaczego, serce ci się ścisnęło, zamarło: ten łobuziak, który wybijał w szkole szyby, jak przystało łobuziakowi, który dawał się we znaki Marii Kłymiwnie swoimi psotami i zameczał również ciebie swoimi zmiennymi humorami, przynosił do klasy karty i wciągał do gry całą gromadę, głośno recytował byle jak wyuczone wiersze, darł cudze zeszyty, żeby robić „ptaszki”, smarował klejem ławkę, na której miała po chwili usiąść ta sama Zuzanna — nie sposób wyliczyć jego figli, to nie kończący się serial — i ten łobuziak pisze karteczkę i obiecuje pokazać Zuzannie „usmy cud świata”. Co mu w ogóle wiadomo o cudach świata i ich ilości? Ale napisał mimo wszystko, że ósmy! Niepokoisz się, że może to znowu jakaś psota, jakiś szalony wybryk! Co tym razem wymyślił, jaki cud przygotowuje dla małej? Podpalili przecież chłopaki stary drewniany teatr w Astrachaniu — tak sobie, z ciekawości, bo nigdy nie widzieli dużego pożaru — alboż to nie „usmy cud świata”? Widziałaś raz, jak dzieci przyglądały się uradowane dużej zielonej choince przywiezionej i ustawionej w centrum miasta specjalnie dla nich na Nowy Rok, a potem z taką samą radością patrzyły, jak ją zwalono i porąbano. Mali grzesznicy o dobrych sercach, wspaniale beztroscy i obarczeni poważnymi obowiązkami, myśliciele z naiwnym pociąganiem do zabawy — więc zdajesz sobie jednak sprawę, czym dla nich jesteś? I kim?

Ósmy cud świata... Niezależnie od wszystkich niepokojów, co to ma w ogóle być?

Niespodzianie budzi się zazdrość: przecież tobie nikt nigdy nie obiecywał, że pokaże ci ósmy cud świata. Podświadome pragnienie, żeby przyjść o szóstej na plac

Dąbrowskiego, nie dawało ci spokoju, zaraziłaś się dziecięcą ciekawością i odczuwałaś jednocześnie niepokój, tylko już mniejszy, niespodzianie (a może teraz już rozmyślnie, boś go obserwowwała) złowiłaś spojrzenie Iwana. Nie odrywał wzroku od Zuzanny, a jego oczy były pełne napięcia, jakby zamierzał zahipnotyzować dziewczynkę i zmusić, żeby się obejrzała, a kiedy rzeczywiście odczuła to uparte spojrzenie, obejrzała się i jej oczy spotkały się z oczami chłopca, ten natychmiast nisko zwiesił głowę, jakby go przyłapano na czymś absolutnie już niedozwolonym. Iwan zwiesił głowę? Nie widziałaś dotąd nic podobnego, zawsze patrzył interlokutorowi w oczy, a w jego czarnych źrenicach skrzyła się ciekawość: a co mi powiesz nowego, a co mi zrobisz, no co? No, uderzysz i co więcej? Nic mi nie zrobisz, nie złamiesz mnie, nie przekonasz, nie zmusisz do niczego — więc uderz, uderz... Iwan spuścił głowę? Jakież będzie ten ósmy cud? Może Iwan chce się wdrapać na dach jakiegoś domu? Ukraść samochód i pojechać z Zuzanną... Ukraść samochód. Zdjąć z niego reflektory.

#### 4

Ciche jest moje sumienie, ale uparte i nieustępliwe. Chodzi za mną. Dokucza. Dopytuje się. Ukazuje wszystkie moje czyny w takim świetle, że przestaję się sama sobie podobać. W swojej bezradności rozkładam ręce, nie mogę w niczym dopatrzeć się sensu. Ze zwykłych, codziennych słów sumienie wznosi przede mną taką konstrukcję, taki labirynt, z którego rzeczywiście nie ma wyjścia. I nie ma usprawiedliwienia dla mojej bezradności, dla moich błędów w pracy i braku profesjonalizmu.

Cenię w ludziach profesjonalizm. Nie ten profesjona-

lizm próżnych i głuchych snobów, nadzianych po dziurki nosa sztafpami i fachowymi nazwami zwykłych rzeczy, lecz taki, w którym wyczuwamy rzeczywiście znajomość rzeczy i dobre opanowanie rzemiosła. Nie boję się określenia „rzemiosło”. Z tej przyczyny, że całe mnóstwo ludzi źle opanowało rzemiosło, zdarzają się wypadki, za które płacić musi społeczeństwo.

Gadatliwość jest jednym z najcięższych grzechów ludzkich i, niestety, większość nas wszystkich bez nadziejnie ugrzęzła w tym grzechu. Wielu doznaje chorobliwej chęci, by wytłumaczyć swój czyn jeszcze przed jego dokonaniem, a kiedy słowo się już rzekło, czyn nie zawsze po nim następuje. Zdaje się nam czasem, że skoro powiedzieliśmy, to już zrobiliśmy.

Moje gadatliwe sumienie dokucza mi, przeszkadza mi pracować, usiłuje się ze mną spierać, co jest już absolutnie nie do wybaczenia.

Pewien mój dobry przyjaciel mawiał, że nocą, kiedy bywa cicho i kto chce, może być sam, wszczyna (lub kontynuuje) w myślach spór ze swoimi kolegami. Zaciekle sprzeciwia się wszystkiemu, co mówili w ciągu dnia, przytacza takie mądre argumenty, że odstępują od swoich sądów.

Spieram się również, lecz nie z kolegami, tylko z własnym sumieniem. Czasem się z nim godzę, ale przeważnie się spieram. Sumienie przypomina mi stale mądrą dobroć czy dobrą mądrość — jak sądzę; robi to dlatego, że podejrzewa mnie o niedopuszczalny brak żywych uczuć, emocji czy nawet instynktów. Mózg, tylko mózg, uparte przepuszczanie wszystkiego na świecie przez żarna myśli i żadnych żywych, wybuchowych reakcji. Gdyby nie moje poczucie humoru, dawno bym przepędziła swoje sumienie gdzie pieprz rośnie.

Sumienie chce, żebym wpieryw przyjrzała się, w jakim nastroju są moi uczniowie, jaki jest wyraz ich

oczu i kolor tych oczu, jakie są ich ręce i uśmiech. A mnie interesuje przede wszystkim, o czym myślą.

Pod kątem widzenia mego sumienia mam tych uczniów dziesięć-piętnaście dusz. Dusz — więc nie mózgów, które będą wytwarzały myśli, pomysły, koncepcje świata?

Iwan pisze karteczkę do Zuzanny: Przyjdź, pokażę ci ósmy cud świata. Bardzo słusznie. Chęć pokazania komuś dziwa ujrzanego czy dokonanego jest logiczna i zrozumiała. Zagadka tkwi tylko w tym, kogo się wybiera na tego obserwatora, współuczestnika czy świadka cudu. Dlaczego właśnie Zuzanna? Tylko w tym się kryje zagadka.

Czemu mówiłam o rzemiośle i konieczności opanowania go? Znając bowiem swój fach, mistrz może stawiać sobie zadania, wytknąć cel, zdaje sobie sprawę, co potrafi, a czego nie umie.

Ten i ów zostaje nauczycielem nie wiedząc, co zamierza powiedzieć światu. A cel pedagoga — to nie tylko coś powiedzieć uczniowi, czegoś go nauczyć. Większy i ważniejszy musi być ten cel — nie uczniowi należy coś powiedzieć, lecz przez ucznia zwrócić się do świata, przez ucznia powiedzieć światu.

Dziesięć dusz. Tak twierdzi moje sumienie.

Powiedzmy, że dziesięć dusz. Ale tak samo dziesięć umysłów. W dodatku takich kruchych, nieśmiałych i słabych. Rzeczą nauczyciela jest tchnąć w nie siłę i przekonanie, że coś znaczą.

Ach, jakie chytre jest moje sumienie. Zaplątawszy się w sieciach retoryki próbuje zbić mnie również z pantaląku. Ledwie zacznę szukać jakichś własnych ścieżek, stwierdza: schodzisz na manowce. Czasem dowodzisz, że masz zamiar nauczyć swoich uczniów działania, teraz powiadasz, że chcesz nauczyć ich myślenia, ale kiedy przyjrzymy się dobrze, dobrze się przyjrzy-

my twojej nauce, to okaże się, że uczysz odczuwania. Alboż to nieprawda, mówi sumienie, że spodobały ci się trzy zdania o brzozie, które zbudował Iwan Tkacz?

Spodobały się. Głupiutkie sumienie, nie rozumie mistyfikacji. Zmuszona jestem sprzeczać się z tobą, bo inaczej puścisz mnie z torbami. Zostawię na świecie współczujących i wrażliwych, nie nauczę ich stawiania oporu i walki, pokażę im tylko wiatraki i nie zdążę powiedzieć, że z wiatrakami walczył już Donkiszot. Aż do samej śmierci będą mi towarzyszyły tylko długi, a nie chcę pozostawiać długów, gdyż spłacać je będzie musiał mój syn i moi uczniowie. Wiem, co bym sama chętnie napisała na swoim grobie: „Zmarła dopiero wtedy, kiedy spłaciła wszystkie długi”.

A już się zadłużyłam. Jeszcze nie wiedziałam, co to takiego długi, a już się zadłużyłam — u matki, u nie posadzonego drzewa, złamanej rośliny, nauczyciela, nie nakarmionego psa, nie dotrzymanego słowa, oszukanego zakochanego, uczniów...

Długi rosną, nabierały się już procenty, nie wiem, kiedy je spłcę, a tak nie chcę zostawiać po sobie długów. Płacić trzeba pracą, pomysłami, bezsennymi nocami, pieniędzmi, krwią, nerwami...

Dobrocią — podpowiada mi moje sumienie.

Pięknie — zgadzam się z nim — dobrocią. Niechaj u podstaw wszystkiego będzie dobroć — cóż z tego? Byłam dobra, tyle razy byłam dobra...

Och — wzdycha moje sumienie — mniejsza, że tyle razy, ważne jest, żeby zasadniczo, z wewnętrznej potrzeby, nie z jakiejś okazji. A jak nauczyć dobroci z potrzeby, nie z jakiejś okazji? Z takimi umiejętnościami trzeba się urodzić, jak z kolorem oczu, nie sposób tego nauczyć, ale nie pozwalasz mi powiedzieć słowa, miłe moje sumienie, jest w tobie coś z mieszczki, która nie potrafi słuchać rozmówcy i raz po raz przerywa

mu w pół słowa, jak powiada pewien mój znajomy. Mów, mów — zgadza się sumienie — chociaż wiem bez tego, co możesz powiedzieć.

Mały łobuziak, którego nazwano Bobem, lubił stać na ulicy i zaglądać w okna.

— Dlaczego zaglądasz w cudze okna? — z niezadowolaniem pytali dorośli.

— To bardzo nieładny zwyczaj podglądać ludzi, kiedy nawet o tym nie wiedzą — tłumaczyli dorośli zapominając, że nie sposób ludzi podglądać, kiedy domyślają się tego podglądania.

— Nie podglądam — mówił chłopczek — patrzę. I nie w okna patrzę. Widzę przez ściany — dodał ze śmiechem.

— Zuchwalec — gniewali się jedni.

— Jaki dowcipniś — śmiali się drudzy.

Gniewali się i śmiali raz, drugi, trzeci, a po raz czwarty już się nie gniewali i nie śmiali, strach ich ogarnął. Stoi i patrzy. Nic przez ściany nie widzi, głupstwa wierutne. Czyż widział ktoś kiedykolwiek przez ściany, ale prawdę mówiąc nieprzyjemne to, kiedy stoi tak chłopak i patrzy, patrzy... Co tak wypatruje? Może rzeczywiście tego... może... Aż, głupstwo, pewnie, tylko że mimo wszystko, i tylko, i mimo wszystko!...

Przepędzano go, besztano, skarżono się rodzicom, rodzice dawali Bobowi w skórę, a Bob płakał i powtarzał:

— No dobrze, no to zamknę oczy, żeby nic nie widzieć, osłepnę, jeżeli chcecie; no, czego wam jeszcze trzeba?

— Nie podglądaj — surowo nakazywali rodzice.

— Przecież wam tłumaczę — nie podglądam, tylko patrzę — przekonywał ich Bob, ale mu nie wierzyli.

Podchodziły obce panie i panowie, i pytali:

— Co tam widzisz, chłopczyku, powiedz nam!

— Ee, nie, tego nie zrobię!

— A coś u mnie zobaczył, przecież patrzysz tam, gdzie mieszkam — uciekła się do podstępu jakaś kobieta.

— Ee, nie...

— Chłopczyku, masz tu cukierek, powiedz, co u mego sąsiada...

— Ee, nie, nie lubię cukierków!

— A cóż lubisz?

— Lubię patrzeć.

Żarty żartami, ale czyż to nie nauka dla dorosłych — bajeczka o chłopczyku, który niby to widział przez ściany? A co najważniejsze, nie przyglądać się lubił, tylko patrzeć.

Ważny jest nie tylko proces, lecz również rezultat. Trzeba zobaczyć — czy mnie mądre i dobre sumienie.

Przyglądam się swemu synowi i jego kolegom. Przyglądam się, ale czy widzę? Rozumiem? Wiem?

Zadają mi zagadki, śmieją się — odpowiedzi nie zdradzają, nie znam rozwiązania.

Wybór kolegów — czyż nie staramy się mówić naszym dzieciom: zaprzyjaźnij się lepiej z tym, nie z tamtym, to miły chłopczyk (dziewczynka), dobrze się uczy, jest sympatyczny (a), rodzice...

Ale wszystko to na nic. Syn przyprowadza do domu oberwańca z brudnymi rękami, patrzy ten chłopak spo-  
de łba, nie wie, ile jest dwa i dwa, pytam syna, kim są jego mama i tato — a skąd mogę wiedzieć — sły-  
szę w odpowiedzi, po co mi to, jest moim kolegą, moim  
przyjacielem — i rozwiązuje zadania, których ten przy-  
jaciół pociągający zasmarkanym nosem nie jest w sta-  
nie nawet przepisać bez błędów, codziennie częstują  
go obiadem, przypominam, że trzeba umyć ręce, więc  
idzie do łazienki, poleje wodą dłonie i zostawia na rę-

czniku dwie czarne plamy. Nic nie czyta, ogląda trochę telewizję, ale nic nie rozumie i nie potrafi opowiedzieć, czyta tekst zadania i zamiast „trzy metry tkaniny” mówi „trzyma kominy”. Śmieszne, ale jaką korzyść ma mój syn z takiego kolegowania?

Nie konkretyzując, nie nazywając jego przyjaciela po imieniu, zaczynam z daleka i bardzo rozsądnie, jak myślę, i taktownie tłumaczyć synowi, że przyjaźń musi przynosić jakiś rezultat, jakiś efekt, jakąś obopólną korzyść, bo jeżeli jeden tylko daje, a drugi tylko bierze, to...

— A wiesz, jak on gra w piłkę — już zrozumiawszy, z zapalem dowodzi mi syn — wiesz, jak się wdrapuje na drzewa, i ma, wiesz, jakiego psa!

Kontrargumenty. Cała moja teoria legła w gruzach — „wiesz, jakiego ma psa, pozwala mi z nim wychodzić na dwór, wiesz, jaki pies...” Zdaję sobie nagle sprawę, że nie chodzi naturalnie o tę zewnętrzną stronę sprawy. Pies, piłka — to dla mnie, zmaterializowany przejaw ich stosunków, potrzebny dla mnie, bo tak przecież rozumiem przyjaźń — materialistycznie, prymitywnie: trzeba coś dawać, a czyż pies nie jest tym najważniejszym i najpiękniejszym, co można dać? Wszystko to dla mnie, żeby mnie przekonać, a w rzeczywistości musi być coś innego, bardzo ważnego, czego nie widzę za brudnymi rękoma, zasmarkanym nosem i „kominami”. Jak się zdaje, dobrze się przypatruję, ale źle widzę. Nie umiem widzieć. Przez ściany — nie umiem. Rzeczywiście nie mam tego daru? Obrażam się nie wiadomo na kogo: dlaczego go nie mam? Trudno, muszę się zdecydować na odwrót, poddaję się i nadal wycieram smarkaczowi nos, myję po nim naczynie i piórę ręczniki. Podsuwam mu książki — wpierw bajki, potem fantastyczne, ale oddaje je chyba nie czytane i pociąga nosem, kiedy pytam, czy mu się podo-



bały, lub wzrusza ramionami w odpowiedzi na pytanie: a o czym tam była mowa?

Poddaję się, idę na ustępstwa, pilnuję tylko bacznie, żeby mój syn przypadkiem też nie zaczął pociągać nosem, żeby nie przestał czytać książek i potrafił opowiedzieć ich treść. Pewnego wreszcie razu, chyba po jakimś roku coś niecoś się wyjaśniło, zasłona została na chwilę uchylona i znowu wszystko ukryło się przede mną, przed dorosłą, nie wtajemniczoną, taką niedomyślną i niemądrą; bo wszyscy się z niego śmieją. Przecież sepleni. Wszyscy się z niego śmieją. A ty!...

Robię się sentymentalna jak moje sumienie. A ja? Cóż, pewnie robiłam to najgorsze, co mogłam; okazałam się taka jak ci wszyscy, co się śmiali, a jestem przecież jedna jedyna, jestem mamą i proszę bardzo — jak wszyscy. Co robić, popełniam błędy na każdym kroku. Dobre to były czasy, kiedy jedynym argumentem pedagogicznym był pas. Posługujesz się analizą psychologiczną, szukasz podejścia, zwracasz uwagę na każde słowo, zastanawiasz się, jak postąpić — i masz tobie! „A ty!” A gdyby ich było dziesięciu, co wtedy? Dziesięć błędów, dziesięć fałszywych kroków, dziesięć pełnych wyrzutów: A ty?! Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć, co właściwie robiła moja mama, że uważałam ją za nieomylną, nie robiłam jej wyrzutów, tylko biegłam pod jej ciepłe skrzydełko, tylko ona jedna bowiem mogła mnie osłonić w każdej ciężkiej chwili. Co robiła, jakie znała czary i zaklęcia, że tak ją kochałam? Staram się analizować coś z jej postępowania, coś z jej słów i nie mogę. Nic nie robiła. Była m a m a. A to się nie dzieli na części. Jest takie jednolite, że nie poddaje się analizie. M a m a, Boże mój, mama... Obowiązek, macierzyński — jakie niemądre słowa. To nie obowiązek, to sposób, bycia, sens istnienia, wybuch, który trwa przez całe życie od chwili, gdy rodzi się dziec-

ko, czy nawet od tej jeszcze wcześniejszej niż jego narodziny.

Przychodzili inni chłopcy i dziewczynki, inteligentniejsi, mądrzejsi, jak mi się wydawało, ale mój syn lubił tylko tamtego, sepleniącego, z którego wszyscy się śmiali.

I tak już było stale, do jakiegoś czternastego roku życia — interesowali go tylko ci, których trzeba było bronić i dawać im zadania do odpisywania, którzy byli jakoś skrzywdzeni przez los. I koniecznie z kompleksem, nawet nie uświadomionym czasem kompleksem niższości. Mocowali się na podłodze, jeździli na rowerach, ganiali piłkę, śmiali się — zawsze razem z moim synem. Tak, jakby bez niego nie potrafili się śmiać. Zaczęłam się nawet lękać, czy się nimi nie wysługuje, czy nie pozwala sobie jeździć na tych słabszych chłopakach — za życzliwość można żądać wszystkiego. Nie, nie robił tego. Ma przyjaciół. Wieczorem, ukradkiem zabiera się do pisania jakiegoś dziennika. I ukradkiem, żebym nie zobaczyła światła w jego pokoju, czyta do północy — więc chyba wszystko w porządku, tamci chłopcy, których zainteresowania ograniczały się do piłki nożnej, nie wpływali w żadnym razie na rozwój intelektualny mego syna. Pyta mnie już teraz o takie rzeczy, których nie wiem — cóż, wszystko w porządku, teraz już ja muszę się uczyć, nie potrafię mu pomóc w rozwiązywaniu zadań z fizyki. O Pieczorinie napisał: „Kiedy człowiek osiąga szczyt — nie ma już gdzie iść, a schodzić w dół nie miałyby sensu, więc pozostaje mu tylko jedno — umrzeć. Pieczorin osiągnął już szczyt w swoim życiu, więc jak mógł zdecydować, co robić dalej?”

Nie śmiałam już więcej krytykować jego kolegów, automatycznie zadawać zwykłych pytań o ich rodziców, gdyż zdaniem mego syna nie miało to żadnego

znaczenia i wcale nie wpływało na charakter dzieci ani na ich upodobania, a tym bardziej nie decydowało o ich wartości.

Podobał mi się najlepiej pewien cichy, ale bardzo dumny chłopczyk. Z tych skąpych informacji, jakich udzielił mi syn, wiedziałam, że chłopiec przyjechał do Lwowa z obwodu winnickiego, i znowu zaczęło się to samo co zwykle: z chłopczyka trochę sobie pokpiwano z powodu jego nielwowskiego akcentu, on zaś reagował na te drwiny milczeniem, cichym uśmiechem i zamyśleniem — jakże nie zaprosić go do domu, do siebie, nawet nie zapytawszy o imię i znając tylko nazwisko, już pierwszego dnia syn wymyślił dla niego przyjemnie brzmiące przyzwisko — już nie pamiętam jakie, ale brzmiało przyjemnie; ten chłopiec nie odpisywał zadań i wymawiał się od poczęstunków, wszystkie kanapki i kubki z sokiem czy herbatą zostawały nie tknięte, siedzieli i rozmawiali o czymś, półgłosem, a były to już takie rozmowy, których ja-koś mi nie wypadało słuchać, gdyż wiele tu brzmiało jak sądy ludzi dorosłych, a trochę było w nich smutku, również niedziecięcego. Chłopczyk mieszkał tu u krewnych, jego matka umarła, a ojciec odsiedział wyrok za kradzież czy bójkę i potem już nie wrócił do domu. Gdzieś tam na wsi pod Winnicą została tylko stara babunia, która nie mogła opiekować się dużym już wnukiem; chłopiec jeździł do niej jednak na wakacje i zarabiał sobie trochę w cegielni lub pracując nawet w polu, przy ciągniku. Ręce miał duże, niedziecięce, dłonie mego syna wydawały się przy tych rękach wprost kruche i takie delikatne, że aż mnie to peszyło. Historię tego chłopca znał tylko mój syn, a ponieważ nawet bez moich wskazań podświadomie odgadywał, co trzeba, a czego nie należy rozgłaszać czy opowiadać, więc od niego nikt się niczego nie dowie-

dział, chłopak był dumny, nie chciał, żeby ktoś wiedział, jakie ma niewesołe życie. Wstąpił potem w Winnicy na uczelnię i napisał list. List był krótki, ale całkowicie wyczerpujący i od tego listu zabolalo mnie serce, ciężko mi było i żalowałam, że po chłopięcemu kolczaste usposobienie tego dziecka nie pozwoliło mi dotrzeć do jego duszy, uczynić ją weselszą. Pamiętam ten list niemal słowo w słowo i pamiętam również, że właśnie wtedy po raz pierwszy przeszła mnie i wstrząsnęła mną myśl: a co, gdyby to mój syn, mój — był sam jeden, beze mnie, gdyby to mój?...

„Cześć, Serhiju, i swojej mamie też powiedz. Wstąpiłem na uczelnię dla budowlanych i może po szkole będę budować metro, teraz potrzebni są tacy ludzie i dobrze za to płacą, a robota jest fajna, ciekawa. Byłem u nas na wsi, u babci, babcia umarła, zdążyłem tylko na pogrzeb, na wsi było ładnie, jabłka znowu wyrosną duże w naszym sadzie, tylko nie wiem, co robić z chatą i jabłonią, ale nie szkodzi; co ludzie powiedzą, to zrobię. Pewnie już nigdy tu nie przyjadę, bo nie będzie do kogo. Ale do Lwowa może przyjadę i wtedy wstąpię. Napisz mi o wszystkim, czy chodzisz do szkoły, do dziewiątej klasy. I jeszcze kłaniaj się Irze Dębickiej, powiedz jej, że się zapisałem. I swojej mamie także. Bądź zdrow. Witia.”

— Nawet nie wiedziałem — powiedział mój syn.

— O czym?

— O Dębickiej. No, że on... że każe jej się kłaniać... nie domyślałem się...

Dębicka — była to wysoka, ładna dziewczynka, nie wyglądała na uczennicę siódmej czy ósmej klasy, w tym półdziecku było już tyle wyraźnie się zaznaczającej kobiecości, usta były tak mocno czerwone i ocęta tak błyszcząły pod czarnymi brwiami, nogi miała toczony i białe ręce — słowem, takie dziewczę z gru-

bym warkoczem, dziewczę ze znanej piosenki; wyczuwało się w niej tyle świeżości i życia, że nic — tylko patrzeć i nie odrywać wzroku. Nie nadawały się dla niej dzisiejsze sukienki dla nastolatek, pasowałyby do niej wyszywana bluzka i długa, szeroka spódnica, którą można unieść odsłaniając trochę nogi, żeby nie zamoczyć podołka przy praniu bielizny w potoku. Słowem, dziewczę z piosenki, nic w niej nie było z typu dziewczyny z miasta prócz czytania i uwielbiania aktorów filmowych, których fotografie zbierała, prócz manikiuru, który ukradkiem robiła sobie i koleżance, a potem zdzierała na lekcjach... To właśnie jej przekazał ukłony tamten chłopak. Proszę, jaka dziewczyna mu się spodobała. Silna, trochę gwałtowna z natury i taka jak z piosenki.

— Dębicka pewnie już nawet nie pamięta, jak mu na imię — z gorzką ironią powiedział mój syn, ale poszedł od razu zatelefonować do dziewczyny. Co prawda, nie zapytałam, czy oddał jej ukłony od Witi. Zapewne wszystko uzależnił od tego, czy pamiętała mimo wszystko, jak się chłopak nazywał.

Wciąż się nosiłam z zamiarem wysłania Witi paczki na święta, no bodaj koszulę w podarunku, zeszyty, żeby nie tracił na to pieniędzy, ale koniec końcem nie wysłałam, byłam niemal pewna, że nie potrafi przyjąć upominku po prostu jako upominku, zobaczy w nim przytyk do tej nieokreślonej sytuacji, w jakiej się znalazł... Nie, nie, źle się wyraziłam — wcale się nie znalazł w nieokreślonej sytuacji, umie i lubi pracować i musi się znaleźć dziewczyna, może podobna do Iry Dębickiej, tak, niech będzie podobna do tej ładnej dziewczyny — sytuacja Witi nie jest nieokreślona, ale nie wiem mimo wszystko, jakby odczuł podarunek. Może źle zrobiłam, że go nie wysłałam. Do Lwowa Witia więcej nie przyjeżdżał. Prosił mego sy-

na — przyjedź na wakacje do mnie, może pojedziemy do mojej wsi, jabłka są tam takie duże — i syn miał chęć tam pojechać, ale czyż udaje się zrobić wszystko, na co mamy ochotę? Pojechał ze mną nad morze, cały miesiąc nudził się, nie miał chęci ani pływać, ani wylegiwać się na słońcu i pomyślałam, że trzeba go było jednak puścić tam, pod Winnicę, gdzie jabłka są takie duże, ale cóż — jego gardło, wieczne przeziębienia zimą, nie sposób obejść się bez morza, bo to już dziesiąta klasa, żeby znowu nie chorował na anginę. Kiedy chce się człek przed sobą usprawiedliwić, czyż nie znajdzie dowodów swojej słuszności? Nawet sam sobie wydasz się porządnym człowiekiem — można tak budować argumentację. Tylko sumienie — takie sentymentalne, takie wymowne i dokuczliwe, wszystko zachowuje w pamięci, wciąż mu za mało dobroci...

Kiedy rodzi się w dziecku poczucie odpowiedzialności? Niepotrzebnie mówią ludzie, że dzieciństwo jest beztroskie. Dziecko może być beztroskie do chwili, kiedy zacznie rozumieć odpowiedzialność za swój postępek i jego skutki. Możliwe, że u każdego bywa tu inaczej. Ktoś się rodzi z tym poczuciem, komuś narzucają je okoliczności, a ktoś inny jakimś trafem nie dowie się do samej śmierci, co to takiego odpowiedzialność za własne czyny. Czy można tego nauczyć? Tak samo, jak nauczyć czytania i pisania? I czy można nauczyć dobroci i męstwa albo odczuwania i rozumienia sztuki? Nie wiem. Próbuję. Staram się. To śmieszne kierować się we wszystkim doświadczeniem z wychowania własnego syna, ale mówi się przecież: poznaj samego siebie, i mówi się tak samo: wychowaj własne dziecko...

Pewnego razu dałam synowi za przykład jego kuzyneczkę: popatrz, jak chętnie obcuje z ludźmi, jaka jest odważna we wszystkich swoich działaniach, bo

działa nawet bez namysłu, ile w niej bezpośredniości, a ty... Mój syn obrzucił mnie spojrzeniem trochę smutnym, trochę nieufnym i spode łba: „Mamo, przez tyle lat robiłaś wszystko, żebym nie był inny, tylko właśnie taki, jaki jestem, i teraz jakbyś mi robiła wyrzuty, że stało się, jak sobie życzyłaś”.

To prawda. Dokładałam tylu starań, żeby miał te cechy charakteru, jakie ma. Ale nikt z nas nie stawia sobie nigdy pytania: skąd się wzięło prawo narzucania dziecku własnych myśli, przyzwyczajień, poglądów, sposobu bycia? Czyż są takie doskonałe? Paradoks — usiłujemy ocalić dziecko przed powtórzeniem naszych błędów, uczymy je pamiętając o własnym doświadczeniu: to jest ładne, a to brzydkie, i jednocześnie przekazujemy mu te błędy mówiąc przy tym: jak się zachowujesz, co robisz? Bo ja w twoim wieku tak nie... Powiedziałam swemu synowi: przeczytaj tę książkę, jest bardzo ciekawa i autor jest mądrym człowiekiem. Syn zapytał: a skąd wiesz, też ci ktoś powiedział, czy ty sama? Miał wtedy siedem lat. Pytał, skąd ludzie wiedzą, że to jest dobre, a to — złe. Kto im powiedział? Chcę sam...

Sam? A jeżeli mu nie wytłumaczę, że kłamać — to złe, że to niegodne człowieka, czy będzie wiedział sam?

Wśród chłopców, którzy przychodzili do mego syna, był jeden mocno się wyróżniający wśród pozostałych. Smukły, ładny, o delikatnych rysach twarzy, przekonany przy tym, że jego powierzchowność jest mu niezawodnie pomocna; nie potrzebował ani obrony, ani pomocy czy poparcia. Świetnie grał na akordeonie i chciał po ukończeniu ósmej klasy uczyć się nadal w szkole muzycznej. Chłopak przypuszczał, że takie dwa atuty, jak jego zdolności do muzyki i miła powierzchowność, zdecydują o przyjęciu go do szkoły, że nic

więcej nie trzeba umieć, znać i robić. Mylił się jednak. Nie przyjęto go do szkoły muzycznej, bo miał, co prawda, duże zdolności do muzyki, ale trzeba było jeszcze dobrze napisać dyktando, a tymczasem chłopak o gramatykę się nie troszczył. Zawiedziony w swoich nadziejach załamał się: postanowił nauczyć się szewstwa, jakkolwiek nie potrafił w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego wybrał sobie ten właśnie fach. Wszystko byłoby zrozumiałe, gdyby nie zdolności do muzyki, niemal talent, którym obdarzyła go natura. Dobrze jest zostać także szewcem, kiedy chce człowiek właśnie szyć buty, ale kiedy marzyło się chłopcu, że zostanie muzykiem — w takiej radykalnej zmianie zamiarów jest coś dziwnego, niemal zagadkowego. Czyżby rozmyślnie podeptał własne marzenia? Chłopcze, pytałam, czyś w ogóle nie miał tego marzenia? Ależ nie, miał i ni stąd, ni zowąd — do szewca.

— Grać na jakimś instrumencie — to być tylko wykonawcą, odtwarzać cudze myśli, co nie jest takie bardzo ciekawe — wyczuwam w jego odpowiedzi lekką ironię, że niby, pytasz, więc ułożyłem sobie dla ciebie dobrą odpowiedź: — Odtwarzać cudze uczucia i myśli — to dla mnie za mało, nie zamierzam już wstąpić do szkoły muzycznej, bo kompozytorem przecież nie zostanę, a jeżeli tak, czyż nie wszystko jedno, czym będę. Szewcem — alboż to źle? Przecież mówi pani, że wszystkie zawody...

Nieuczciwy młodociany demagog. Nauczył się podstawiać, zamieniać pojęcia i zapędza w kąt dorosłego człowieka, korzysta przecież ze sztampy naszego zwykłego rozumowania: nie szkodzi, synku, nie udało się jedno — to trudno, zajmij się czymś innym, bo każdy zawód... Rzeczywiście, że każdy zawód, ale skoro człowiek marzył? Chłopak bardzo praktycznie wykombi-



nował sobie, że praca, którą wybrał, ten właśnie inny zawód, nie mający nic wspólnego z jego marzeniem, przyniesie mu dobry zarobek i ludzie będą go szanowali wcale nie mniej niż miłośnicy muzyki muzykę, a jeżeli nauczy się wykonywać swoją pracę dobrze, lepiej niż ktoś inny (a cel ten sobie wytknął), będzie się także cieszył dobrą sławą, a co za różnica, z czego się słynie? Może ma rację ten chłopak? Domyślałam się jednak, dlaczego tak od razu przyznaję mu rację. Dlatego, że to czyjś syn? Nie jest moim synem, swojemu nie pozwoliłabym z taką łatwością i tak po prostu zrezygnować z sensu całego życia. Człowiek, który zdradza swe marzenie, może tak samo zdradzić i przyjaźń, i obowiązek, i miłość.

Czy to słabość charakteru popchnęła chłopaka do tego, co uczynił? A może coś innego? Rodzice dali za wygraną, pozwolili? Czy też w ogóle nie chcieli, żeby syn został muzykiem? Nie wiem, nigdy nie rozumiałam w całej pełni tego sympatycznego, wesołego chłopaka, który przyjaźnił się z moim synem.

Każdy z kolegów, rzecz jasna, musiał jakoś wpływać na mego małego, nie mogłam przecież i nie mogę odgrodzić go od zewnętrznych wpływów i nie robiłam tego, prawdę mówiąc, mimo że czasem chciałam, bardzo chciałam. Ale gdybym go skazała na takie wyobcowanie, odgraniczenie od innych, gdyby kształtował go mój tylko wpływ i wychowanie, jak by dokonało się później jego zetknięcie ze światem, jak by świat go przyjął? Łamałam swój ciasny macierzyński egoizm, niemądre poczucie prywatnej własności i tłumaczyłam sobie: nie należy tylko do ciebie, należy również do ludzi, urodziłaś go nie dla siebie i nie przywłaszczaj sobie tego, co w rzeczywistości należy nie do ciebie jednej.

Różnymi drogami obchodzisz rzecz najważniejszą, o której powinnaś teraz mówić. Udajesz, że zapomniałaś o tamtym, o innym chłopcu, o którym zbyt późno pomyślałaś: a gdyby to był mój syn? Był ci ten chłopak niesympatyczny, zmęczyłaś się w ciągu całego dnia pracy, zmokłaś na deszczu, bo nie zabrałaś parasolki, zastanawiałaś się nad ósmym cudem, który Iwanko Tkacz obiecał pokazać Zuzannie, i jeszcze nad tym, czy zaliczono twemu synowi pracę laboratoryjną z chemii, i jeszcze nad dwoma wersami z sonetu Michała Anioła („W dniach minionych szukam i nie znajduję żadnego, co należałoby do mnie”) i że nauczyciele niekiedy mają zbyt mało czasu, żeby czytać sonety Michała Anioła; jesteś wszak czytana i taktowną nauczycielką o przyjemnych manierach, więc dla czego nie umiałaś znaleźć w sobie dobroci, nie okazałaś serca temu chłopakowi, Jurkowi Bereziukowi? A twoje gadatliwe sumienie, od którego się opędzasz, jakkolwiek ci się to nie udaje z różnych przyczyn, chętnie by ci pokazało coś ważniejszego, co warte jest więcej niż mędrkowanie, jakiemu się oddajesz robiąc śniadanie i obiad na dzień następny, a także (zwykle bardzo ci to przeszkadza) podczas czytania i rozmowy z ludźmi, i w chwilach, kiedy się przygotowujesz do lekcji ze swoją małą grupą w półinternacie — słowem, zajęta jesteś zawsze, w ciągu całego swego życia. Nawet w czasach, kiedy byłaś zakochana, kiedy kochałaś, myślałaś, rozważałaś, analizowałaś, zmniejszając w ten sposób radość, jaką daje nie kontrolowane przez myśl rozkoszowanie się miłością.

Doskonale wiesz, że na ciebie spada również część odpowiedzialności za czyny Jurka Bereziuka, zdecydowałaś bowiem, żeby go nie skreślać z listy obserwo-

wanych przez milicję nieletnich, dałaś mu prawo być podejrzanym i tym samym prawo do złego uczynku. Nie uwierzyłaś przecież ani jemu, ani jego matce, zbrakło ci odrobiny dobroci, czasu i uwagi, nie uświadomiłaś sobie w pewnym bodaj stopniu, jaka jest twoja własna rola w życiu innych.

Owoce, które zawdzięczasz swemu mędrkowaniu, są wyschłe, nie ma w nich soku i prawie nie mają już smaku owocu dojrzałego i zerwanego w porę. Zawsze to małe opóźnienie, tak że nawet cieszyć się byłoby już śmiesznie, i może dlatego właśnie nie potrafisz śmiać się otwarcie, na całe gardło, co nie wynika z twego dobrego wychowania, taktu czy powściągliwości, lecz z faktu, że przyzwyczaiłaś się wpierw pomyśleć, a potem się roześmiać.

## 6

Nie wiem dlaczego, ale w dzieciństwie najlepiej zapamiętywałam czas wakacji, podróże, zmiany miejsca i nowe twarze. Tłumaczy się to zapewne tym, że w ciągu roku nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, tylko szkoła, lekcje, książki, chodzenie na muzykę, koleżanki i koledzy, nieporadne próby pisania wierszy, różne dziecięce kłopoty i troski. Życie płynęło miarowo, spokojnie, bez wstrząsów i wybuchów, dzień dzisiejszy podobny do wczorajszego, czemu byłam winna może ja sama, gdyż nie umiałam znaleźć w dniach powszednich nic, co byłoby barwne, wszystko wydawało się najzwyczajniej przyjemne, łagodne, w pastelowych kolorach. Natomiast lato było jak wybuchający ogień, niosło niespodzianki, niezwykle odkrycia i takie rozrywki, że potem trzeba długo przyzwyczajać się do monotonii szkolnych obowiązków i spraw domowych.

Nie jeździliśmy ani na koniec świata, ani nie odbywaliśmy jakichś wyjątkowo ciekawych podróży. Kiedy wyjeżdżaliśmy jednak nawet zupełnie niedaleko, o kilkadziesiąt kilometrów od Lwowa, nawet wtedy wrażeń było tyle, że można było długo opowiadać, aż się zachłystując z zachwytu; kiedy byłam już starsza i lepiej rozumiałam istotne znaczenie takich wyjazdów, bez najmniejszego wysiłku w pamięci ożywało wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, tak wyraźnie i dokładnie, jak to bywa, kiedy bierzemy do rąk książkę, zaczynamy czytać i stwierdzamy już przy pierwszych liniijkach, że czytaliśmy ją kiedyś w dzieciństwie, i tak dalej liniijka po liniyce, ale jednocześnie każda wydaje się nowa, bo czytamy inaczej niż za pierwszym razem.

Istniało jedno miejsce, które odwiedzaliśmy latem wiele razy. W ogólności nie staraliśmy się nawet zbytnio urozmaicać trasy naszych wyjazdów, najdalszym naszym celem była Jałta; ale owa miejscowość, do której przyjeżdżaliśmy często i niekiedy nawet na niedzielę wiosną lub jesienią, była to mała wioska Stradcz pod Lwowem, taka wówczas przyjemna i zaciszna, zawsze taka ładna, że okropnie ją polubiliśmy i cieszyliśmy się z podróży, jak może się cieszyć zjadły amator przygód wyruszający w daleką wędrówkę.

Jest na ziemi sto tysięcy miejsc piękniejszych i lepszych. Sto tysięcy dowodów na to mają ludzie, którzy bywali w różnych innych miejscowościach, nie w Stradczu. Bardzo go mimo to lubię, chociaż nie mam prawie dowodów, że jest najpiękniejszy na świecie, zwłaszcza teraz, kiedy pojawiła się tam odkrywka piasku, źródło jest zamulone i niemal zniknął staw, osunęła się i osypała wstrząsana samochodami wysoka góra piaskowa. Na jej południowym stoku piasek

był odkryty, złotawa droga biegła w dół aż do stawu, zdawało się, że piasek błyszczy wbrew słońcu i przyciąga jego promienie; zjeżdżaliśmy w dół po tej ruchomej drodze aż czarni od opalenizny, z wypłowiałymi włosami, z poobdzieranymi kolanami i łokciami; piasek osypywał się pod nami, razem z nami, razem z nami i za nami, nie wiadomo było, czy płyniesz, czy niesie cię ciepła, złota fala piasku, a trochę dalej wznoszą się ciemnoszare, wysokie głazy, można się tam bawić w rozbójników, fotografować z drewnianymi łukami w rękę, a dokoła — soczysta zieleń, zapach tymianku, miękkie igielki młodych sosen, nadspodziewanie czerwone poziomki i wczesny prawdziwy grzyb czy nawet tajemniczy i dziwnie pachnący sieduń, a w dolinie — staw z czystą wodą, której nie macono, tym bardziej w dni powszednie, bo wylegiwało się na brzegu niewiele ludzi — tylko w niedzielę przyjeżdżały samochody i autobusy, i wysiadali z nich spragnieni słońca i czystego powietrza lwowianie, ale prawdę mówiąc niezbyt nam przeszkadzali i nie bardzo maćili wodę w stawie. Było tam mnóstwo lilii wodnych, które pływały jak białe, pełne wilgoci, cudowne gwiazdy na długich, bardzo długich podwodnych łodygach, a zielone, miękkie i mięsiste liście pokrywały wodę, tworząc jakby twardą wysepkę, na której można odpocząć...

Przeszedłszy kilkadziesiąt metrów brzegiem stawu, można było dotrzeć do niewielkiej, ale huczącej zapory, w pobliżu przerzucony był mocny drewniany mostek, po drugiej stronie stawu rósł gęsty liściasty las pełen grzybów, z zacisznymi polankami otoczonymi krzewami malin.

Największym dziwem Stradcza była, naszym zdaniem, pieczara, która miała oczywiście swoją historię i swoją legendę, taką podobną do setek innych legend

o pieczarach, ale jedyną, jak nam się wówczas zda-  
wało, i najciekawszą na świecie.

Z zamkniętymi oczami mogę przejść we wspom-  
nieniu, bo teraz wszystko wygląda inaczej, przez cały  
pagórek, na którym leżała wioska, i wyjść na drogę,  
która pokrywała się po deszczu gęstą i lepłą gliną.  
Z trudem wyciągało się z niej nogi, które ślizgały  
się, osuwały, grzęzły, że nie sposób było zrobić kro-  
ku, a obok przechodziły poważne krowy, podnosząc  
na kopytach pudy gliny i wymachując oblepionymi gli-  
ną ogonami, z góry zaś smagał cię szalony, niebываły  
deszcz, który zaczynał się tak samo nagle, jak  
potem ustawał, i tylko glina wysychała długo, póki  
nie przekształcała się znowu w popękana, suchą na-  
wierzchnię żółtej drogi. Pamiętam, gdzie rosło drzewo,  
w którym dzikie pszczoły przechowywały swój miód,  
pamiętam źródło, z którego brano wodę. Woda chlu-  
stała na pokryte kurzem nogi, potem wysychała i nogi  
wyglądały jak dziwna geograficzna mapa — trzeba  
je było umyć w stawie, lub później, wieczorem, w mi-  
sce z zimną, łaskotliwą wodą.

Kiedy mój syn zapytał mnie pewnego razu: „Ma-  
musiu, a jaka byłaś, kiedy mnie jeszcze nie było”,  
przyszło mi od razu na myśl, że gdyby zobaczył mnie  
wtedy jako dziewczynkę o wypłowiałych włosach i  
bujnej fantazji, która pozwalała mi wymyślać wesołe  
zabawy i bajki, pewnie bym mu się spodobała. Zno-  
wu budzi się we mnie nieziszczalne pragnienie, żeby  
być matką swego syna i jednocześnie bawić się z nim  
w jęgo — i moje — gry dziecięce.

Puszczając razem z czwartego piętra naszego starego  
lwowskiego domu papierowe samolociki i nadmuchi-  
wać bańki mydlane — jakaż to świetna zabawa i jak  
cudownie wyglądają, kiedy lecą opadając powoli w  
dół, podchwytywane przez wiatr, tęczowe, niemal nie-

realne, zupełnie nierealne i mimo to prawdziwe, czarujące kuleczki. To właśnie to, czego nie można dotknąć rękoma, w co trzeba wierzyć, kiedy chcemy, żeby istniało.

Jechać razem pociągiem, wysuwać głowę przez okno, żeby wiatr szarpał za włosy, żeby świat migotał przed oczami i jadący w przeciwnym kierunku pociąg dudnił gdzieś na przejeździe wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa, nie mówić: słuchaj, synu, nie wychylaj się z okna, przeziębisz się; albo coś jeszcze, co jest tak samo nudne, niepotrzebne, zbędne.

Zdzierać przyschnięte supełki kleistego soku z wiśni lub śliwy, smarować ręce sokiem grochu, wysiadać ze statku na krymską ziemię, widzieć po raz pierwszy — razem i po raz pierwszy, żebym jeszcze tego nie znała, nie odczuwała nudy i przesycenia wrażeniami — razem i po raz pierwszy zobaczyć Wielki Wąwóz na Krymie i żeby stary pies, który zawsze z każdego schroniska rusza za turystami na wyprawę i w jakimś jemu tylko wiadomym miejscu zawraca, żeby ten stary pies lizał rękę dziękując za kawałek mięsa, którego nie zjadł syn.

Leżeć na trawie z rękoma pod głową i żeby nad tobą wisiała na łądździe mrówka, duża, taka duża jak niebo, bo kiedy mrówka kołysze się nad oczami, wydaje się zawsze duża jak niebo. Zabłądzić w karpacim lesie podczas mgły, poznać się z dwoma braćmi, którzy od dzieciństwa mieszkali w górach, a potem jeden został myśliwym, a drugi maszynistą i kiedy się spotykali, myśliwy mówił, jak bardzo chciałby być maszynistą i objechać cały świat, a maszynista zapewniał, że najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnie być myśliwym i chodzić po górach, gdzie wszystko jest mu znane od dziecka, i śmiać się razem z nimi, kiedy się rozstaje, i każdy z wielką radością zabie-

ra się do pracy, która mu przypadła w udziale i którą lubi.

Ale mimo wszystko, jaka byłam, kiedy nie miałam jeszcze swojego syna? Inna? Gorsza? Lepsza? Pewnie, wiele w sobie zmieniałam dla niego, ale ja — to ja i jak bym się nie starała przełamać i stworzyć siebie taką, jaką uważam za potrzebne i właściwe pokazać synowi, mimo wszystko pozostającą tą, co była kiedyś...

Nie, nie, to nieprawda, że chciałabym podarować synowi samą tylko beztroskę lata, ale mimo to chciałabym go nią obdarzyć. W tym moim lecie było coś takiego pięknego i dobrego, że chętnie bym to oddała synowi, podarowała, gdyby tylko przyjął, gdyby odczuł i zrozumiał.

Bo on ma przecież swoje lato i gdybym nawet bardzo chciała znaleźć się w jego lecie i była nawet obecna w tym jego lecie; więcej jestem mimo wszystko tam, w swoim, w którym syna nie było.

Stradcz też chciałabym mu ofiarować, wziąć w ręce razem ze stawem, złotą piaszczystą drogą, sosnami i szyszkami, zaporą i błękitnym niebem, źródłem i dzikimi pszczołami, z miodem i słońcem — wziąć to wszystko i ofiarować: moje lato, mój Stradcz; nie o to mi chodzi, żeby się wszystko powtórzyło dla niego, to niemożliwe i niepotrzebne, teraz jest to zupełnie inna miejscowość, chcę jednak, by miał również moje lato.

A co najdziwniejsze, nie zastanawiając się i nie nazywając tego podarunkiem, syn daruje mi wszystko, co jest jego. Daruje tak hojnie i wesoło, jakby był największym bogaczem na świecie i niczego mu nie żał, wcale nie dlatego, że na to miejsce będzie miał co innego, po prostu nie żał mu.

Posłuchaj tej muzyki, mamó, patrz, jaki wesoły, „ślepy” deszcz, jaka tęcza, mamó, jaki las, jakie mia-



sto, jaki wiatr... Jaka książka, jaki wiersz, mamó, jaki człowiek, mamó, przypatrz się, jaki człowiek!...

Czekam na niego wieczorem, za oknem ciemno, na naszej małej, zacisznej ulicy, po której ludzie nie chodzą, tylko przechadzają się, pogasły już palące się żółto latarnie i tylko wśród zwilżonych przez deszcz gałęzi zabląkało się ostatnie światełko, które też zgasło, znikło. Zegar uczciwie odlicza minuty, niechby nawet trochę oszukiwał, nie tak bardzo bym się niepokoiła, za ściany sąsiedzi, amatorzy telewizji, już dawno wyłączyli telewizor, w domu naprzeciw też zgaszono światło, a ja wytężam słuch i czekam, aż zadudnią na drewnianych schodach śpieszne, wesołe kroki mego syna. Wchodzi wreszcie, jakby się czuł trochę winny, unosi ramiona, może chce się ukryć przede mną, ale w jego oczach wcale nie ma skruchy, błyszczą mu łobuzersko, a na berecie — krople deszczu. „Przyszedłem już, mamó, och, jakaż ty jesteś, czemu się denerwujesz, byliśmy w kinie...”

Graliśmy w piłkę, oglądaliśmy film, odrabialiśmy lekcje, słuchaliśmy muzyki, przygotowywaliśmy się do egzaminów, my... my... Nie ja i on, tylko oni. On i jego rówieśnicy.

Na razie łączy ich zabawa, szkoła, nauka, ale jeszcze trochę i pojawią się inne więzi i stosunki, inna zależność.

Ja i on — to także „my”, ale z jakimś niemal nieuchwytnym rozgraniczeniem; to trochę nie takie „my”, o jakim słucham zwyczajnie, kiedy opowiada o swoich kolegach.

— Jutro jedziemy w Karpaty, mamó, do Sławska...

Ma tydzień ferii zimowych, to jego pierwsze studenckie ferie, a ja, prawdę mówiąc, miałam pewien wspaniały pomysł, że my razem... Ale nie ma nawet sensu mówić o tym pomysle, nie chcę nawet o nim na-

pomykać, bo, uchowaj Boże, zrezygnuje w imię tego pomysłu, właśnie ze względu na mnie zrezygnuje z wyprawy w Karpaty i obojgu nam wcale nie będzie tak wesoło i przyjemnie wcielać tę moją myśl w życie. Milczę więc i z fałszywym uśmiechem kiwam głową — pewnie, że to cudownie, jedź w Karpaty, w Sławsku jest ładnie, tylko... Właściwie po co tam jedziecie, taka pogoda, śniegu nie ma tam również, i w dodatku na dwa dni, gdzie spędzicie noc, i kto jedzie, czy ich znam?

Na wszystkie pytania i wątpliwości otrzymuję odpowiedź, na jaką zasługuję: och, mamu, powiedz od razu, że nie chcesz, bym pojechał...

Nastawiam się na dwa dni oczekiwania. Sanek nie udało im się pożyczyć. Nart nie chcą zabierać, bo rzeczywiście nie ma tam pewnie śniegu, zima — wcale nie jak zima, taka jakaś szaruga, bo niby sypnęła trochę śniegiem, ale potem już tylko obrzydliwy, jeszcze gorszy niż jesienny — deszcz, mgła, mrok i wiatr. Oni — to studenci z jego grupy — dwóch chłopców i dwie dziewczyny, hm, no cóż, nastawiam się na dwa dni oczekiwania i nagle tego samego wieczoru tupią po schodach kroki, syn dzwoni do drzwi jak niegdyś w dzieciństwie, sto dzwoneków jeden po drugim i jeden bardzo długi, jak na pożar, biegnę otworzyć drzwi, a on stoi taki uszczęśliwiony, jakby zdobył nagrodę na olimpiadzie, trzyma rękę za plecami — jakaś niespodzianka oczywiście — och, jaki tam Sławsk, takie błoto, reprezentacja narciarska siedzi w schronisku, miały się odbyć zawody wszechzwiązkowe i nawet międzynarodowe, ale nikt nawet nie dotknął nart, zjedzono już wszystkie zapasy żywności w schronisku, wszystko wypito, wszystko sobie opowiedziano, a śniegu nie ma — śmiech i tyle! Spróbowali we czwórkę wejść na Trostian, ale takie błoto, taka droga, że wprost rozpacz —

dotarli do połowy i dalej już ani rusz. „A to dla ciebie, mamó, masz!” — wręcza mi zieloną gałązkę świerkową z dużymi szyszkami, takimi pachnącymi i żywymi, takimi świeżymi; wprost nie wiem, co robić z radości, bo syn jest już w domu, bo przywiózł mi gałązkę z szyszkami, które pachną Sławskiem, Trostianem i nawet śniegiem, którego tam nie było...

Poszłam w jakiejś sprawie do starej znajomej, posiedziałyśmy godzinę przy herbacie, nowe mieszkanie, nowe meble, jak być powinno, trochę nowej mody w urządzeniu i trochę kolekcjonerskich zdobyczy, czyli staroci: od razu przypomina mi się w takich razach Czechow i jego „Trzpiotka”, jest tam taki cudowny opis urządzenia pokoju — nic, tylko przenieść do tego czy innego współczesnego utworu literackiego, takie jest to wnętrze, że każda mieszcza zazdrościłaby śmiertelnie. Filiżanki do herbaty były z polskiego serwisu, w środku połączane, moja znajoma opowiadała mi o swoim synu, skarżyła się trochę — zrobił się bardzo uparty, musi postawić na swoim, nie sposób go przekonać, można go trzy dni przekonywać i na nic; w tych jej skargach dźwięczała jednak nuta dumy, że niby taki samodzielny chłopak, a przecież dopiero w dziesiątej klasie, i taki sprytny, że wszystko wytrzyma, obleci całe miasto, ale dostanie, jeżeli ma na coś chęć. Niedawno wytrzasnął japoński magnetofon, teraz chce mieć amerykańskie džinsy, a dla matki na urodziny wyszukał tę oto antyczną lampę — widzi pani, jakie cudo, a nawet nie zapytałam, skąd wziął pieniądze na taki drogi upominek i nie pytam, skąd je weźmie, żeby kupić amerykańskie džinsy. Jakoś tak przy sposobności, między informacją o džinsach i lampie moja znajoma opowiedziała mi o nieporozumieniach syna z nauczycielką języka obcego, która, widzi pani, wymaga, żeby uczył się słówek, i ponadto, wie pani, powiedziała

mi, że mój syn ma dziewczynkę — takie małe, sympatyczne dziewczątko. Mężczyźni powiadają, że jest bardzo kobieca, jest w niej coś z Ewy — taki powab, któremu żaden mężczyzna nie potrafi się oprzeć, ale nie powiedziałabym, że to coś nadzwyczajnego, po prostu miłe dziewczę i oczywiście — ciągnęła znajoma — chłopiec wpadł w tarapaty, bo mimo wszystko taki jest jeszcze naiwny, taki z niego dzieciak, bardzo fajny chłopak, jakkolwiek trochę uparty — coś tam między nimi było... rozumie pani, jednym słowem... dziewczynka powiedziała matce, matka wprost nieprzytomna przyszła tu do mnie, pewnie, spodziewa się teraz, że młodzi się pobiorą, trochę dziwne poglądy jak na dzisiejsze czasy, ale rozumiem ją — klarowała mi znajoma — mimo wszystko matka, ma córkę, też bym się bała — i wie pani, mój syn mi powiada: wielkie mi rzeczy, gdyby to nie ja, byłby ktoś inny, nie będę ja, znajdzie się też ktoś inny... Zupełnie logiczne... Matka się denerwuje, ale cóż jej mogę obiecać? Przyjmuję małą w naszym domu jak rodzoną, chodzę z nią do teatru, a dziewczyna na wszystko odpowiada swojej matce wciąż to samo: kocham go. No, cóż mogę tu poradzić?

Słowo honoru, dobre wychowanie i takt czasem człowiekowi przeszkadza. Próbowałam przeczyć, czegoś dowodzić, tłumaczyć, ale było to beznadziejne. W takich wypadkach zamiast argumentów lepszy kułak, ale kobietom nie wypada rozwiązywać konfliktów w ten sposób. To zresztą nie konflikt — po prostu podłość, której moja znajoma nie uświadamia sobie dobrze albo dobrze maskuje chyba udawaną naiwność.

I znowu dzika myśl: a co, gdyby to mój syn... Co, gdyby mój syn? A dziewczyna — nie tak bardzo, ale tak sobie, milutka i tyle, a chciałabym, żeby to była zupełnie inna — więc co wtedy? Co wtedy?

Ileż powstaje standardowych i niestandardowych sytuacji, ileż pytań trzeba sobie stawiać i jak wszelkie dobre zamiary niweczy życiowa prawda wydarzenia i charaktery ludzi, i nie pomagają żadne rozważania, żadne przekonania nie okazują się silniejsze od pragnień, sympatii i antypatii, a czasem nawet od zwykłego wyrachowania! I nie sposób ustrzec dziecko przed koniecznością powzięcia decyzji, przed walką i zajęciem własnego stanowiska, i mimo że tak bardzo nie chcesz, by sprawiło to dziecku ból, nie potrafisz przecież przewidzieć, co będzie bolało bardziej — wyrzeczenie się walki czy porażka w niej! Niechaj rozważy sam i zdecyduje — ale czyż pozostawisz to wszystko biegowi wydarzeń, czyż nie ulegniesz odwiecznej potrzebie podpowiedzenia, poprawienia, żeby zrobił tak, jak uważasz, że będzie dobrze, jak sama byś postąpiła na miejscu syna...

Jutro będę znowu uczyła swoje dziatki z grupy. I czy tylko będę je uczyła? Sama też się od nich uczę. Na białej brzozie ptak wiał gniazdo, mimo że brzoza była złamana. Co za poetycki obraz w tym wypracowaniu Iwanka, a ja muszę mu wytknąć błędy gramatyczne i chłopak się upiera, nie chce przepisywać.

Jaki mimo wszystko cud chce Iwanko pokazać Zuzannie?

## 7

Dobrze było Juli w błękitnej sukience z białym kołnierzykiem, dziewczynka przeglądała się w lustrze, poprawiała włosy i nawet ukradkiem, tylko raz, przesunęła pomadką po wargach. Nigdy nie będzie potrzebowała podmalowywać rzęs — są i tak czarne, brwi też nie będzie wyskubywać, żeby były cienkie i gładkie i tak są jak niteczka, mocno wygięte, jakby dziewczyna

zdziwiła się i ucieszyła ujrawszy po raz pierwszy w życiu coś bardzo pięknego, i zapatrzyła się na ten cud.

Pantofle są, co prawda, mamy, ale mama się nie dowie, że je córka włożyła, bo mama pracuje na drugiej zmianie, i kiedy Jula wróci, już jej nie będzie w domu. Jula nie wybiera się na długo, mają obie z koleżanką bilety do kina na nowy film i chcą jeszcze pójść do kawiarni, żeby zjeść lody i napić się kawy. Prawdę mówiąc, Jula wcale nie lubiła czarnej kawy, wydawała się jej gorzka i niesmaczna, ale pili ją wszyscy, więc wydawaloby się, że Jula jeszcze do nich nie dorosła, bo picie kawy dowodziło niezbiecie dorosłości.

Pozostała na stole nie doczytana książka, lekcje Jula odrobiła, zeszyty włożyła od razu do teczki, umyła naczynia, przewietrzyła pokoje i nawet obrała kartofle, żeby je ugotować, kiedy przyjdzie mama. Mama nie lubi wyszukanych potraw, najlepiej jej smakują świeżo ugotowane kartofle i pomidory, też świeże, wymyte i połyskujące jak słoneczko. Ale do pomidorów jeszcze daleko. Trzeba czekać do jesieni, kiedy będą takie soczyste i będą miały taki dobry kwaskowaty smak, jak to lubi mama. Tato się śmieje: gdybym mógł cię karmić przez cały rok pomidorami, co byś dla mnie zrobiła dobrego? Mama się śmieje: nigdy nie prosiłabym o nic prócz pomidorów. Tato obiecuje: zrobię w piwnicy inspekty, będziemy hodować... pieczarki. Mama się rozłościła: idź, zobacz, czy kartofle nie przerosły, póki się nie zabierzesz do pieczarek. I znowu oboje się śmieją. Jula też śmieje się chętnie, a że na świecie jest wiele wesołych rzeczy, więc ma często przyczynę do śmiechu. Nawet, jeżeli dzieje się nie najlepiej, mama i tato potrafią zachować dobry humor i Jula niemal nigdy nic nie wie o trudnościach, opowiadają jej jednak o wszystkim, co jest dobre, więc cieszy się razem z nimi, kiedy nie mają kłopotów.

Pokręciwszy się przed lustrem Jula włożyła płaszcz i wyszła z domu — pewnie koleżanka od dawna już czeka. Trochę długo trwało krzątanie się przy gospodarstwie, ale do rozpoczęcia filmu było jeszcze dużo czasu, więc Jula niezbyt się śpieszyła. Jej koleżanka rzeczywiście czekała stojąc z dwoma chłopcami — jeden jakiś nieznajomy, a drugiego Jula знаła, był nim Jurko Bereziuk, z tej samej szkoły co ona, tyle że o rok czy dwa młodszy od Juli; wcale nie zainteresowali jej ci chłopcy, Jula podeszła bez pośpiechu, przywitała się i zapytała koleżankę:

— Idziemy, Irenko?

Jula zawsze się tak zwracała do ludzi, nadając swemu delikatnemu głosikowi przyjemne brzmienie, sama też lubiła, kiedy rozmawiano z nią zyczliwie.

— Idziemy — zgodziła się Ira i, nawet nie obejrzawszy się, dziewczęta poszły powoli ulicą. Zaciszna była ich ulica, zielona, można było iść po niej powoli, nikomu to nie przeszkadzało.

— Hej, głupie gęsi, dokąd idziecie? — krzyknął Jurko Bereziuk, pewnie nawet nie zdając sobie sprawy, po co to robi. Był co prawda w okropnym humorze, ale to jeszcze nie przyczyna, żeby psuć humor innym. Skąd mogły Jula i Ira wiedzieć, jakiej biedy napisał sobie Jurko i że mocno go skrzywdzono trzy dni temu. Krzywda pozostała krzywda, mimo że skończył się deszcz i niemal wiosenne słońce świeciło na rozpozodzonym niebie, a w jakimś domu wyśpiewywał wesoło piosenkę czy to odbiornik tranzystorowy, czy to nagrany na taśmę magnetofonu głos, i na chodniku jeszcze były narysowane „klasy” i kiedy jest człowiek w dobrym humorze, może sobie poskakać z jednego kwadracika do drugiego mimo wysokiego wzrostu i poważnego wieku siódmoklasisty.

Dla Jurka jakby się skończyła jednak taka niedawna

jeszcze pora beztroski, w rzeczywistości zresztą z jego własnej winy, owego złego wieczoru, kiedy Łeś Witruk namówił go, żeby zdjął reflektory z cudzego wozu, i Jurka przyłapano przy tej „robocie”, Łeś natomiast zniknął w mgnieniu oka, jakby się zapadł pod ziemię. Pewnie, od tego się wszystko zaczęło i winien jest wszystkiemu tylko sam Jurko, w każdym razie nie sposób było zwalić na kogoś winę, nawet na Łesia, bo zależało przecież od Jurka — posłuchać namowy czy nie posłuchać, ale tak ciężko mu przecież dźwigać samemu brzemień winy, chętnie by przełożył bodaj jego część na czyjeś plecy. Łeś, reflektory, właściciel wozu, ludzie, którzy go zatrzymali, mama — wszyscy, jak mu się wydawało, byli trochę winni, że popadł w nieszczęście, na wszystkich chciałby się zemścić za swoje poniżenie, za poczucie zależności; wydawało mu się, że teraz chyba każdy bacznie i stale będzie go pilnować, nikt się już po nim nie spodziewa nic dobrego, ludzie tylko czekają na jakiś jego postępek, o którym mogliby powiedzieć: proszę bardzo, wiedzieliśmy, zły chłopiec, chuligan, nicpoń i łobuz... Ostatnio słyszał to wszystko pod swoim adresem bardzo często, przede wszystkim od matki i ojca, którzy mówili, że ściągnął na nich hańbę swoim czynem, nigdy już nie zmyje plamy na swoim honorze, wiecznie już będzie napiętnowany, ludzie nie będą mu wierzyli, bo niby to cały świat dowiedział się o jego postępkach. Dowiedzieć się rzeczywiście nie było trudno, bo Łeś Witruk opowiadał na prawo i lewo, jak Jurko chciał zdjąć reflektory, co mu się nie udało, i że wciągnięto Jurka na listę na milicji. O własnej roli w tej sprawie Łeś nic nie mówił, z jego opowiadania wynikało jak gdyby, że sam się od kogoś dowiedział przypadkiem o historii z reflektorami. Jurko nie dodawał do tej relacji ani słówka i dziwna rzecz — nie mógłby powiedzieć, że tym rozpowiada-



niem Łeś jakoś mu szkodzi. Przeciwnie. Wbrew logice w oczach kolegów Jurko jakby wyrósł, wypiękniał i zmądrzał, wydawał się im niemal bohaterem jakiegoś filmu, który nie skończył się, co prawda, szczęśliwie, ale chłopcy chyba czekali na ciąg dalszy, spodziewali się, że w drugiej lub trzeciej serii Jurko musi dokonać jakichś bohaterskich czynów, dzięki którym bez wątpienia zwycięży i jego aureola rozbłyśnie jeszcze bardziej.

Jurko znalazł się jakby między dwoma ogniami, dwoma biegunowo różnymi możliwościami, gdyż dla chłopaków ze swojej klasy był teraz niewątpliwie autorytetem i bohaterem, dla dorosłych zaś — niemal przestępcą. A Jurko nie chciał ani jednego, ani drugiego, nie chciał wybierać między tymi dwiema możliwościami i tak naprawdę pragnął tylko jednego: żeby nigdy nie było tego wieczoru, kiedy posłuchał Łesia. Jurko wiedział dobrze, że nie jest ani bohaterem, ani łobuzem, niechby go pozostawiono w spokoju, niechby mógł spokojnie odrabiać lekcje, rozmawiać z mamą o bocianach, a z tatą o wycieczce latem w Karpaty, odrabiać lekcje i chodzić w niedzielę do kina. A tymczasem szarpia go ludzie na wszystkie strony — nauczyciele prawią morały, tato żąda wytłumaczenia, co zamierzał syn zrobić z reflektorami, a chłopcy spodziewają się nowych wyczynów. Brakło Jurkowi odwagi, żeby się zrzec tego tytułu bohatera, mógłby wytłumaczyć, że dokonał tego „czynu” nie z własnej chęci, tylko namówiony przez Łesia i że w ogóle nie ma tu nic bohaterskiego, po prostu głupi postępek, a przedtem nigdy nie przychodziło mu do głowy, żeby sobie przywłaszczyć obcą rzecz, musiał jednak dowieść Łesiewi, że on, Jurko, nie jest tchórzem. Wplątany w tę sytuację, niebywałą dla cichego i nie skłonnego do wyskoków chłopaka, Jurko był teraz stale poiryutowany i zło-

ścił się na cały świat. Pocieszał się tylko jednym — czas mimo wszystkich trudności upływa, wkrótce zacząną się wakacje i można będzie gdzieś wyjechać, gdzie nikt nie wie o fatalnych reflektorach. Żywił również ukrytą, niemal nie uświadomioną nadzieję, że zostanie wreszcie skreślony z owej listy i wtedy od razu pójdzie w niepamięć cała ta głupia historia, a życie potoczy się zwykłym trybem.

Z listy skreślano tylko wtedy, kiedy zachowanie nieletniego było nienaganne, kiedy zauważono, że rozumiał swój błąd i rzeczywiście się poprawił. Zachowanie Jurka nie uległo poprawie, niemal nie okazał również skruchy, nie sposób było mu zaufać i nie skreślono go z listy. Piętno zostało wyciśnięte tak mocno, że nie można się go już było pozbyć. Nowy cios Jurko uznał za wskazanie na przyszłość. Cóż, jeżeli łobuziak — to niech będzie, że łobuziak. Nie wierzą, więc niech nie wierzą. Przynajmniej wyjaśniła się teraz sytuacja, nie musiał wybierać, wybrano zamiast niego, i było to o wiele prostsze niż myśleć, męczyć się i wahać.

Zmartwienie i smutek matki niemal nic już dla niego nie znaczyły. Wystarczyłoby, żeby wówczas, na początku potraktowała go czulej, i chłopiec może spróbowałby bodaj jakoś się usprawiedliwić, coś by wytłumaczył, ale matka odpychała go od siebie surowością i brakiem zaufania, a teraz było mu już obojętne, czy matka płacze, czy jakoś inaczej reaguje na wszystko, co się stało... Niech będzie, co ma być. Nie skreślono go z listy, więc widocznie o to im chodzi. Chodzi im o to, żeby był łobuzem. A może chcą go jeszcze wypróbować, coś wyjaśnić? Niech wyjaśniają. Sam o sobie już zdecydował. Nareszcie. Aż mu się lżej zrobiło.

— Hej, głupie gęsi, dokąd idziecie? — krzyknął Jurko. Krzyknął niemal z rozpaczą, jakby skoczył z wysokiego brzegu w zimne fale. Dziewczęta były trochę

starsze, nigdy z nimi nie rozmawiał, nawet nie zawsze się witał, nie dlatego zresztą, że był źle wychowany, po prostu krępował się, gdy trzeba się było odezwać do dziewczyny. A teraz krzyknął, po chamsku, żywiąc w duchu nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie. Ale zgodnie z rolą, jaką sobie wybrał, z jej tekstem wszystko miało być właśnie tak: krzyk, niegrzeczność i mołojstwo. Co ma być, to będzie.

— Nie odzywaj się — wzruszyła ramionami Ira. — Plótl mi już tutaj różne głupstwa. Mówił, że może obrabować kiosk albo pójść nocą na Wysoki Zamek. Jakiś wariat. Nie zwracaj na niego uwagi.

Jula nie zwracała, nawet się roześmiała, chociaż nie należy to do przyjemności, kiedy młodszy od ciebie chłopak przezywa cię „głupią gęsią”.

— Dopędzimy? — wchodząc coraz bardziej w rolę, nie czekając na zgodę kolegi, Jurko pobiegł za dziewczętami. Dalszy przebieg wydarzeń był szybki, wszystko trwało jakieś pięć minut. Trochę zdyszany Jurko stanął przed dziewczętami, nie pozwalając im przejść. Mogłoby się wydawać, że się po prostu bawią — chłopiec rozpostarł ręce, a dwie dziewczynki usiłują pokonać tę przeszkodę na swojej drodze. Jula z początku wciąż się jeszcze uśmiechała, ale na twarzy Jurka odmalowała się taka zacięta, niezrozumiała złość, że dziewczyna zlekła się nagle i odwróciwszy się gwałtownie, zaczęła uciekać w przeciwną stronę nie patrząc na drogę.

— Jula, Jula! — zawołała koleżanka, ale Jula się nie obejrzała.

Jurko pobiegł za nią. Płaszczyk jej się rozpiął i zsunął trochę z ramion, widać było biały kołnierzyk błękitnej sukienki, w której tak było dziewczynie do twarzy.

Dzieci biegly przez skwer, dziewczynka z przodu,

za nią w odległości kilkunastu metrów chłopak i znowu z daleka mogło się komuś wydać, że dzieci się chyba bawią. Jurko już niemal dopędzał dziewczynkę. Po co mu ta gonitwa, sam dobrze nie wiedział. Wszystko stało się tak nagle — ona przelekła się i pobiegła, jego jakby coś popchnęło i kazało ją dopędzić. Biegając potknął się nagle, upadł, uderzył się mocno o kamień, zerwał się przemógłszy ból, ale Jula zdążyła już zniknąć mu z oczu, rozejrzał się i nie zobaczył jej, więc wezbrała w nim uraza i gniew, że tak haniebnie upadł potknąwszy się o jakiś kamień, gniew, że podarła się nogawica na kolanie, że krwawi rozbita noga. Za chwilę znowu zobaczył dziewczynkę za drzewami i rzucił się w pogoń, lecz już nie ot tak sobie, teraz miał powód, żeby się złościć, i nieprzepartą chęć, żeby bodaj kogoś ukarać za to, co go spotkało przed chwilą. Biegł teraz rozwścieczony, gotowy na wszystko i kiedy wreszcie brązowy płaszczyk i rozwiane, roztrzepane od biegu włosy zobaczył tuż blisko, gwałtownie chwycił dziewczynkę za rękę i szarpnął ku sobie.

— No, czego chcesz — zdławionym przez łyzy głosem i ciężko dysząc ze zdenerwowania powiedziała Jula — czegoś się przyczepił? Chcesz bić? No bij, bij, tchórze nieszczęsny, tylko spróbuj mnie uderzyć... Przecież nie możesz, nie potrafisz...

Dziewczynka rozjątrzyła go na swoje własne nieszczęście i tym słowem — tchórz nieszczęsny, i tym — nie potrafisz... Odruchowo rozluźnił zaciśnięte na jej ramieniu palce, dziewczynka skorzystała z tego od razu, szarpnęła się i znowu pobiegła, a Jurko nachylił się wtedy, podniósł kamień i rzucił niemal na oślep. Kamień trafił ją w głowę. Odległość była nieduża, a kamień ciężki. Jakąś sekundę dziewczynka jeszcze stała, a potem, jakby się potknąwszy, powoli osunęła się na ziemię. Chłopiec nawet nie próbował uciekać, pa-

trzył oniemiały, jak rozlewa się ciemnoczerwona plama na białym kołnierzyku.

Pewnie, że nie ma tu ani krzty twojej winy. Nie ty wychowywałaś tego chłopca, nie tłumaczyłaś mu, co to takiego odwaga, a co zła chęć zemsty, nie uczyłaś go dobroci i nie ma powodu, żebyś brała odpowiedzialność za jego czyn. Ale kto wie, czy gdybyś w porę...

Dość tego tłumaczenia sobie i przekonywania, sama wiesz wszystko dobrze, rozumiesz i czujesz, nie chcesz tylko dopuścić do głosu tego uczucia, co budzi się i rodzi w tobie bez twego pozwolenia. Musisz wszystko przemyśleć, wszystko rozważyć obiektywnie, więc lepiej usiądź, przestań się krzątać w kuchni, usiądź, ukryj twarz w dłoniach, wsłuchaj się w swoje wnętrze — tuż przy sercu zagnieździło się tam bolesne uczucie winy i odpowiedzialności. Czujesz? Nie próbuj się go pozbyć. Bez tego uczucia będziesz gorsza, będziesz takim małym człowieczkiem. Jeżeli obce ci będzie to uczucie, tak łatwo można się będzie obejść bez ciebie na świecie — nawet syn obejdzie się bez ciebie, jeżeli zepchniesz gdzieś w kąt to uczucie, spróbujesz je zastąpić swoim bezustannym i słusznym, ale chłodnym rozumowaniem.

Już wkrótce północ, tak, tak, masz prawo gniewać się na gości syna i na niego samego — bo rzeczywiście, jak długo można siedzieć, słuchać muzyki i palić? Ich kawa pewnie już dawno wystygła, pewnie już jej pić nie mogą, ale mimo to pewnie popijają małymi łykami tę zimną już, brunatną ciecz o lekkim zapachu dalekich krajów i przygód, popijają małymi łykami i o czymś rozmawiają. O czym można tak długo, tak nieskończenie długo rozmawiać? Pewnie wieszają psy na wykładowcach, niezadowoleni z systemu miesięcznych zaliczeń na uczelni — bo przecież tacy poważni i dorośli ludzie pozbyli się szczęśliwie szkoły

i szkolnej opieki i znowu robi się z nich uczniów, pilnuje, sprawdza notatki, przepytuje z każdego przedmiotu, jakby byli dziećmi i sami nie wiedzieli, co robić i jak się uczyć! Masz rację, trzeba im powiedzieć, że czas już się rozejść, że już dość, ale jakoś nie możesz tego zrobić, nie masz śmiałości wejść nagle do „dużego” pokoju, nie masz już teraz żadnego pretekstu po temu, chyba że zaczniesz znowu szukać jakiejś książki. Powiedz prawdę, wydawało ci się przez chwilę, że mogli się jakoś dowiedzieć o Jurku Bereziuku, i kto wie, jak by zareagowali, gdybyś weszła do pokoju. A co by powiedział twój syn, któremu od dzieciństwa kazałaś się zastanawiać nad uczciwością, odwagą cywilną, odpowiedzialnością za swoje czyny przed samym sobą i przed ludźmi?

Rzeczywiście lepiej posiedź cichutko, posiedź i nie odpędzaj od siebie uczucia, że zawiniłaś.

Oczyścisz się we własnych oczach dopiero wtedy, kiedy uświadomisz sobie, czym zawiniłaś. Weź na własne barki czyn Jurka Bereziuka, jak byś wzięła winę własnego syna, bo nie potrafiłaś chłopcu dopomóc, by pohamował swoją złość i niezrozumiały gniew na cały świat; nie wytłumaczyłaś mu, jak się nauczyć niewybaczenia sobie własnych błędów. Wiesz, jesteś winna także temu, że Jurko rzucił w kogoś kamieniem.

Bezsensowne przelewanie z pustego w próżne. Mógłby ktoś pomyśleć, że usiłuję sama siebie przekonać o konieczności dobroci i jednocześnie dowodzę, że dobroć nie ma sensu. Nie dobroć w ogóle, lecz dobroć nieodpowiedzialna, wszystko przebacząca i bierna. Machnę lekko ręką, że niech tam, jestem dobra,

krzywdźcie mnie, jego i jeszcze kogoś, niech tam — z czasem sami zrozumiecie, jak źle postępowaliście, zostawimy was w spokoju.

Znam już w sobie tę gotowość do przebaczenia — trudniej jest przecież wymagać odpowiedzialności, trudniej jest łamać cudzą wolę, trudniej jest tracić przyjaciół, trudniej jest nie przebaczyć, niż przebaczyć. Bo przebaczać można różnie i następstwa tego przebaczenia mogą być różne. Sobie nie wybaczam niemal nic, od swego syna wymagam więcej niż od kogokolwiek innego, jakkolwiek ludzie mi czasem zarzucają, że nie wymagam od niego rzeczy elementarnych, powszednich, codziennych, że wytknęłam sobie cel, stworzyłam ideał i staram się podciągnąć dziecko do tego ideału zapominając o rzeczach najpotrzebniejszych. To źle, jeżeli tak. W tym wypadku bowiem ciężko będzie memu synowi w życiu — przecież najczęściej mamy do czynienia z rzeczami najzwyczajniejszymi i musimy rozwiązywać najprostsze problemy.

Pewnego razu uśmiechnęłam się pobłaźliwie, kiedy znajomy nastolatek opowiedział, jak „wymienił” swoją koleżankę na bilet wstępu na wieczór w Domu Architekta. Od dłuższego już czasu wieczory w Domu Architekta przyciągają publiczność, ale zdaje mi się, że wchodzi tu w grę raczej moda i snobizm niż rzeczywiste zainteresowanie i istota rzeczy. Tak czy inaczej bilet na wieczór w Domu Architekta kosztował tym razem drogo. A było to tak:

— Masz fajną dziewczynę! — powiedział do mego znajomego nastolatka jego sąsiad przy stole na wesolej prywatce.

Chłopak roześmiał się:

— Jeżeli ci się podoba, to mogę ci ją odstąpić. Akurat najwyższy czas, żebym zmienił dziewczynę.

Działo się to na prywatce, obaj byli pod gazem i uważali, że mile żartują.

— Po prostu odstąpisz? — zapytał jeden.

— Byłoby dobrze, żebyś mi coś dał w zamian! — roześmiał się drugi.

— Mam bilet do Domu Architekta. Starczy?

— Pytanie! Bierz razem z futrem i kapeluszem.

Wziąwszy bilet, nastolatek po cichu, po angielsku wyszedł, a ten drugi zaczął się zalecać do dziewczyny, prawiąc jej komplementy i przekonując, że jej chłopak wcale nie jest jej wart — upewnił się co do tego zresztą, jakkolwiek chyba nie powiedział dziewczynie, w jaki sposób uzyskał prawo do podrywania jej.

I jedynie się uśmiechnęłam wysłuchawszy tego opowiadania, w którym było tyle cynizmu i podświadomej podłości, że nie potrafiłabym nawet wytłumaczyć tego chłopcu. A może szkoda mi na to było trudu? Machnęłam ręką — i tak sprawa beznadziejna, nie do wyleczenia — i dotychczas robi mi się gorąco ze wstydu na wspomnienie własnej pobłażliwości. To jedna z odmian tej dobroci, której się obawiam i nie chcę do siebie dopuścić, ale która niekiedy bierze górę nad wszelkimi innymi uczuciami, nad uczciwością i zdrowym rozsądkiem.

Rozumiem jednak — moje chytre sumienie zmusza mnie do rozróżnienia dobroci tej i tamtej drugiej, którą nazywa mądrą. Dobroci, że tak powiem, zbawiennej, wielkiej i prawdziwej. Wyrzuca mi, że mi jej brak, a wyrzuty te działają na mnie przygnębiająco, bo skąd wiem, czy jest we mnie ta dobroć, która podobnie jak talent jest darem natury, czy inna, ta, co przychodzi wraz ze zrozumieniem różnicy między dobrem i złem, ze zrozumieniem, że dobro musi zwyciężyć na świecie i w tobie...



Wołam dzieci ze swojej grupy i cicho, jak w tajemnicy, powiadam im:

— Jutro jest niedziela, wolny dzień, więc jeżeli chcecie, oczywiście, pójdziemy szukać wiosny.

Szukać wiosny? Przyszło mi to na myśl przed chwilą, kiedy wyglądałam oknem (dzieci pilnie rozwiązywały zadanie matematyczne, więc — pod słowem — miałam prawo wyjrzeć przez okno) i zobaczyłam błękitne niebo, takie błękitne, jakie bywa tylko wiosną. Po chwili zasnuło się z lekka mgłą, wyblakło, poszarzało, nawet sposepniało, ale mimo wszystko uchwyciłam tę chwilę rozwiośnienia, rozpogodzenia i wyczekiwania.

Dzieci zgodziły się, burzliwie manifestując swoją radość, jakbym im obiecała rzeczywiście coś nadzwyczajnego, bajecznego.

Ale trudniej jest szukać wiosny w mieście niż gdzieś w lesie, w polu czy w górach. Wiosna przychodzi do miasta ostrożniej i wolniej, powoli obmacuje dłonią wystygłe mury i cofa ją od razu, odchodzi, a spłachcie ciemnego, wybrudzonego śniegu wciąż jeszcze widnieją na podwórzach, pod drzewami, pod zrudziałymi rynnami i na zielonych dachach. Mury mają jeszcze wciąż ponury wygląd, widać, że sprzykrzyła się im nieokreślona sytuacja i oczekiwanie, że chciałyby już prawdziwego ciepła i trwałego słońca, żeby się wyprostować, ogrzać stare kości, wstrząsnąć potężnymi jeszcze barami, żeby rozstały się ulice i zrobiły się rzeczywiście jakby szersze, i żeby ludzie nie trzymali się blisko ścian w obawie przed poślizgnięciem się czy przed brudnymi rozpryskami tryskającymi spod kół samochodu.

Na każdym rogu — przebiśniegi, dzielne pierwsze kwiaty o barwie śniegu czy też wiosennego nieba, bo innych barw pierwsze kwiaty nie uznają; ba, boisz

się, żeby nie zniknęły, żeby ich nie rozkupiono. Kto wie, gdzie je zbierano, skąd przywieziono do miasta — może z daleka, czyli że wiosna też jest jeszcze bardzo daleko, ale gdyby udało się znaleźć kwiatek gdzieś tutaj, żeby wyrósł pod ręką, żeby spod twojej dłoni wyrzwał na świat, na słońce.

Wiosna przychodzi do miasta bardzo ostrożnie i mimo to ruszyliśmy na jej poszukiwanie. Chodniki wysychają, jakby dyszą i oczyszczają się — to również oznaka wiosny w mieście. Stare, zgniłe liście zgarnia się w parkach w duże stosy i pali — dym jest żrący i przesycony wilgocią, ściele się nisko nad czarnymi ścieżkami parku, a z rana zawisa wraz z mgłą na małych uliczkach w pobliżu parku i pierwsze, co odważniejsze promienie słońca przesywają tę mgłę. Wróble podskakują wesoło, już nie nastroszone i nie okrągłe jak kulki, piórka jakby się wyprostowały, są przyglądzone i równe — nic innego, tylko odwiedziły ptasiego fryzjera; prawda, że to także wiosna, pytają dzieci — zimą wróble są inne, a teraz takie czupurne, biją się ze sobą, takie zacietrzewione i ucieszone, jakby im rzeczywiście przyjemnie było ćwierkać możliwie najgłośniej.

Dzieci rozgarniają stare liście i oto pod liśćmi — błady pęd jakiejś roślinki, ledwie się przebił, jeszcze nie zdążył odzwyczaić się od mroku i mruży oczy przed światłem, kuli się, trochę się boi, ale trochę już nabrał śmiałości, żeby się wyprostować.

Pączki — zauważyć je nietrudno, gotowe już rozwinąć się lada moment, byle tylko nie było więcej mrozu — martwią się dzieci — bo wszystko przepadnie, wszystko zamarźnie, więc żal, prawda?

Co tam pączki — niby świąteczny podarunek ukazuje się nagle za ogrodzeniem duży krzew, cały w jasnożółtym opierzeniu — to już prawie liście, to już

prawdziwa wiosna, bo nawet ogrodzenie wydaje się tu cieplejsze i chodnik jest aż biały, a nad tym wszystkim — słońce, i ktoś się śmieje:

— A Zuzanna ma piegi — to także wiosna, prawda?

Patrzymy na dziewczynkę — ma rzeczywiście piegi na nosku, takie wesolutkie i drobne, potem rozpląną się w całe plamy, ale na razie są drobnutki, a Zuzanna wprost jaśnieje, jej śmieszne nierówne zęby takie są białe, że jeszcze bardziej rozjaśniają dziecięcą twarzyczkę, dziewczynka przyciągnęła, zda się te pierwsze i najcieplejsze promienie słoneczne, pławi się w nich cała, połyskuje czysto umyte rude włosy, a Zuzanna mówi, szczebioce w zachwycie: „Och, mamciu moja, jak dobrze! Och, mamciu!”

To do nikogo właściwie nie adresowane słowo, bo dziewczynka od dawna nikogo już nie może tak nazywać i wołać, rani mnie boleśnie, chętnie bym uściśnęła to rude dziecko, chciałabym, żeby zawsze mogła mówić z takim przejęciem — „jak dobrze!”

Nastolatki, ci młodszy i trochę starsi, zostawili już w domu czapki, chustki i kapelusiki, wszyscy chcą się czuć nieskrępowani, tak wesoło wyglądają te głowy — jasne, czarne, naturalne, farbowane — wszystko jedno, najważniejsze, że wyglądają tak wesoło i wprawdzie nie bardzo jest ciepło, kiedy wiatr wieje, ale kiedyż się wreszcie doczekamy... I tak przyjemnie jest na tym wietrze wiosennym, nawet dość chłodnym, bo czasami aż łamie od niego w skroniach, ale oczekujesz jego powiewu jak radości, co musi przyjść z całą pewnością w ściśle oznaczonym czasie.

Jestem niemal pewna, że jest gdzieś tutaj mój syn, nie wiem z kim, ale gdzieś tu jest, jednocześnie chcę i nie chcę się z nim spotkać, boję się, że jakoś wpłynę na jego nastrój, bo jeżeli się nawet ucieszy ze spotka-

nia ze mną, mimo wszystko jego nastrój zabarwi się trochę inaczej, a nie chcę tego.

Dobrze się czuję z moimi czwartoklasistami. Nie ma między nami dzisiaj ani cienia obcości i dystansu: nauczyciel — uczeń. Po prostu szukamy razem wiosny. Na drzewach, w ludziach, w domach, w starych murach, na wesołych słupach z afiszami oklejonych dookoła taką pstrokacizną — nawiasem mówiąc niewiele już zostało tych okrągłych słupów na afisze, pojawia się teraz coraz więcej tablic i gablot, ale te stare beczkowate słupy ze spiczastymi daszkami mają mimo wszystko ciekawszy wygląd i jakiś czar, a czasem budzi się we mnie chęć, żeby spróbować — bo co, jeżeli poodklejamy warstwa po warstwie wszystkie afisze, wyobraźmy sobie, że nigdy ich nie zdejmowano — i co tam będzie pod nimi? Podobnie chciałabym, wysłuchawszy kilkudziesięciu czyichś zdań, zrozumieć wreszcie: co się za nimi kryje?

Wtem do poszukiwań wiosny wkrada się coś zupełnie innego, obcego, niespodziewanego, coś, co jest dla mnie kroplą takiej goryczy... Moje dzieci nie zwróciły uwagi i skąd mogą wiedzieć, że prosto w naszą stronę idzie chłopak, którego poznałam od razu, mimo że widziałam go tylko raz — to Jurko Bereziuk, odłożyłam odwiedziny u niego na jutro, a trzeba było pójść dzisiaj — nie, wczoraj, wczoraj trzeba było pójść, od razu, kiedy się dowiedziałam o zajściu, o tym kamieniu i o nowej nieuniknionej rozmowie w owej izbie, gdzie odbyło się nasze pierwsze spotkanie. Nie wiem, czy mnie Jurko poznał, czy nie, nie wita się jednak, tylko patrzy mi prosto w oczy zuchwale i badawczo — no więc to ja, taki, jakiego mnie widzisz i co na to powiesz? Ręce trzyma w kieszeni, pewniej się wtedy czują tacy chłopcy, więc włożył ręce do kieszeni i idzie lekko nachylony. Podpowiada

mi jakiś dziesiąty zmysł, że ta zuchwałość — to tylko maska, że chłopak nie uważa się wcale za bohatera.

Zatrzymuję go, dotykam jego ramienia.

— Dzień dobry, Jurko — mówię i nie wiem, co jeszcze powiedzieć, niè znajduję ani słowa, wszystkie wydają się teraz daremne, bo trzeba je było powiedzieć wcześniej, a teraz nie wiem, jak skorzystać z tego, z czego należało skorzystać wcześniej.

Chłopiec przygląda mi się bacznie, rzeczywiście z początku mnie nie poznał — jego twarz pokrywa się nagle czerwonymi plamami, waha się, jak się teraz zachować, ale mimo wszystko pokorniej:

— Dzień dobry...

— Wiesz, szukamy wiosny... Może pójdiesz z nami? — wypowiadam wreszcie te słowa i zdaję sobie od razu sprawę, że nie ma żadnej nadziei, by przystał na moją propozycję.

— Co? Czego szukacie?

— Rozumiesz — powiadam — szukamy wiosny — o, kwiaty i nawet liście się już pojawiły...

— A po co? — wzrusza ramionami i patrzy na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem nie zwa-riowała ta dorosła osoba. — Po co jej szukać? I tak przyjdzie, bez tego...

Nie śmiem go zatrzymywać, wiem, że teraz musimy się spotkać, że pójdę do niego do domu, ale jak przebiję ten mur, który chłopak zaczął już wznosić między sobą i ludźmi?

Mimo to do waszego spotkania nie doszło dotychczas, przyznaj się, że odczułaś nawet ulgę, kiedy nie otworzono drzwi, kiedy nikt nie wyszedł, gdy zadzwoniłaś. Miałaś jeszcze przedtem czas zastanowić się trochę, co

mu powiesz, byle tylko nie prawić mu morałów, wiesz sama, jak nawet twój własny syn słucha tych pouczeń. Jedno ma wypisane na twarzy: oby jak najprędzej skończyła się ta gadanina, bo w zasadzie i tak wiem, w czym zawiniłem, a w czym — nie.

Niechaj pierwsze słowo, z jakim zwracasz się do człowieka, nie będzie niczym rzucony w plecy kamień. Szukaj w sobie nie słów, lecz uczuć, nie zamiarów, lecz czynów.

Tym razem spóźniłaś się. Gdybyś zabrała chłopca ze sobą, może nie rzuciłby kamieniem w dziewczynkę.

Nie próbuj tłumaczyć, że nie stało się nic szczególnego: chłopiec rzucił kamieniem w niemal nieznaną dziewczynkę, rzucił tak sobie, beżmyślnie i głupio, rozpuścił się po prostu, bo zdarzało się już, że robił gorsze rzeczy, zdjął reflektory z cudzego samochodu, bił się z kolegami i w rezultacie jest na liście w izbie dziecięcej na milicji, przy administracji domu. Już sama nazwa tej „instytucji” nadaje całej sprawie charakter nieciekawego, powszedniego wydarzenia. Ale oto nowa bieda — chuligan skaleczył mocno dziewczynkę, odwieziono ją do szpitala, okazało się, że dziewczynka ma małą krzepliwość krwi i ten drobny szczegół nadaje całej historii zupełnie nowe zabarwienie. Wina twoja jest minimalna, udział w pracy komisji — też minimalny, byłaś tylko na pierwszym i na razie jedynym dla ciebie posiedzeniu, nawet nie orientowałaś się dobrze, jaka ma być twoja rola, rola zupełnie dla ciebie nowa i niezwykła, i mimo wszystko także z twego powodu nieznaną ci dziewczynka imieniem Jula leży teraz w szpitalu. Taki nieprzerwany łańcuch stosunków międzyludzkich, pamiętasz to fantastyczne opowiadanie o owadzie, którego rozdeptano nogą, niszcząc na zawsze cały gatunek, i w rezultacie rozwój wszechświata potoczył się zupełnie inaczej, gdyż zabrakło

jednego jedynego owada. Nieprzerwany jest łańcuch ludzkiej odpowiedzialności i nawet wtedy, kiedy w ogóle sobie nie wyobrażamy, jak żyją ludzie po przeciwległej stronie planety i co tam będzie jutro, bardzo możliwe, że to ich jutro w pewnej mierze zależy również od nas, od tego, co powiemy, zrobimy, postanowimy. Cóż z tego, że nie jest to zależność bezpośrednia, mimo to trzęsienie ziemi w Taszkencie czy powódź w Indiach może wywierać jakiś wpływ także na twoją egzystencję; nie trzeba czekać na trzęsienie ziemi we Lwowie, żeby wreszcie zrozumieć, jakie to straszne. Nie uśmiechaj się, tylko bez ironii, nic łatwiejszego jak ironizować, to najprostszy sposób, żeby się odciąć od wszystkiego na świecie, uwierz mimo wszystko — nieprzerwany łańcuch stosunków międzyludzkich istnieje, istnieje nie tylko w przestrzeni, lecz również w czasie i bardzo możliwe, że od tego, jak nauczysz myśleć i postępować swego syna i Iwana Tkacza, czy jeszcze ktoś z małych czwartoklasistów, zależy również to, jak będą myśleć, czuć i rozumieć świat ich dzieci i wnuki.

Chcesz przecież ofiarować synowi swój najpiękniejszy dzień, kiedy sama byłaś dobra, szczęśliwa i gotowa do swoich najlepszych uczynków, kiedy lubiałaś zieloną trawę i dzieciaki, co bawiły się z tobą, kiedy wierzyłaś i ufałaś, kiedy wszystkie gwiazdy wydawały ci się bliskie jak kwiaty na ziemi.

Wcale nie chcesz pozostawiać mu w spadku jakiegoś swego złego postępku, jakiegoś przykrego dnia, o którym chętnie sama byś zapomniała. Czy nie jest to dowodem, że ciągle są powiązania i stosunki, ciągle jest odpowiedzialność za twoje własne czyny, czyny twego syna i tego chłopaka, co rzucił kamieniem w dziewczynkę.

Możesz się nie denerwować — wiem i ty już wiesz, że dziewczynka będzie żyć, ale gdyby było inaczej? A

co, gdyby to miała być dziewczyna, którą wprowadzi do domu twój syn? I gdyby mógł się jakoś urwać nagle w tym miejscu łańcuch ciągłości, łańcuch jedności, radości, nadziei i wiary?

Logika podsuwa ci zimne stwierdzenie: głupstwo, bujda, nonsens, nic z tego, co mówi twoje gadatliwe sumienie, nie jest prawdą, po prostu jest bardzo wrażliwe na najmniejszy ból, więc wyolbrzymia, przetwarza wymysł w prawdę, a z prawdy wywodzi ostatecznie światową katastrofę. Kiedy jednak twoje sumienie odczuwa ból, sama odczuwasz go również, boli cię, boli, nie oszukuj się, musi cię boleć, niepokoisz się, boisz, przestajesz rozumować, chętnie pobiegłabyś do szpitala i zapytała, jak się czuje nieznaną dziewczynka, masz zamiar pójść do matki Jurka Bereziuka i przyrzec się i jej, i jej synowi z bliska.

Wiosną zawsze dzieje się z tobą coś dziwnego, budzi się wewnętrzny niepokój i lęk, czekasz, kiedy zakwitnie drzewo w ogrodzie koło twego domu, wysokie drzewo sięgające trzeciego piętra domów; wydaje się nawet, że ma z nimi wspólny fundament czy korzeń, że dom też powinien rosnać i drzewo nie ma prawa zginać, nie należy go zrywać, musi zakwitnąć, koniecznie musi zakwitać także w tym roku, jakby coś to wróżyło, dowodziło tej ciągłości, której istnienia dowodzi ci twoje nie milknące sumienie, chcesz zobaczyć raz jeszcze, jak kwitnie drzewo, jeszcze raz popatrzeć na urocze zjawisko nazwane kwitnącym drzewem, i bolą cię odrąbane wiosną konary czarnych drzew, a będzie to trwało tak długo, aż się zagoją ich rany, pojawią się nowe gałązki i przykryją okaleczenia, bo na razie wewnątrz gałęzi i pnia jest jeszcze odsłonięte i białe niczym ludzkie ciało i boli cię, to, prawda?

Więc czyż nie boli cię nieszczęście tamtej matki, co musi i nie przebaczać, i jednocześnie przebaczać swo-



jemu synowi ten rzucony w dziewczynkę kamień? Jeżeli nawet syn jej nic już więcej nie zbroi, będzie mimo to pamiętała ten kamień dłużej niż on sam — ten, którego ręka podniosła kamień i rzuciła w człowieka. Przecież nawet w winnego nie rzuca się kamieniami, tym bardziej w plecy, a tutaj — więc bij się także w piersi, cierp z powodu tego bólu, bo także od ciebie, także od ciebie zależy, czy obudzi się w kimś chęć rzucić kamieniem w czyjeś plecy bez przyczyny lub z przyczyny zrodzonej w pewnym stopniu także z twego zachowania.

Twój syn notuje w dzienniku czy zwyczajnie w jakimś zeszycie swoje myśli, jakieś zdania, których początkowo nie rozumiesz, ale potem odsłania ci się nagle ich sens w jego czynach. Jego zeszyty do geografii i matematyki były zawsze upstrzone tymi zdaniami, podobnie jak zeszyty innych chłopców — wizerunkami twarzy, samolotów i statków.

Na razie nie wysnuwasz jeszcze żadnych wniosków z tego przyzwyczajenia syna, ale kiedy mówi: przeczytaj — trochę nieśmiało i w nadziei, że coś odkryjesz, zaglądasz do tych notatek, bo chcesz wiedzieć o nim więcej, niż gotów jest ci powiedzieć.

Nigdy w życiu nie odważyłabyś się jednak opowiedzieć, co przeczytałaś, komuś innemu, podobnie jak nie dałabyś do przeczytania listu napisanego tylko do ciebie.

A teraz niepokoi cię, o czym młodzi rozmawiają, co sobie wzajem wyznają, o ile syn więcej ufa kolegom niż tobie? I dlaczego, dlaczego tak się dzieje — czyż twój syn i czyjś jeszcze syn nie wie, że właśnie ty, że matka jest jego najlepszym przyjacielem, chociaż — nie zawsze, niezupełnie. Przyczyna tkwi tu w różnicy wieku, w fakcie, że w pewnej chwili nie dostrzegasz już, gdzie kończy się zaufanie i zaczyna się suveren-

ność życzeń, do których nie trzeba się wtrącać, dotykasz czegoś, co powinno być nietykalne, albo bierze w tobie górę rutyna nudnego mentora, powtarzasz wszystko, co mówiłaś już przedtem, a syn tylko słucha grzecznie, bo nauczono go nie przerywać starszym...

Więc o czym teraz rozmawiają? Wiesz, nie mają obowiązku spowiadać się przed tobą, przecież nie wejdiesz tam i nie opowiesz im o Jurku Bereziuku, więc dlaczego wymagasz od nich więcej, niż możesz dać sama? Już się niemal zrównaliście, nie są już dziećmi, chociaż pozostali dziećmi, a zawsze ci się wydaje, że dzieciom nie wszystko można i trzeba opowiadać, i tak samo oni wszyscy wiedzą swoje: dorosłym nie wszystko i nie zawsze trzeba i można opowiadać. Chcą sobie sami dać radę, zostaw ich w spokoju, możesz się tylko domyślać, o czym mówią. Ale czy się domyślisz?

## 10

Sumienie ostrzega przed moralizatorstwem, ale czyż nie jest samo najnudniejszym na świecie moralistą? I musisz słuchać, nie odejdziesz od niego ani na krok, jest przy tobie, jeżeli nawet nie słuchasz jego głosiku.

O czym mówi do mnie sumienie, wiem już, ale o czym rozmawiają te dzieci? Pójdę do nich w końcu, bo rzeczywiście czas już, żeby poszli spać, niech nie udają dorosłych.

Nie mam humoru, nie potrafię zrobić tego dowcipnie.

Nie mogę być obecna przy ich rozmowie.

Mogę sobie jednak przypomnieć kartki, które dawał mi do czytania syn. Ciekawe, czy ich rozmowa pozostaje w związku z jego myślami. Może to świętokradstwo, ale tak bardzo chcę powtórzyć sobie w duchu jego refleksje.

„... Byłem tu po raz pierwszy, kiedy mój tato bronił

rozprawy kandydackiej. Każdy kamień, każdy deseń na ścianie, zwyczajny, najprostszy deseń i kunsztowna polichromia sufitowa, drewniana ławka, miedziana klamka — wszystko kryło w sobie zagadkę, chociaż wszystko było takie proste.

Szedłem po schodach przekonany, że chodził po nich niejeden mądry człowiek. Byłem małym chłopczykiem i nie wiedziałem, że jest niemało głupców, którzy też wchodzą po schodach na górę.

Siedząc na krześle przed drzwiami sali czułem, jak nieprzyjemnie pocał mi się ręce, i w ogóle czułem się nieswojo na tym krześle, ale stać nie mogłem, miałem w kieszeni broszurkę z wzorami. Nie liczyłem na odpisywanie, ufałem tylko sobie i swojej głowie, i jeszcze pióru kulkowemu. Spodziewałem się jednak, że ktoś może coś podpowiedzieć. Ktokolwiek, ale musi dopomóc. A może — tylko ja sam?

Na wolnym, stojącym naprzeciw krześle usiadła dziewczyna.

Któż zechce dopomóc? Rządzi tu prawo, że z trzech zwycięża jeden, wszyscy nie mogą być przyjęci, wszyscy nie mogą otrzymać piątki.

Siedząca naprzeciw dziewczyna poprawiała swoje jasne włosy. Miała na sobie spódnicę za kolana i liliową bluzkę. Była wstydliva, bała się poruszyć, ręce wprost jej przeszkadzały. Wolałbym, żeby nie było jej wśród tych, którzy będą walczyć o miejsce na uczelni.

— Kto pójdzie pierwszy? — usłyszałem tuż blisko, ale nie zwróciłem uwagi na ten głos.

Wydawało mi się, że powiew wiatru mógłby ją unieść, taka krucha była ta dziewczyna.

... Idąc na pierwsze zajęcia okropnie się bałem. Więcej niż przed egzaminem. Bałem się wszystkiego, co było dokoła: olbrzymich okien i chłopców, co palili pa-

pierosy na korytarzach, bałem się samego siebie. Zda-  
wało mi się, że zapomniałem pióra. A może zeszytu?

W sali przez do połowy przesłonięte storami okna  
wdzierały się przyćmione promienie słoneczne. Ławki  
wznosiły się amfiteatralnie. Ciemny stół, duży i prostoką-  
tny, czarna katedra. Wydawało mi się przez chwilę,  
że znalazłem się w sali, w której unoszą się prawa i wa-  
żą się losy ludzi.

W ostatnim rzędzie zobaczyłem jasne włosy i liliową  
bluzkę...

Dziwne to było, że na tych pierwszych zajęciach wy-  
kładowca przypominał raz po raz, iż jesteśmy dorosły-  
mi ludźmi, a wyższa uczelnia — to nie szkoła. Wiedzie-  
liśmy to sami. Ale jakieś to dziwne, by czyż staliśmy  
się dorośli w tej właśnie chwili, kiedy nazwano nas  
studentami? Czyż mogło to tak od razu na nas wpłynąć?  
W tym sęk, że dorośli byliśmy już trochę wcześniej,  
jeszcze w szkole. Utało się jednak, iż szkoła jest dla  
dzieci, a wyższa uczelnia dla dorosłych. I przypomina-  
no nam o tym. Podobnie jak w szkole pamiętano tylko  
to jedno, że jesteśmy dziećmi, tutaj zupełnie zapomnia-  
no w jednej chwili, że jeszcze odrobinę jesteśmy mimo  
wszystko dziećmi. Półdorosłymi dziećmi... Bo jak mogła  
się dokonać taka gwałtowna przemiana w ciągu dwóch  
miesięcy?"

Bardzo bym chciała wiedzieć, czy te jego refleksje  
jakoś się wiążą z ich rozmową. A na tej dziewczynie,  
co siedzi teraz w fotelu podwinąwszy nogi, nigdy nie  
widziałam liliowej bluzki. Może to inna dziewczyna.

W pokoju wprost brakło powietrza, bo tyle wypalili  
papierosów, więc Serhij otworzył okno. Wraz z wilgot-  
nym chłodem wdarł się do pokoju zapach mokrych

liści, kory drzewnej i deszczu, który szemrał gdzieś tam w dole, jakby ktoś przez cały czas szurał dużymi stopami po ziemi i nie mógł ani rusz zrobić kroku. Albo sepleniąc mamrotał wciąż te same słowa. Jeden tylko dźwięczny odgłos wplatał się w to szemranie — obijały się o gzyms krople deszczu i wprost podskakiwały do góry.

— Nie zimno ci, Walu? — zwrócił się Serhij do dziewczyny, która siedziała najbliżej okna wtulona w fotel. Drobna jak dziecko podwinęła nogi, było tak przytulnie w tym fotelu, przez cały prawie czas milczała i tylko jej baczne spojrzenie dowodziło, że słucha rozmowy chłopców uważnie i z ciekawością.

— Nie. — potrząsnęła głową — nie jest mi zimno.

Chłopcy znali się dobrze, byli kolegami jeszcze ze szkoły, a dziewczynę poznał Serhij w instytucie; początkowo nawet się oboje nie dostrzegali, ale pewnego razu Serhij przyniósł jakąś książkę i zamiast notować wykład, jak przystało pilnemu studentowi, w dodatku pierwszego roku, zaczął czytać. Dziewczyna siedziała za nim i zapytała: „To twoja książka? Dasz mi ją potem?” Obiecał i dał jej książkę, i wtedy właśnie okazało się, że mają wspólne zainteresowania literackie i poza literaturą mają też o czym mówić. Dziewczyna była samodzielna, trochę zuchwała, wiedziała, co jest warta, ale z Serhijem jakoś się zbliżyła. Chłopiec czuł, że do tychczas bacznie mu się przygląda, jakby się spodziewała po nim czegoś takiego, co się jej nie spodoba, i boi się jednocześnie, że będzie tak rzeczywiście.

Serhij wymieniał czasem kasetę w magnetofonie, kawy nie pili już od dawna, bo ostygła, tylko Andrij umoczył w filiżance kostkę cukru i chrupał ją jak mały chłopczyk. A duży był, właśnie duży — wysoki, szeroki w barach, z dużą rozwidzoną głową, dziewczyna wyglądała przy nim jak pisklę, a drugi chłopak, Borys,

wydawał się jeszcze szczuplejszy i delikatniejszy niż był w rzeczywistości.

— Co do mnie, to miałem tej zimy tylko jeden tydzień ze śniegiem — powiedział Serhij. — I wiecie, przyszedł wtedy do mnie Genek i powiada: chodźmy, pojeźdźmy na sankach?

— Zdziecinnieliście — roześmiał się Borys. — Wyobrażam sobie Genka na sankach z jego profesorskim wyglądem i w okularach. Pewnie wtedy też rozmyślał o całkach.

— Nie, rozmawialiśmy o dziewczynach — odpowiedział Serhij. — Powiedział, że wszystkie są jednakowe, a ja mówiłem, że różne.

— Bardzo słuszna myśl, trzeba to opatentować!

— No, wspaniałe z was chłopaki! Pogadaliście o pogodzie, potem o dziewczynach, teraz jeszcze kilka słów o nowych filmach i przekonam się o waszej intelektualnej tępotcie — westchnęła dziewczyna i ugryzła kanapkę.

— Bo co, chcesz, żebyśmy znowu o tym...

— Chcę. Chcę wiedzieć, co z nim teraz będzie, jak będzie dalej żyć ten mały, i chcę wiedzieć, dlaczego to zrobił. Mam brata, taki z niego dzieciuch, wiecie, są chłopcy, o których można od razu powiedzieć, że chłop z nich wyrośnie, a ten — ani chłopczyk, ani dziewczynka. Więc go zachęciłam, żeby się czymś zajął, uprawia teraz sport, na razie bez zainteresowania, ale bodaj zabija czas... Otóż myślę, że ten chłopak nie wiedział, co z sobą robić, szukał jakiegoś zajęcia.

— I wreszcie znalazł — powiedział Andrij. — Zuch chłopak, oby tylko tak dalej, bo nikt go za rękę nie złapał.

— No a co, gdyby złapano? Bo Halkę Radczenko łapano — i co z tego? Alboż nie biegali do niej chłopaki

nawet w dziewiątej klasie, sami wiecie, jak się to skończyło — Borys przypomniał sobie nagle, że jest z nimi dziewczyna, ale mimo to dokończył, jak zamierzał: — Siedzi teraz i kołysze synka...

— W dodatku jesteście jeszcze plotkarzami, chłopaki — znowu zakonkludowała Wala — co to was obchodzi, niech kołysze, może to jej powołanie, więc dobrze, że wypełniła swój obowiązek...

— Myślę, że wypełniła go trochę za wcześniej — westchnął Serhij — ma dopiero siedemnaście lat, myślę, że mogła poczekać...

Chłopcy byli w dziewiątej klasie, kiedy wydarzyła się ta historia z Halą Radczenko. Nie można było wtedy skwitować tego milczeniem i rozmawiać też nie wypadało, chodzili speszeni, nie śmieli patrzeć sobie w oczy, a nauczyciele zupełnie nie wiedzieli, jak się zachowywać w tej sytuacji w starszych klasach. Udawać, że nic się nie stało? Milczeć czy porozmawiać ze wszystkimi, zwołać zebranie, prawić morały? Ujawniło się nagle coś, o czym obawiano się mówić, ujawniła się ich naiwna dorosłość, ich lękliwe jeszcze usiłowanie, by określić swój stosunek do faktu, który się wydarzył; nauczyciele zaś musieli znaleźć sposób, żeby kogoś z nich uratować przed cynizmem, kogoś — przed ewentualnym powtórzeniem błędu, kogoś przed stanowczym pogardzeniem dziewczyną, która uparcie dowodziła, że to wszystko jest jej osobistą sprawą, w czym było trochę słuszności, ale więcej załamania się, błędnego rozumowania i wstydu. A trzeba było tę hańbę ukryć, chcieli tego nie tylko rodzice, lecz również wielu nauczycieli, sakramentalne „roztrąbiono na całe miasto” rozbrzmiewało nawet nie wymawiane na głos, i w tej sytuacji właśnie powiedziano wreszcie dziesięcioklasistom, że nie są już właściwie dziećmi, ale niech się nie uważają za zupełnie dorosłych, którzy mają

prawo wyłamywać się spod opieki. Bo — widzicie, co się dzieje w takich wypadkach...

— Zostawcie już w spokoju tę Halkę — poprosił kolegów Borys — jakbyśmy już nie mieli co wspominać i wszystko się na tym skończyło w naszej szkole!

W ostatnich dniach tak bardzo chcieli się już wyrwać ze szkoły, tak im już obrzydły dzienniczki, podręczniki, przypominanie o maturze, tak im dokuczyły lekcje i przerwy, znudziły się szkolne korytarze i tablice szkolne, a upłynęło zaledwie kilka miesięcy i już mieli chęć przypominać sobie wszystko, co wiązało się ze szkołą — a pamiętasz? — i mimo że jeszcze im nie żal było dzieciństwa, bo niezbyt się od niego oddalili, jakaś tam odrobina smutku jątrzyła dusze: minęło, skończyło się... Z trójki tej tylko Serhij dostał się na uczelnię, Borys poszedł od razu do fabryki, a Andrij nie zdał egzaminów do instytutu medycznego i pracował teraz jako sanitariusz w pogotowiu.

Z „dużym” pokojem Serhija wszyscy oswoili się już dawno, czuli się tu jak w przytulnym zakątku, nikt im nie dokuczał, nikt nie próbował kontrolować i przyglądać się — tak się jakoś złożyło, że uwierzono im i nie zawiedli tego zaufania. Co prawda, jeszcze w dziewiątej klasie pojawiła się raz niepotrzebnie butelka, ale Serhijowi obrzydł cały świat po tej butelce, a kiedy pokój poruszył się nagle i podłoga stanęła jakby sztorcem, pokiwał Serhij zamroczoną głową i pomyślał: a czy nie przewróciła się ulica, kiedy chłopcy szli do domu?

Była rozmowa z matką, która tłumaczyła mu, jaki to wstyd, że to od nich, z ich domu chłopcy wracali do siebie po przewróconej chodnikiem do góry ulicy i że zapytano ich: — a gdzież to było, drodzy synaczkowie?...

Na ulicy ktoś grał na gitarze — wieczorem zbierała się tam zawsze gromada chłopców i dziewcząt, siedzieli na niskim murku ze zwieszonymi nogami, ktoś grał



na gitarze, a inni bądź rozmawiali, bądź podśpiewywali.

— Hm, jak uważacie, chłopcy, dlaczego gitara jest taka popularna? — Serhij przypomniał sobie, że słyszał, jak rozmawiali o gitarze dwaj aktorzy — sprzeczczałi się na temat, dlaczego instrument ten jest jakby godłem, nieodłącznym rysem dzisiejszej młodzieży, bo przecież instrument to stary jak świat i jak miłość! — Wiecie, słyszałem, jak się spierano — Serhij przymknął okno, ale muzyka mimo to dolatywała z dołu, co było właściwie przyjemne, jakby grano tam dla nich, jakby ktoś tam chciał z nimi porozmawiać i wybrał w tym celu trochę smutną, ale pogodną zarazem piosenkę — spreczczano się, dlaczego ten instrument stał się nagle jakby godłem naszego pokolenia. Że niby gitara zdobyła to prawo, bo podczas rewolucji symbolem młodości i odwagi była harmonia, tak samo podczas wojny — nie rozłączano się z nią, była jakby bronią, a gitarę uważano za instrument mieszczuchów, jakiś taki nepmanowski...

— Ależ wszędzie wygląda to inaczej — powiedziała Wala — w Hiszpanii ludzie nie wyobrażają sobie życia bez gitary, i w Ameryce Południowej — na przykład Garcia Lorca...

Cichutko, nie deklamując, lecz jakby samej sobie powtarzając, dziewczyna wyrecytowała kilka wersów Lorki:

Po śmierci mojej  
gitarę mą połóżcie  
koło mnie w grobie...

Rytm wiersza zwrócił uwagę chłopaków, Wala umilkła jednak, nie recytowała dalej, a ostatnie słowo wciąż dźwięczało w pokoju i jakoś już trudno było rozmawiać dalej, jakby trzeba było przestąpić coś bardzo delikatnego i niedotykalnego. Może te wersy rzeczywiście po-

magaly inaczej zrozumieć gitarę, może dlatego ludzie zabierają ją ze sobą w drogę?

Borys uśmiechnął się:

— Cóż, liryczne ciągotki... I Hiszpania, i Lorca, a co do mnie, chłopcy, wytłumaczę to popularnie, po naszymu: kupić gitarę można, nauczyć się na niej grać jest, jak się zdaje, bardzo łatwo, wystarczy mieć trochę słuchu i proszę bardzo, przebieraj palcami po strunach, nuć piosenkę i zabawiaj dziewczyny serenadami... Bywają takie przeżute, wytarte zwroty, których zwykle używamy i nie możemy się bez nich obejść — tak samo może się stać z gitarą. Spospolituje się, bo tyle w niej taniej romantyczności, ale żadnej prawdy artystycznej. Myślę, że więcej ma jej harmonia...

— Może rzeczywiście każdy naród powinien mieć własny instrument, w którym wypowiada się jego dusza, jego uczucia — powiedział Serhij. — Bo moda modą, ale jeżeli komuś gitara okazała się potrzebna, musi w tym tkwić jakaś przyczyna... A czy możecie sobie wyobrazić bez gitary chłopaka w dżinsach — gdziekolwiek? I tam — Serhij wskazał na okno — i na budowie, i na wycieczce...

— No, gadacie jak najęci — machnął ręką Andrij. — Też mi problem! Gitara — to gitara, harmonia — to harmonia, co mi za różnica, byle grajek był dobry, to będzie muzyka. A w ogóle ci wasi gitarzyści chodzą sobie na zarobek, znałem jednego...

— A ja dwóch — roześmiał się Serhij. — Chcecie jeszcze kawy?

Kawy nikt już nie chciał i Serhij dokładający wciąż starań, by się okazać gościnnym gospodarzem, przypomniał sobie nagle — są przecież cukierki, przede wszystkim dla damy, proszę, señorito, zamiast piosenki i gitary, wy też, szanowni młodzi señorzy, częstujcie się cukierkami, wiem, że lubicie słodczy do tej pory,

mimo że macie wąsy, takie delikatne i sympatyczne, których nie golicie, jakkolwiek golicie się już przeszło rok, prawda, szanowni i czcigodni dżentelmeni, seño-ry, chłopaki?

— Daj nam spokój z cukierkami — odmówił Borys — właśnie, że chcę pogadać o gitarze... Wiecie, kiedy Dmytrenko chodził z ormowcami na dyżur, najgorzej nie lubił spotkań z chłopaczkami, co spacerowali z gitarą. Kilka razy natknął się na takie kompanie — najgorszym rzeczem towarzyszyła tam gitara. Ktoś na niej wygrywa, odwraca uwagę, a pozostali dobierają się do cudzych kieszeni...

Sasza Dmytrenko był ich szkolnym kolegą, już w ósmej klasie chodził na dyżury ze starszymi ormowcami. Serhij sprzeczał się wtedy z matką, która twierdziła, że mały chłopiec nie powinien pełnić takiej niełatwej funkcji — przecież niekiedy dochodzi do starć nie tylko z nieletnimi, co wałęsają się nocą po ulicach, palą papierosy i sypią wyzwiskami, ormowcy mają również do czynienia z dorosłymi — mało, że to niebezpieczne, o wiele gorzej — w dziecku zaczyna się kształtować cyniczny stosunek do życia, znika szacunek dla starszych, zaufanie do nich, kiedy napatrzy się taki chłopczyzna na zło i brudy.

— Śmieszna jesteś, mamó — Serhij jak dorosły pogłaskał ją po włosach, spojrzał matce w oczy: mówiła, co myślała, widać było, że nigdy w życiu nie pozwoliła-by Serhijowi na to, na co odważyła się pozwolić synowi matka Saszy. — Śmieszna jesteś, mamó, czyż i tak nie wiemy, co bywa w życiu? Ojciec Saszy pozwala sobie w domu na takie rzeczy, że chłopcu nic więcej nie trzeba, żeby wszystko na świecie wiedzieć i rozumieć. Może właśnie dlatego chodzi z ormowcami... A najważniejsze... zdecydował się wtedy, kiedy zobaczył raz w budce telefonicznej małego chłopczyka, który

starał się dosięgnąć tarczy i nie mógł, więc poprosił Saszę: proszę pana, niech pan wykręci milicję, bo tata wrócił pijany, bije mamę... a wiesz, mamó, był wtedy mróz, mały stał w samych tylko skarpetkach i koszuli, tyle że miał uszatą czapkę na głowie, cały był zapłakany, palce poplamione atramentem... pewnie, że na taki widok każdemu wszystko poprzewraca się w środku...

Serhij nie wiedział, czy przekonał matkę o swojej słuszności; za każdym razem, kiedy Sasza szedł na dyżur, klasa o tym wiedziała, nikt go jednak nie pytał, jak było na dyżurze i Sasza sam nie opowiadał żadnych szczegółów; pamiętając, co mu mama powiedziała o cynizmie, Serhij mimo woli szukał w koledze jakichś oznak świadczących, że chłopiec stracił szacunek dla starszych czy rówieśników, zastanawiał się, czy nie jest może zgorzkniały i zrezygnowany, ale — nic podobnego: Sasza miał takie dobre, takie ciepłe spojrzenie i nawet do koleżanek z drugiego oddziału swojej klasy zwracał się per pani, mimo że dziewczęta śmiały się z tego.

— Dawno nie widzieliśmy Saszy — odezwał się Serhij — jakoś nie przychodzi ten... lepiej nie powiem, kto taki...

— Powiedz, Serhijku — roześmiała się Wala — posłuchamy!

— W każdym razie mogę powiedzieć jedno — na oddziale pourazowym Aleksandra Dmytrenki na razie nie ma, więc wszystko z nim w porządku, a świat przestępczy drży i boi się naszego bohatera...

— Nie błaznuj, ty konowale, zupełnie ci już serce stwardniało w tym twoim pogotowiu — rozgniewał się Borys.

— Taki już zawód, chłopaki. Gdyby lekarze nie byli

twardzi duszą i sercem, gdyby nie wykazywali duchowej znieczulicy, nie mogliby znieść widoku krwi i słu-chać skrzypienia piłowanych kości.

— Brr! Walu, że też taka panienka jak ty potrafi wymawiać swoimi różanymi ustami takie słowa! Ależ lekarze do końca życia nie znoszą widoku krwi, boją się operować i męczą się stawiając diagnozy...

— No, jeżeli są tacy nie douczeni jak nasz eskulap, muszą się męczyć!

— Chłopcy, nie ostrzcie swego dowcipu na medycynie i medykach. Napijcie się lepiej wody, jak mówi stare porzekadło...

— Och, za nic nie chciałbym się dostać w twoje delikatne rączki! — roześmiał się Borys kładąc swoją wąską, szczupłą rękę na szerokiej dłoni kolegi.

— Ręka jak u dziewczynki — ścisnął palce Borysa Andrij — nie wiecie, chłopcy, jak mu się udaje pracować w fabryce?

— Po pierwsze, przyjmijcie do wiadomości, że od wczoraj na cały tydzień skierowano mnie do laboratorium doświadczalnego, badamy wpływ... At, co tu wam tłumaczyć, ciemna maso, nic nie rozumiecie, co się dzieje w zakładach, na przysposobieniu fabrycznym pod kierownictwem Jędzy szyliście, biedacy, razem z dziewczynkami majteczki i koszulki dla lalek, skąd się możecie znać na spawaniu i nowoczesnych autobusach... A co do rączki...

Zręcznym ruchem Borys wyrwał swoją rękę i lekko, jak się wydawało, ujął za łokieć Andrija, który aż się skrzywił z bólu.

— No, gratuluje, uprawiasz karate, tylko patrzeć, jak zostaniesz mistrzem świata! Poczęstowałbyś tak swego brygadziście!

Od pierwszych dni pracy Borys skarżył się na bry-

gadziście, który jakoś nie miał do chłopca zaufania — nowy spawacz wydawał się taki mizerny. W końcu stosunki jakoś się ułożyły i Borys już się nie skarżył na szefa, ale na razie nie chwalił go również, bo kto wie, co będzie dalej!

Rozcierając sobie łokieć Andrij przyglądał się swoim rękom — cóż, nie takie znowu wiejskie, niechaj się chłopcy nie śmieją, bardzo mu się teraz przydaje siła, jaką ma w rękach, pielęgniarz powinien mieć takie dłonie. Rzeczywiście, strzykawkę ledwie w nich widać, koledzy się śmieją, że dla Andrija trzeba zamówić specjalną w firmie „Gigant” i fartuch — też jak dla olbrzyma. Andrij nic sobie nie robi z tych kpinek, dobrze, że ma takie ręce, bo kiedy trzeba było na przykład podnieść i położyć na noszach dziewczynkę, którą zranił kamieniem ten dziwaczny, zbuntowany chłopak, niezdolny nawet słowa powiedzieć, kim jest i dlaczego to zrobił, kiedy trzeba było położyć ją na noszach, Andrij zrobił to lekko, zręcznie i delikatnie, bo długie ręce i szerokie dłonie wcale jeszcze nie oznaczają, że człowiekowi brak delikatności i tkliwości. Pewnie, Andrij nie myślał w ten sposób o tym wszystkim, nie zastanawiał się, czy ma delikatne ręce, ale kiedy przypomniał sobie błękitną sukienkę i krew na białym kołnierzyku, wydało mu się, że widzi w tej chwili tę dziewczynkę, że znowu ją podnosi i kładzie na noszach, boi się, by nie przyczynić jej bólu, byle nie przyczynić jej bólu.

— Absolutnie dzika historia... Prawie człowieka nie znać i cisnąć mu w plecy kamień. W głowie się nie mieści — rozumował już na głos Andrij — bo było przecież widać, że ten chłopak — to nie chuligan...

— No, ale chyba nie wariat!

— Nie, chłopcy, wariatem nie jest, ale tak jakoś

miotął się niczym chomik w słoiku, obrzucał ludzi ślizgającym się spojrzeniem, a potem jakby się uspokoił, nic nie powiedział, pytał tylko, czy dziewczynka będzie żyć — i tyle...

— Pytam właśnie: co z nim będzie dalej, jak się to wszystko potoczy? Jak chłopak będzie żyć dalej? Chciałabym z nim porozmawiać, wypytałabym go o wszystko, bo jak przychodzili do brata koledzy, znałam wszystkie ich tajemnice, zwierzali mi się, jak bym była chłopcem...

— A ty powtarzałaś potem wszystko mamie i tacie, co?

— Głupstwa gadasz, Boria — nic nie powtarzałam, chciałam tylko przewidzieć, wykalkulować, jacy z nich ludzie wyrosną...

— Cybernetyka służąca pedagogice!

— Wolne żarty, chłopcy. No, żartujcie sobie, a ja chyba pójdę do szpitala, dowiem się, jak się czuje ta mała — ma małą krzepliwość krwi, stąd cała bieda — Andrij wymienił łacińską nazwę choroby, ale chłopcy nie zwrócili uwagi na ten dowód dużego zaawansowania Andrija na polu wiedzy medycznej, udzielali mu tylko rad:

— Lepiej zadzwoń, po co chodzić do szpitala późną nocą, byłeś już dzisiaj, pytałeś, ile właściwie można. Już jej lepiej, nie martw się.

Andrij zmarszczył się jednak i jego duża twarz wydała się nagle taka dziecinna:

— Zadzwoń! Zastanów się tylko, słyhać będzie ten dzwonek we wszystkich salach... Pójdę mimo wszystko...

Wciąż widział tę niebieską sukienkę i cieniutkie brwi, uniesione do góry, jakby dziewczynka czemuś się dziwiła.

Pewnie, nie słyszałaś ani słowa z ich rozmowy. Mogli rozmawiać o czymś zupełnie innym, ale i ten temat był możliwy. Możesz być pewna, że nieraz będzie ich dręczyło sumienie z powodu wszystkiego, co popełnili i czego nie popełnili, gdybyś nawet życzyła sobie jak najbardziej, żeby byli lepsi od ciebie (w końcu, gdyby rodzice nie byli przekonani, że ich dzieci muszą być od nich lepsze, czyż warto by było, żeby ludzkość istniała przez taki długi już czas?). Nie ma sensu zapewniać, że są fajni, cudowni, dobrzy, mili, już nie jedno było w ich życiu i będzie, ale tego wieczoru mogli rozmawiać właśnie i o tym. Widzisz, istnieje mimo wszystko ciągłość stosunków międzyludzkich, czynów i odpowiedzialności za nie, istnieje ten związek i istnieć musi. Przypadek? Może przypadek, ale zaliczony też na korzyść sumienia, które cię dręczy.

Posiedź jeszcze sekundę, pomyśl, już odejdą, twój syn postanowił odprowadzić kolegów, a po drodze (właściwie nie bardzo po drodze) wstąpią wszyscy razem do szpitala, żeby się dowiedzieć, jak się czuje Jula. Powiedzą im tam, że oszaleli, dokuczają ludziom, przeszkadzają, nie dają pracować.

— On jest z pogotowia — wskaże na Andrija Borys.

— Wielkie rzeczy...

— To ja ją tu przywiozłem karetką pogotowia...

— Gadałbyś od razu — jeszcze bardziej rozgniewa się dyżurny. — Zaraz... Poczekaj... A w ogóle, jeżeli jesteś z pogotowia, powinienes wiedzieć, że nocą nie udzielamy informacji o stanie zdrowia!

— Alboż nocą ludzie są inni niż w dzień?

— Przepisy są inne — odpowie dyżurny.

Alè prawdę mówiąc przepisy są zawsze takie same. Posiedź chwilkę, zaraz do ciebie wstąpią, żeby się



pożegnać. Mogłabyś im coś niecoś powiedzieć o tym wypadku i o tym chłopcu, ale weszłaś do „dużego” pokoju tylko po książkę. Szkoda. Zdarzają się takie chwile, kiedy dzieci nie mają nic przeciwko temu, żeby rodzice byli obecni. Tylko, jak odgadnąć, w jakich chwilach?

Posiedź, pomyśl i nie odkładaj swojej wizyty u matki Jurka Bereziuka — idź tam jutro zaraz po pracy, musicie z sobą porozmawiać jeszcze przed spotkaniem w innych okolicznościach, kiedy jej syn będzie odpowiadać za swoje nowe wykroczenie.

### 13

Kiedy byłam małą, czytałam bajkę o podstępnym bracie Marcu i łatwowiernym Kwietniu, który przyłynął do Marca czółnem, by go odwiedzić, i pokonał wszystkie biedy i przeszkody na swojej drodze. Od tego czasu wydaje mi się zawsze, że ciepła, zielona wiosna przybywa razem z Kwietniem w dużym i mocnym czólnie, a Kwiecień jest z całą pewnością bardzo piękny, trochę naiwny i dobry, rzeka zaś szeroka i woda w niej niewątpliwie spokojna, czysta i przezroczysta do samego dna, wciąż widzę ten obraz i mam chęć napisać, jak Kwiecień płynie czólnem, a dziewczęta idą na jego spotkanie z naręczami gałązek usianych białym i różowym kwieciem, i śpiewają:

Błogosław nam, mateńko,  
Zawołamy wiosenkę.  
Witajże, wiosno miła,  
Już odchodzi zła zima!  
Zima wozem po lodzie,  
Wiosna czólnem po wodzie...

Bardzo chciałam o tym napisać i także o matce, która wychodzi, żeby wszystkich błogosławić, każdy chło-

piec jest dla niej synem, każda dziewczyna — córką, to już nie matka jednego dziecka, lecz symbol macierzyństwa, dobroci i serdecznego błogosławieństwa.

Jest taki poeta i rzeźbiarz Wiktor Honczarow. Znalazłam w jego „tonacjach” takie oto wersy:

Jeżeli chcę  
surowca znaleźć bryłę,  
by w rzeźbie myśl wyrazić,  
że znajdę — wiem  
nie bryłę pożądaną,  
lecz myśl wypiastowaną.

Pewnie tak samo było ze mną. Ale niech już zostanie „Kwiecień w czólnie”. Bodaj tytuł.

## KILIM W TRZY KWIATY TKANY

Wraz ze zmianą krajobrazu, otaczających twarzy i nastroju zrodziło się takie radosne i zbawcze uspokojenie, że wprost nie sposób było zakłócić je gwałtownym ruchem, zbyt głośnym śmiechem czy nawet słowem. Ogołocoła z dekoracyjnych efektów łagodna przyroda pozwalała podejść do siebie tak blisko, iż zaczynałam powoli rozumieć mowę otaczającego mnie świata i jakbym nawet słyszała, co sobie myślą stare wiatraki. Wiatraki stały tam dwa... trzy... cztery... może zresztą więcej, ale widać było nie wszystkie, gdyż cofnęły się gdzieś daleko, za wzgórza, a za wsią pozostało ich tylko kilka, przypominały wędrowców zastanawiających się, czy nie poprosić o nocleg w tej chacie na skraju, nie wypić tam szklanki smacznego wina domowej roboty i nie przegryźć go owczym serem. Można je było porównać również z wartownikami, których tu postawiono, kto wie, jak dawno i kto wie, czego mieli tu pilnować, a potem zapomniano ich zluźować, więc stoją wykonując swój odwieczny obowiązek i będą tak stać wiecznie...

I można by jeszcze porównać je do znaków granicznych, oddzielających wieś od reszty świata — dalej zaczynała się zorana rola, niegłębokie rozpadliny i jary, na dnie których rosły wierzby, a cienkie pasemka wierzbowych gałęzi poruszały się bezustannie na je-

siennym wietrze. Rudawe były te pasemka i przezroczyste, a dzięki tej przezroczystości jeszcze czarniejsza wydawała się tłusta i szczodra ziemia, gotowa nawet kamień ożywić na swoim łonie.

Im wyżej wspanało się na niebie słońce, tym życzliwsza była ziemia, gorąca, wprost parująca od tego jesiennego przymrozka i zdawało się, że wiatraki, wierzbki i cała wieś rozjaśnione lekką poświatą stają się same lekkie i przejrzyste.

Wieś była trochę porozrzucana, jakby każdy, zakładając swoją siedzibę, nie myślał początkowo o sąsiedztwie, a potem już między chatami rozrosły się sady i połączyły je z sobą w jedną całość.

Jeden z takich sadów opadał łagodnym zboczem w stronę wąskiej rzeczki czy strumienia z mętną, jak to jesienią, wodą, po której pływały czółenka opadłych zeschniętych liści i cicho, mile pluskały niewielkie fale. Sad już się rozstał z tajemniczą letnią zielenią, porzuciła go nawet jesienna różnobarwność; drzewa stały niemal zupełnie огоłocone, tylko tu i ówdzie kępkami lub w pojedynkę dygotały na gałęziach liście, a wiatr szarpał nimi i obrywał, jakby poirytowany, że tak niepotrzebnie i uparcie opierają się czasowi.

Za to ziemia była zasłana gęstym i barwnym kościercem, jeszcze na niej leżały nie zebrane dotąd zielonkawe jabłka, powleczone białawym szronem, a pod nogami lekko i jakby gdzieś z daleka potrzaskiwały liście zwarzone porannym mrozem, na który czatowało słońce wtykając między pnie jabłoni, grusz i drzew brzoskwiniowych błękitnawe promienie. Najwyraźniejszą plamką w tym pogrążonym w przedzimowym spokoju sadzie była ruchliwa, żółta bryłka — sikorka.

Dwa dzięcioły stukwały w korę, szybko kręcąc to w jedną, to w drugą stronę główkami, nad strumieniem

trzepotały białymi skrzydłami kaczki, zalatywało tym najcudowniejszym na świecie zapachem, jakim przesycony jest dym palących się późną jesienią suchych liści, a na cienkiej gałęzi młodej gruszy, ciągnąc ją w dół swoim ciężarem, wisiała ostatnia gruszka, więc ze skruchą, jakbym popełniała świętokradztwo, zerwałam ją z drzewa i nadgryzłam. Poczułam zimno i cierpki smak, gruszka była trochę zmarznięta i taka przy tym pachnąca i słodka, jakiej nigdy dotąd nie miałam w ustach.

Zjeżony i smutny stał w sadzie zgaszony i nie osłonięty jeszcze na zimę krzak róży, białe i brunatnoczłyste chryzantemy, które chyba ani trochę nie bały się mrozu, jaśniały nad szarawozielonym parkanem z desek, a na ławce koło parkanu stały i leżały przewrócone dnem do góry gliniane dzbanki — smukłością swych kształtów i ciepłą barwą brązu dorównywały te dzbanki świeżej piękności chryzantem. Chętnie bym zerwała kilka tych kwiatów na wysokich łożdach, wstawiła do dzbanki i wniosła do izby trochę tego niepowtarzalnego jesiennego piękna...

Od kilku godzin obserwowałam ziemię z daleka, z bliska i tuż-tuż. Patrzyłam na nią z okrągłego jak ptasie oko okna samolotu, ziemia przechylała się, huśtała i znowu prostowała, barwy na niej kontrastowo i ostro oddziaływały się od siebie i znowu zlewały w jeden brązowawozielony strumień, potem migotała ta ziemia przede mną i koło mnie, koło nabitego ludźmi autobusu, po czym znowu pozwalała przyjrzeć się sobie bliźniutecznie, aż pojedyncze szczegóły stały się dostępne dla oka, można się było położyć na wygniecionej jesienniej trawie i przyjrzeć się ziemi tak oto leżąc, kiedy wydaje się, że ziemia ta szybko rusza prosto na ciebie, na twój upatrzony, nad podziw ciepły i ogrzany resztkami słonecznych promieni skrawek

przestrzeni, rusza się wraz ze wszystkimi swoimi miastami i osadami, zgasłymi i rozkwitającymi krzewami róż, starymi wiatrakami, pociągami, drzewami, ze wszystkimi istniejącymi na niej wspomnieniami i nadziejami, ze swoim uparcie powtarzanym i nieustępliwym pytaniem, domagającym się wciąż odpowiedzi: a po co właściwie jesteś, po co depcesz moje ciało, po co żyjesz dzisiaj i wkraczasz w jutro?

Ktoś o kimś powiedział: został poetą, bo brakło mu fantazji, by zostać matematykiem. Więc może tylko dlatego, że brak mi niezbędnej dozy fantazji, zabrałam się do literatury i teraz tak się na śmierć zadrezczam usiłując zrozumieć: kto, kiedy i jak upoważnił także mnie do tego, kto dał mi prawo tworzyć w mojej skąpej wyobraźni jakiś własny świat lub silić się na zobrazowanie tego, który istnieje? Kto dał mi prawo mówić i wypowiadać się w czyimś imieniu, dawać wyraz cudzej radości i smucić się z powodu cudzego zmartwienia, odgadywać czyjeś myśli i odczucia, przypisywać komuś własne zamiary, jak to zrozumieć, gdzie jestem ja, a gdzie świat, gdzie ja się kończę, a zaczyna to, co wymyśliłam czy stworzyłam, gdzie styka się ta fikcja z rzeczywistym światem?

Dlatego tak śmiertelnie zazdroszczę tym, którym starczyło fantazji, by zostać matematykami, zając się czymś konkretnym, czego rezultaty są namacalne i realne, i nie znajduję już pocieszenia w słowach Cyrana de Bergerac, który z humorem zapewnia, że dwakroć piękniejsze jest to, co nie daje jawnej korzyści. Bo niby cóż za pożytek z tej setki białych kartek zapisanych słowami i jednej czy dwóch myśli, których może nikt nie zauważył w labiryncie wyrażen i zwrotów?...

Zapadł wieczór i niebo pociemniało, zrobiło się czarne jak ziemia, ziemia zaś cofnęła się w głąb niby dno

studni i ktoś powiedział: jak hojnie usiane jest niebo gwiazdami, a niestrudzeni grajkowie na rozległym placu zmęczeni się nagle i przestali grać zwalniając wreszcie tancerzy; pękło koło, od którego oderwali się ci, co wciąż jeszcze nie mogli się zatrzymać, co wciąż jeszcze będąc w mocy rytmu musieli poruszać się nadal w szaleńczym tempie, aż muzycy ruszyli wraz ze swoimi instrumentami po ciemnej, niemal niewidocznej drodze i przyświecały im na niej tylko odbłaski księżyca na miedzianych trąbach, ruszyli jeden za drugim i jakby robiąc wielką łaskę znów wskrzesili i powiedli za sobą melodię, ochryplą już i zmęczoną, powiedli tancerzy, młodych chłopaków, którzy splótszy ramiona sunęli w tanecznym korowodzie, a w tych samych refleksach miedzi i księżycowego światła przechylały się czarne cienie ich giętkich postaci, wysoko i lekko unosiły się nad ziemią długie, niestrudzone nogi, i ten ostatni, pożegnalny taniec parobczaków taki był żywiołowy i tak bardzo junacki, że dziewczęta musiały się cofnąć, ustąpić ze swoimi rozpalonymi twarzami, gorącymi ustami i rękami, musiały dać chłopcom swobodę i prawo tak oto tańczyć. Dzieci, dorosli i staruszkowie szli za korowodem pokrzykując i zachęcając chłopaków, wprost chłuszcząc ich tymi okrzykami po długich nogach i każąc im utrzymywać się w ciągłym ruchu i tempie.

W chacie rozpalony piec wydawał się czerwony i wprost płynął w gorącym powietrzu, rozgrzanym jeszcze bardziej od ludzkich oddechów, głosów i muzyki, co wciąż rozbrzmiewała i rozbrzmiewała, mimo że muzycy dawno odłożyli instrumenty, rozkoszując się zapachem świątecznego jadła, a palący, mocno pieprzny barszcz i nóżki w lodowato lśniącej galarecie zajmowały tu równie poczesne miejsce, jak wódka i upieczony w każdej chacie na święta wysoki

i pulchny biały chleb. Czarnooki chłopczyk cienkim głósikiem wyśpiewywał, zagłuszając wrzawę, jakąś dziecięcą piosenkę, w której trudno było rozróżnić słowa i melodię, i oto głosy dorosłych milkną nagle, dziecku wśród starszych wolno tak mało i tak wiele zarazem, przez chwilę ludzie będą słuchać chłopczyka — w chwili tej jednak w każdym obudzi się dobro, w każdym sercu posieje ta chwila pogodną odświeżoność, wywoła niejasne wspomnienie własnego dawnego dzieciństwa.

Stara kobieta wyjmuje ze skrzyni olbrzymi kilim, nazywany tu „skorcą”, żeby go pokazać ludziom. Ciężka jest ta „skorca” i czarna, czerń tak głęboka jak czerń ziemi, a na tej czerni — czerwone kwiaty, duże i płomienne jak wygasający żar, wśród czerwieni zaś — spokojny kolor zieleni, świeżego listowia, które czerpie życie z czarnej ziemi. Takie to wspaniałe i odświeżne widowisko dla oka, że aż przymykam powieki i wchłaniam piękno tego starodawnego kilimu, tego cuda — teraz dobrze rozumiem, że ludzie nie lękają się tu czerni, czerń nie jest dla nich bowiem oznaką smutku, lecz znakiem ziemi, na której mieszkają, dlatego tak śmiało malują na czarno frontowe ściany domów, pozostawiając drzwi dla błękitu i ściany boczne dla zieleni i pokrywając białą rzeźbione drewniane kratki na oknach, dlatego tak śmiało nioszą czerwień i zieleń na czarne tło „skorcy”. Niedgdyś ani myślano sprzedawać te kilimy — dawano je w ślubnym podarunku wychodzącym za mąż córkom, rozwieszano w święta na ścianach, bo najtrudniej utkać kilim w trzy kwiaty, z motywem rozkwitłej róży o płonących, czerwonych płatkach, powtarzającym się trzykrotnie na czarnym tle kilimu. W ciągu długich zimowych wieczorów, od jesieni do wiosny tkać trzeba taką „skorcę”. Później, w domu, próbo-



wałam odgadnąć etymologię tego ładnego słowa — rumuńskiego? mołdawskiego, włoskiego? W słowniku włoskim znalazłam hasło *scorza* — skórka, łupina na warzywach; a więc tylko homonim, wyraz tak samo brzmiący, cóż wobec tego znaczy to słowo?

Ktoś z krewniaków naszego przyjaciela, do którego rodzinnego domu przyjechaliśmy ze Lwowa całą gromadą, ktoś z jego krewniaków powiedział, ogarniając szeroko rozpostartymi rękami i czarnookiego chłopczyka z jego piosenkami, i pogawędki przy stole, i powszednie sprawy, powszednią pracę, o której nie zapomniano w święta, i junacki taniec wśród nocy, i cudowny kilim w trzy kwiaty tkany, i całą czarną ziemię — ktoś z wyrzutem powiedział, przypomniał: a przecież o tym jeszcze nie napisałeś. Adresowane były te słowa do mego kolegi, jakby wypowiadający je i cała wiejska gromada kiedyś dawno wyprawili chłopca w świat, żeby opowiadał światu o nich i przypominał, a ja pozazdrościłam teraz koledze, że tak do niego mówiono; uwrażliwiona już na ten ton wyrzutu słyszałam potem te same słowa i o tej samej intonacji od wielu innych ludzi na wsi, i tak bardzo pragnęłam, żeby ktoś zwrócił się do mnie z tym samym wyrzutem, żeby sprawił mi radość swoją wiarą, iż opowiadać można o wszystkim na świecie, jak można zaorać nawet jałową ziemię i zmusić ją, by obrodziła.

Więć i ludzie, co nas tak przyjmowali, czekali, zda się, od dawna i cieszyli się teraz, że wreszcie już przyjechaliśmy, że mogą nam pokazać, jak dobrze się do nas odnoszą, ludzie ci częstowali nas wódką, owczym serem i chlebem i pokazywali wspaniałe „skorce”, opowiadali o swoim życiu — wszystko to odnosiło się do mego kolegi, on powinien o tym pisać, ludzie w tej wsi spodziewają się po nim, że on napisze.

Skoro pisanie jest jednak także moim rzemiosłem,

czyż nie wolno mi tego wyrzutu wiejskich ludzi zapisać na własne konto i nie pytać, kto mi daje prawo mówić za kogoś, gdyż prawo to przysługuje mi może od chwili, kiedy zrozumiałam czyjeś pragnienie, by pozostać na świecie dłużej, niż pozwala na to ziemskie życie, albo kiedy udało mi się ujrzeć taki zachód słońca i ruch samochodu na jezdni, jakiego nikt dotąd nie widział.

Po co pytać, kto mi dał prawo zajmować się moim rzemiosłem — czyż pytała o to prawo kobieta, która zaczynała tkąć „skorce” na podarunek dla swojej córki?

Nie, wcale nie zamierzam zacieśniać przeznaczenia literatury czy w ogóle sztuki do roli czegoś, co może jedynie przedłużyć czas bytu ziemskiego i trwania człowieka, wydarzenia, idei, chwili zachodu słońca — nie, mówię jedynie, że mam nadzieję pozostawić coś z tego świata, który odsłonił się mnie i którego nie zdążył czy nie potrafił dostrzec ktoś inny.

Wiem, że ta szczęśliwa chwila spokojnej wiary, iż jestem potrzebna, minie, znowu wrócą wątpliwości, wahania i pytania, na jakie nie będzie odpowiedzi, ale jednocześnie wiem także, że muszę bodaj coś z tego, co ujrzałam i zrozumiałam, utrwalić, zatrzymać z pomocą słowa, gdyż innym materiałem nie władam i nie nauczę się kształtować go bodaj tak, jak umiem posługiwać się słowem.

Jeżeli „skorca” robiona przez długie wieczory na warsztacie tkackim we wsi, co się przytuliła tu, na czarnej, nizinnej ziemi bukowińskiej, między drogami wiodącymi w świat i starymi wiatrakami, jeżeli „skorca”, nad którą pracowano tak długo, pragnąc ujrzeć ją utkaną i podarować komuś młodemu na szczęście i dla ozdoby, jeżeli ta „skorca” zbutwieje, nie daj Boże, wcześniej, nim ktoś zdąży utkać nową, niechaj prze-

dłużone zostanie jej życie, miałam bowiem szczęście zobaczyć ją.

I stanęły przede mną niby zapomniane i nie uiszczony dług, niby wykopane z ziemi młode drzewka, które zamierzałam posadzić wówczas, gdy zaczęły opadać pożółkłe liście, i w końcu nie posadziłam, pozostawiłam, by schły i zamarzały przez całą zimę, skazując je tym samym na niepotrzebną i dziką zagładę, nie tylko te drzewka zresztą, ale również ów plon, jaki mogły wydać — stanęły przede mną wszystkie nie wypowiedziane słowa, wszystkie myśli, co mignęły jak błyskawica i obróciły się w popiół nie doczekawszy się od nikogo ani pochwały, ani sprzeciwu, wszystkie zbladłe barwy, wszystkie ciekawe rozmowy, wszystkie dni, porzucone i zapomniane jak zmięty strzep papieru, wszyscy ludzie, co zostawili mi coś z siebie, wszystkie wydarzenia, którym sążone było przeminąć bez śladu...

Nie spodziewam się, że to, co napiszę, będzie komuś pocieszeniem, nie żywię nadziei, że dokona w kimś przewrotu duchowego i każe mu postąpić tak czy inaczej, nie spodziewam się, że uratuje kogoś, będzie dla niego objawieniem, niechaj będzie jednak niewielkim ogniem, przy którym można ogrzać ręce. Tylko ogrzać zmarznięte dłonie.

Edith Piaf ponoć powiedziała, że poczuje się całkowicie osamotniona, kiedy nie będzie miała przyjaciela, do którego można zatelefonować po północy, a on nie wyrazi niezadowolenia, nie będzie zrzędzić, że wyrwano go ze snu, przeszkodzone w pracy, spożywaniu kolacji lub miłości. Chciałabym, żeby to, co napiszę, stało się bodaj dla kogoś jednego na świecie takim przyjacielem, któremu można o sobie przypomnieć o każdej porze dnia i nocy.

Stwierdzam z przerażeniem, że jestem trochę po-

dobna do tego człowieka, który wciąż się wybierał do matki swojej matki — staruszka była znachorką, znała zioła, co ratowały od wielu chorób wielu ludzi, umiała zamawiać ukąszenie żmii i leczyła umyślowo chorych — a był tamten człowiek lekarzem, kto wie, czy nie przydałyby mu się umiejętności jego babki — i wciąż zamierzał pojechać, i wciąż nie miał czasu i przyjechał dopiero na pogrzeb babki, kiedy było już za późno i nadaremnie — staruszka nikomu nie zdradziła swojej tajemnicy, bo mówiła, że mieszka w jej domu taki duszek, który nie pozwala powierzyć tajemnicy obcemu, można ją przekazać tylko komuś z rodziny — a tamten był z jej rodziny i wciąż nie miał czasu przyjechać...

Mogłam już dotychczas napisać o dziewczynce — i dlaczego właściwie nie napisałam? — o małej czteroletniej dziewczynce, która w czarnym przytłoczonym brzemieniu nieszczęścia, gorącym, okrutnym i głuchym zbiorowisku ewakuowanych, zmuszonych do śpiesznego wyjazdu, pamięta tylko o swojej ulubionej lalce, i mocno ściska ją pod pachą, starając się nie puścić przy tym matczynej ręki, jedyne oparcie w tym na pół oszalałym tłumie. Mając takie oparcie można nie obawiać się o nic, jedynie o ulubioną lalkę, na którą czyha stugłowa czy może tysiąc-, miliongłowa bestia. Bezlitośnie rozdarła na strzępy i jednocześnie złączona śmiertelnymi przecuciami gromada uwzięła się na lalkę, wydziera ją z rąk, szarpie, domaga się od dziecka ulubionej zabawki na pożarcie czy ofiarę, a słaby opór nic tu nie pomaga, bezsilne „ja” opiera się i walczy z gromadą, ale nadaremnie. Wszystko zostało poszarpane i zniszczone razem z lalką, zhańbione, zbrukane, zdeptane; niechaj będzie przeklęty ten pierwszy i każdy następny dzień wojny, właściwie nic już nie ma — nawet matczyzna dłoń roz-

luźniła swój uścisk i w dziecku rodzi się strach, że ta dłoń się może zgubić... I mimo to dziecko puszcza na chwilę rękę matki przewyciężając lub po prostu zapominając o strachu, gdyż ujrzało pod tysiącami nóg i śladów jeszcze nie zdeptaną, jedyną wśród tej czerni białą plamę. Widocznie jakaś inna dłoń dziecięca tak samo mocno trzymała rzecz zabraną z domu, wyrwaną z przeszłości, do której nie sposób już powrócić, a która wcale nie musiała stać się przeszłością, lecz powinna była i mogła trwać długo w czasie teraźniejszym — komuś, jak dziewczynce lalkę, wyrwano małą dziecięcą książeczkę. Talizman, wspomnienie, niteczka, cząstka tego, co przeminęło.

Dłoń matczyzna śpiesznie i ze strachem sprawdza omackiem, czy dziecko jest tuż obok. Przeczuwając, co stać się musi, pociąg wpuszczał i przyjmował ów tłum, który rozsiadał się i rozsypywał, żeby wreszcie ruszyć na spotkanie swej zagłady: w odległości czterdziestu czy tysiąca kilometrów od miasta pociąg się wykoleił, trafiła w niego bomba zrzucona z samolotu, więc pozbył się połowy swego ciała, a zarazem czarnego, okrwawionego tłumy, któremu przyglądała się dziewczynka, ściskając kurczowo, jak wiarę w ocalenie, w życie i dobro, znaną i uratowaną książeczkę.

Gromada rozpadła się ostatecznie na drobne i dygoczące kłębki życia i jakoś dopiero teraz ludzie zaczęli się sobie przyglądać, zdjęci nie tylko strachem o własną egzystencję, lecz również żalem nad każdym, współczuciem i zrozumieniem dla każdego, kto znalazł się w tym wspólnym dla wszystkich nieszczęściu, a dziecko uświadamiało sobie teraz również nie tylko własne ja, matczyną dłoń i talizman, lecz także przynależność do gromady, wspólnotę...

Przeczytałam wszystko, co napisałam — krótkie

zdania nie wyrażają wszystkiego, co bym chciała powiedzieć, przerywają się wzajem przecinkami i kropkami, podstawiają sobie nogę, bawią się, wzlatają w górę jak lekkie baloniki na sznurku, a jaki piękny jest jednak wynaleziony przez Bóg wie kogo okres, jak płynie razem z myślą, jak pozwala się wysłowić i wszystko wydobyć na jaw, żeby każdy patrzył na czerwoną krew myśli, na jej tętniący nerw — okresy, okrutne jak nieskończona droga przez ocean, z rytmicznie napływającymi falami, z natchnionym porywem dziewiętej-fali, z przecuciem sztormu; szął, bezbrzeżna toń, potop, nieposkromiony żywioł, wieża Babel śmiało wznoszona wciąż wyżej i wyżej, dwie równoległe, które muszą się jednak przeciąć gdzieś w nieskończoności — nie znajdę porównania, nie sposób to porównać.

Aż mnie kusi, żeby przepłynąć przez najdłuższy na świecie okres, nieskończony jak moja ulica, jak ta ulica, z której dziewczynka wyruszyła w świat z lalką pod pachą — Grodecka, ucieleśnienie miejskiego ruchu, wrzawy, bezsennego i bezdennego napięcia, nieustannej krzątaniny, w ciągu całej doby — trzeźwość pracy i upojenie radością, zapach „czebureków” i chleba, piwa i taniej wody kolońskiej, mieszanina dudnienia tramwajów i dygotania ziemi, architektonicznej nieudolności i doskonałości widzialnego ruchu, nieoczekiwane zaułki, do których jakoś nigdy nie dochodzi, których nie wypełnia ruch i hałas, przeciwnie, zaułki te jeszcze same wypierają i wypychają wykrzywionymi obojczykami kręte chodniki i wrzawę, wyrzucają ją na główną arterię, przysparzając jej niezmożonej tężyzny życiowej — droga moja, cudowna, brudna i czysta, moja Grodecka z setkami, milionami nóg, rąk, oczu, kroków i spojrzeń, z potem i wyzwiskami, ze standardowymi wystawami sklepowymi,

z wciągniętą w rytm miejski wsią — zwykle spódnice, barchanowe kamizelki, plecione koszyki przykryte workami, uniesione ronda niemodnych zielonych kapeluszy — Grodecka z tramwajami, z których sterczą, wyrrywają się na zewnątrz łokcie, kolana, buciki, podmalowane powieki i głosy, Grodecka z ogonkami po byle co — taka ludna, wieloznaczna i wszystko rozumiejąca, jedyna w swoim rodzaju, najsmutniejsza i najweselsza, najzwyczajniejsza i taka obca, znajoma od dzieciństwa i zupełnie nieznana, nie kończąca się, szara, cała zakurzona i tonąca w skrzypiącym pyłe, zdeptana i obojętna na to zdeptanie, i nagle strzelająca w górę czerwona wieża kościoła św. Elżbiety, o którego los toczą się od tak dawna przeróżne spory, a pod kościołem okrągłe beczki z piwem, piją tu pieniący się napój zaspokajając pragnienie, zagłuszając samotność, głupotę, chęć porozmawiania, piją wszyscy, którym jeszcze za wcześnie albo nie chce się wracać do domu, i pijacy-neofici, i roznosiciele plotek, i emeryci, i znudzeni, i skrzywdzeni, i weseli, i ot tacy sobie — a dalej biała, lekka, wzmocniona zielenią dachu, trawy i liści, i całego wysokiego wzgórza ściana soboru św. Jura, wznosząca się wysoko nad kopułą stojącego w dole cyrku — wszystko to będą wspominać nawet w chwili śmierci, i głosy pociągów w parowozowni, i pstrokaciznę bazarów, gdzie zlewa się tyle barw i dźwięków, i soczystość warzyw, i sytość mięsa, i okrągłość jabłek, tyle typów i głosów, że można by to malować, nie wiem jak długo — moja Grodecka z czarnymi strachami czającymi się w każdej bramie nocą, ze zgrzytem hamulców i krzykami wydostającymi się na ulicę z rodzinnych siedzib na drugim i trzecim piętrze, z psami i oprawcami, z warsztatami szewskimi ukrytymi w budkach zbitych z desek, pomalowanych na zielono i żółto, z głę-

bokimi podwórzami, w których wilgoć nie wysycha i osiada na murach pod postacią zielonych mchów, z połamanymi bramami i zardzewiałymi kurkami na dachach starych budynków, z poobijanymi i zamalowanymi nie do poznania płaskorzeźbami na frontonach dwóch czy trzech budowli — najpiękniejsza moja Grodecka, co wspina się wiecznie i niestrudzenie w górę z kotliny w śródmieściu, i z ostatnim ciężkim westchnieniem przechodzi w szeroką magistralę podmiejską — kochana moja Grodecka, dłuższa tysiąc razy od tego najdłuższego na świecie okresu — nie starczy mi słów, żeby powiedzieć wszystko, co wiem i czego nie wiem o tej ulicy — blisko trzydzieści lat mego życia i szary, kamienny balkon mego mieszkania to tak samo nieodłączna część Grodeckiej, jak i mego życia.

Mała dziewczynka, o której nie napisałam, przechodziła przez Grodecką przyciskając do siebie lalkę i trzymając matkę za rękę.

Czy pozwolisz, chciałabym cię dotknąć... Nie bój się, dziewczynko, nie zrobię ci nic złego, jeżeli nawet napiszę o twoich olbrzymich oczach, co wchłonęły cały świat boży i umieją strzec cudzej tajemnicy i własnej, i tak mi wstyd patrzeć w te twoje jasnozielone oczy, a czasami aż granatowe od czarnego cienia rzucanego przez rzęsy, sama przecież pogubiłam nie wiem gdzie, kiedy i dlaczego, cały twój upór i małomówność, wszystkie twoje tajemnice, któreś mi powierzyła niepotrzebnie i tak naiwnie, zatraciłam twoją świętość i nieufność, twoją czujność — wszystko, wszystko, coś mi powierzyła; nabyłam zaś zamiast tego bierność, gadatliwość, ustępliwość, złą ironię, fałszywy uśmiech i gotowość uwierzenia w to, w co wierzyć nie należy — tyle różnych różności nabyłam, nawet nie wiesz, jakich złych chorób nabawia się dusza ludzka na świecie — nie bój się jednak, nie zbrukam cię, nie poniżę,



nie zarazę swoimi smutkami, mogę nawet zginąć bez śladu, ale ty z tego powodu nie ucierpisz ani trochę, nie bój się, nie cofaj ręki, nigdzie cię nie zaprowadzę, nie zabiorę od matki, chcę cię tylko dotknąć i tyle. Tak, chyba napiszę o twojej pierwszej, prawdziwej i jedynej miłości — czatowałeś, stojąc w kąciку pod szkolnymi schodami na tego czarnowłosego chłopczyka o piwnozielonych oczach, a potem, po kilku latach, kiedy dowiedziałaś się, że popełnił ciężkie przestępstwo, szukałaś dla niego usprawiedliwienia, jedna jedyna na świecie starałaś się zrozumieć jego czyn i bałaś się przyznać samej sobie, że nie widzisz w tym czynie nic złego, bo cokolwiek by zrobił — zrobił to on; nie lękaj się, jeżeli nawet napiszę, jak w końcu, po nowych dziesięciu latach spotkałaś nagle innego, strasznie podobnego do tamtego pierwszego i jak wszystko się powtórzyło od początku — nie zwracał na ciebie uwagi, czasem tylko, przy sposobności raczej rzucił okiem na twoją pokorność, i jak usiłowałaś znowu usprawiedliwiać przed światem, już znacznie szerszym niż tamten dziecięcy, wszystkie jego postęпки, i jak przyjmowałaś od niego wszystko, jakby ci ofiarował skarb.

Nie, nie, nie obawiaj się, nic z tego nie napiszę, nie bój się, nie dotknę twojej małej, białej duszy, jeżeli nawet napiszę, jak śmiertelnie, ponad wszystko na świecie bałaś się stracić matkę, jak zatykałaś sobie uszy i uciekałaś, zamykałaś wszystkie drzwi, kiedy słyszałaś gdzieś na ulicy dźwięki marsza żałobnego, jak nienawidziłaś swego starego, brunatnego fortepianu, bo zmuszano cię, żebyś uczyła się na nim grać, a nie miałaś do tego zdolności, i jak opłakiwałaś ten fortepian, kiedy zabrano go z domu, i jak po raz pierwszy powiedziałaś nieprawdę i przekonałaś się, że nie musi cię za to spotkać konieczne kara, że prze-

ciwnie, kłamstwo uratowało cię przed nią, ale później odczuwałaś taką silną skruchę, chowałaś twarz w podołku matczynej sukni i obiecałaś sobie, że więcej tego nie będzie — ale było znowu — jeżeli o tym opowiem, nie bój się, mała, chcesz, zapiszę to wszystko na własny rachunek, niechaj będą to moje grzechy, żebyś chodziła po świecie niewinna, jasna i jasnooka. Żebyś chodziła po świecie.

Nie, nic ci się już nie stanie, pozostaniesz taka, jaka jesteś, bo nic o tobie nie napiszę, jak nie zdołam skonkretyzować swego własnego ja — no, dlaczego stoisz i patrzysz tak nieufnie tymi swoimi ślepkami? Idź sobie. Trzymaj matkę za rękę i idź, gdzie chcesz, możesz nawet powiedzieć, że mnie nie poznajesz, zresztą jest tak rzeczywiście, jak możesz mnie poznać, jeżeli nigdy mnie nie widziałaś — idź sobie stąd czym prędzej, póki nie uległam pokusie, żeby napisać o wszystkim i nawet więcej niż o wszystkim — słyszysz, idź sobie! Obiecuję, że nie napiszę. Obiecuję. Ale nie odchodź jeszcze, poczekaj, bo jeżeli tak się stanie, jeżeli znowu jak tyle, tyle razy, złamię przysięgę, udam, że niby nigdy nie przysięgałam — posłuchaj, wybaczysz mi? Rozumiesz, muszę wiedzieć, co będzie — bo wiem, że nigdy nie urodzę córki, nie spotkam się z prezydentem Ameryki i z tygrysem bengalskim, nie otrzymam nagrody Nobla, nie wybuduję sobie domu nad Dnieprem, ale co do tej czteroletniej dziewczynki — nie mogę tu mieć pewności, nic tu z sobą nie zrobię, wszystko może się przydarzyć, mała, bo taki już mój los — siedzi we mnie to diabelskie nasienie i nie sposób je wykorzeńić, wyrzec się, jak nie sposób odżegnać się od własnego losu ani uciąć sobie ręki — diabelskie nasienie, tak się to chyba nazywa — sama siebie oszukuję mówiąc, że potrafię się bez tego obejść i nie pisać — nie obejdę się, choćbym, sama nie wiem

jak, wmawiała to sobie i innym. Muszę wiedzieć wprzód, czy mi wybaczysz, bo nic nie pomaga, kiedy ma już człek we krwi tę przekłętą pasję, te zamroczenia i rozjaśnienia, strach, porywy, nadzieję, rozpacz, od początku aż do śmierci będzie wciąż ta sama, ta sama, ta sama piosenka — ale rozumiesz mnie mała, więc mi przebaczysz, jeżeli napiszę o dziewczynce, która pamięta tylko o swojej ulubionej lalce mocno zaciskanej pod pachą i stara się jednocześnie nie zgubić matczynej dłoni.

Może jeszcze nie teraz, nie od razu napiszę o tej dziewczynce, ale nic na to nie poradzę, jeżeli wszystko, o czym myślę, dotyczy tak lub inaczej tej dziewczynki z talizmanem, trzymającej się matczynej ręki.

Będę pisać o czymś innym.

Bardzo trudno wyrwać z mroku, z niebytu pierwsze słowo, pierwszą linijkę — wyrwa się tak samo krzyk nowonarodzonego dziecięcia.

Nie pierwszy krok, lecz pierwszy krzyk — od niego się właśnie zaczynamy, od żądania, żeby nas usłyszano i wysłuchano, a nawet zrozumiano, od absolutnie podświadomej jeszcze prośby, którą wyrażamy potem, lub nie ośmielamy się jej wyrazić w ciągu całego życia — pierwsze zdanie w napisanym (właściwie na razie jeszcze nie napisanym) utworze jest takim samym aktem.

A potem można zapomnieć, wykreślić, bo któż pamięta swój pierwszy krzyk, cokolwiek by oznaczał?

Szukam aktora, który by zagrał głównego bohatera. Prawdziwa katorga — takie poszukiwania, bo musi to być stanowczo jego sobowtór, który bez namysłu zgodziłby się nawet umrzeć w razie potrzeby. A umierać musiałby rzeczywiście, bez perspektywy, że wstanie

i pójdzie za kulisy, bez nadziei, że ukłoni się widzom po spektaklu i z pobłażliwym, porozumiewawczym uśmiechem będzie przyjmować oklaski. Trzeba, zapomniawszy o samym sobie, przeżyć życie głównego bohatera, powtórzyć po nim czy razem z nim, jak się bardziej aktorowi spodoba, każdy krok, każdy błąd bohatera, a jeżeli zauważę bodaj najmniejszą niedokładność, jeżeli zakradnie się bodaj najdrobniejszy szczegół, odbiegający od mojej wizji bohatera, bezlitośnie zmuszę aktora, żeby jeszcze raz i jeszcze powtórzył odpowiednią scenę, zdanie czy nawet pojedyncze słowo lub ruch, przy czym cała ta praca — powtarzam — jest bezpłatna, bez nadziei na oklaski, bo może się okazać, iż wszystko skończy się tylko na próbach i do realizacji nie dojdzie, dekoracje zostaną spalone, muzycy z orkiestry pójdą do domu nawet nie wyjąwszy skrzypiec z futerałów, widzom zaś zostaną zwrócone pieniądze za bilety. A może się przytrafić i tak, że widzowie wygwizdają spektakl, ból i wstyd z powodu klapy stanie się udziałem aktora, gdyż główny bohater nie będzie brał udziału w realizacji, co więcej, niewykluczone, że będzie siedział na sali i najzłośliwsze zwischenruffy będą padały z jego ust, gdyż może nawet siebie nie poznać i odciąć się, zobaczy wszak samą tylko maskę, którą aktor przesłaniać będzie twarz, by nie takie bolesne było niezrozumienie, dezaprobata, odrzucenie.

Bolesny to proces przetworzenie materiału, życia, prototypu, prawzoru w postać. Nie chciałabym teraz — a raczej nigdy, w ogóle — nazywać postaci literackich „bohaterami”. Wyraz ten ma swoją od dawna ustaloną treść, swoje znaczenie, które jakoś się nie pokrywa z tą drugą funkcją, funkcją literacką, jaką z nim wiążemy. Odpowiadałaby mi bardziej inna nazwa — osoby działającej. Jest tylko może niezbyt lakoni-

czna, brak jej ekspresji, sens oddaje jednak dokładnie. Ale nie o to chodzi. Powtarzam, rzeczywiście bolesny jest proces przetworzenia, kształtowania materiału, wciąga również i mnie, wciąga tak przemożnie i nieustępliwie, że nie mogę już myśleć o niczym innym i wydaje mi się, jakbym istniała w kilku zupełnie różnych realnościach — w tej, która jest mi osobiście dana od dnia urodzin, i w tych, których moja własna myśl czy wyobraźnia używa — komu? Realnym ludziom przetworzonym w postaci literackiej? Postaciom przetworzonym w realność? Czy w każdej z nich jestem ja, czy wszystkie one we mnie? Nie znam odpowiedzi na te pytania, chyba to podobne do czegoś takiego, że ktoś żądałby wyjaśnienia, czy w kłosie znajduje się ziarno, czy też w ziarnie — kłos, nieskończone dzielenie tysiąca istot w sobie, rozszczepianie swojej świadomości, myśli, uczuć i wiary, i przywłaszczanie sobie nieskończonej ilości cudzych myśli, świadomości, wiar i nadziei.

Ode mnie zależy, czy wybiegnę naprzód, czy się cofnę, cofnę o lat kilkadziesiąt. Wolno mi wiązać wspomnienia i stawiać bohatera w sytuacjach, w jakich nie był w rzeczywistości — rozważać, jak by się zachował w takiej sytuacji, jaka nigdy nie istniała. Wolno mi przemieszczać wydarzenia w czasie, otaczać bohatera ludźmi, których w rzeczywistości nie znał. Mogłabym zrównoważyć jego wady i zalety, żeby niczego nie było za dużo i za mało, mogłabym zrobić z niego przystojniaka, albo zaznaczyć bliznę na jego twarzy, by nie była tak zdumiewająco piękna, i mogłabym zrobić to samo z jego duszą.

Tak zresztą zwykle robimy. Wszystko w miarę, nawet to, co w nadmiarze — też w miarę; równowaga — bo inaczej będzie ponoć nieżyłowo, jakby owa żyć-

wość była miarowym rozwojem wątku i charakteru zgodnie z kanonami literackimi.

W rzeczywistości zaś są to zalegalizowane sposoby formalne, i ktoś, komu zarzucono formalizm, nie grzeszy nim bynajmniej bardziej niż ten, co posługuje się dawno wypróbowanymi metodami, wypróbowanymi, sprawdzonymi i zwyczajnymi.

A gdyby postąpić tak, jak postępuje na przykład malarz: wpierw rysunek czy raczej szkic na płótnie, czarny znak na białym tle zapowiadający, co się odbędzie — właśnie, byłby to wątek, który potem można odczytać od razu w całości, ogarnąwszy obraz jednym spojrzeniem, dalej — pierwsze dotknięcia pędzla na płótnie, które trochę zmieniają początkowy zarys czy zamysł i ukazują już barwy, nastrój, charakter, koncepcję wraz z wątkiem lub bez niego, w światłocieniu, w harmonii i dysonansie.

Dlaczego nie może tak postąpić literat? Czy tylko dlatego, że sam materiał, słowo, wymaga przedstawienia wydarzeń w ich kolejnym następstwie, jednego po drugim, a więc równoczesności nie sposób chyba ani odtworzyć, ani percypować? Słowo jest jednak jeszcze subtelniejszym, ruchliwszym i żywszym materiałem niż farba, jest takie elastyczne, że czasem aż strach ogarnia, co począć z tą podatnością, innym zaś razem stawia taki opór, że znowu się przełękiesz — co robić z tą bryłą?

Otóż spróbuję — niechaj wpierw zaznaczy się linia, kierunek, wątek — to, co było.

Fakt po fakcie, wydarzenie po wydarzeniu — od razu zrelacjonować to, co było.

Trzydzieści lat temu młody chłopak wiejski opuścił swój dom rodzinny i pojechał do miasta, żeby tam

pracować. Przyjęto go do zakładów. Właściwie nie były to zakłady ani trochę podobne do zakładów — jeden jedyny budynek, żadnego sprzętu, żadnych fachowców, pięćdziesięciu robotników, powojenne miasto, powojenne problemy, brakło chleba i kartofli, żeby się wyżywić, brakło narzędzi, żeby pracować. Co prawda, chłopiec jeszcze niebardzo wtedy wiedział, jaki być powinien prawdziwy zakład przemysłowy, i trudności uważał za rzecz konieczną. Mógł wrócić na wieś — matka, bliscy, ciepła izba, wyżywienie lepsze niż w mieście, i ziemia — najważniejsze, że ziemia! Matka sądziła, iż syn jej, opuściwszy ziemię, sprzeniewierzył się przekazanemu z dziada pradziada obyczajowi. W imię czego? Zarobki jego były takie małe, prawie żadne. Właśnie, mógł wrócić, ale nie wrócił. Nie wracał tak długo, że w domu niemal go zapomniano czy wyrzeczono się nawet. Tak jakby matka w ogóle nie miała syna. Syn marnotrawny, dla którego nie było powrotu, bo nikt go nie oczekiwał na progu chaty. A tamten marnotrawny dlatego właśnie wracał, bo wiedział — jest oczekiwany.

Został w fabryce. Pracował tak samo, jak uprawiałby ziemię, gdyby na niej pozostał. Pracował, jak umiał, najzwyczajniej w świecie. Skończył dziesięciolatkę, potem — kurs mistrzowski. Kiedy go mianowano brygadzystą, uznał za rzecz konieczną pracować dalej. Nie poszedł na uczelnię, mimo że miał tę możliwość. Zmiany w zakładach odczuwał jak zmiany we własnym życiu. Zresztą nawet nie uświadamiał sobie, że wraz ze zmianami w zakładach dokonywała się niewątpliwie zmiana w nim samym. Nie analizował tego, po prostu nie przychodziło mu do głowy. Zakłady musiały się rozwijać, on zaś musiał skończyć szkołę, musiał zostać brygadzystą i uczyć ludzi, którzy umieli mniej od niego. Dyrektor musiał rozpoczynać pracę

o tej samej godzinie, co on, i nie szedł do gabinetu, tylko od razu do hali i też się tam zabierał do roboty, bo przecież musiał ktoś pokazać, jak robić to czy owo, a skoro nikt prócz dyrektora nie wiedział tego wówczas, to nic w tym dziwnego, że dyrektor musiał stać przy warsztacie. Tak samo nie dziwiłby się, gdyby Bóg wie kto zabrał się do kopania ziemi. Ziemię trzeba skopać i nie ma znaczenia, kto to robi. Praca musi być wykonana i mniejsza, kto to robi.

Jedni odchodzili z fabryki, drudzy żądali większych zarobków i lepszego stanowiska — on nie. Zaproponowano mu, żeby pojechał na naukę do innych, dużych zakładów — zgodził się chętnie. I dopiero tam zrozumiał — nie, raczej odczuł — że u siebie w domu, w swoim przedsiębiorstwie może dopomóc, by to przedsiębiorstwo stało się również duże i potężne. Poczuli, że zależy od niego coś więcej niż dobrze wykonywana praca. Wracił do domu martwiąc się, że zastanie znowu małe gospodarstwo, któremu tak jeszcze daleko do prawdziwej doskonałości. Powoli i niepostrzeżenie zbliżała się do niego sława. Nie starał się o nią, nawet nie wyobrażał sobie, że sława ta może się zacząć od zwykłej rozmowy z reporterem.

I mimo to, niezależnie od sławy pozostał sobą. Podobnie ziarno długo leżące w ziemi zaczyna się wreszcie przebijać przez warstwę gruntu na światło. Albo strumień staje się nagle głęboką rzeką, mimo że płynie dalej między tymi samymi brzegami i nie próbuje zmienić koryta. Niezmienna była w tym człowieku jego czysta, szlachetna natura. Podobnie ociosywana bryła marmuru zaczyna promieniować od wewnątrz ciepłym strumieniem jasności, nie tracąc swojej mocy.

Ożenił się. Żona zmarła podczas porodu. Syna wychowywał sam. Ten był już zupełnie inny, nieufny, ruchliwszy — młodszy. Pojawiło się mieszkanie



i wszystko, co potrzebne w mieszkaniu; potem samochód — mógł go sobie kupić, zarabiał teraz dobrze. Syn studiował w instytucie, ojciec otrzymywał nagrody za swoją pracę — i oto nastał rok, w którym się okazało, że jego dział, miejsce jego pracy, właściwie nie jest już zakładom potrzebne, tak bardzo zmieniła się ich produkcja. Nowa produkcja zakładów wymagała nowej powierzchni, wypierała wszystko, co się przeżyło, weszła nawet do działu, który był pierwszy i należał do niego bardziej niż wszystko inne w zakładach, był w istocie jego życiem i sensem istnienia — nie dlatego, że pisano tak w gazetach, w artykułach o nim, lecz dlatego, że było tak w rzeczywistości — była to jego praca, innej nie znał i nie chciał, bo gdyby zechciał, to niewątpliwie odważyłby się poszukać, byłoby to łatwiejsze niż owa odważna decyzja, żeby pójść ze wsi do miasta pamiętnego, ciężkiego roku, od razu po wojnie. Wyposażenie działu przekazywano nowym zakładom, założono już fundamenty pod te nowe zakłady, budowano ich bloki na drugim końcu miasta, a w dziale pozostała tylko jedna linia produkcyjna, która dawała tę starą i zwyczajną, jego własną produkcję i przy której pozostał mój bohater oraz ci robotnicy, co ją obsługiwali i trwali przy niej jak przy ziemi — nie rok, nie dwa, nawet nie dziesięć. Pozostali znajdowali pracę tuż obok, w innych działach, zdobywali nowe kwalifikacje, gotowi byli przenieść się do tych nowych zakładów, niemal już zbudowanych.

Mój bohater nie zamierzał opuszczać swojej pracy, swego miejsca — pozostał na swoim stanowisku doskonale rozumiejąc konieczność tego procesu, którego był świadkiem — nie odczuwał żalu ani urazy; cieszył się, że pojawiło się nowe przedsiębiorstwo, że rodzi się właśnie z jego działu, niemal już nieistniejącego, któ-

rego jednak nie mógł porzucić. Tak samo jak nie porzucał go w ciągu poprzednich trzydziestu lat.

Tak bardzo interesował mnie teraz ten człowiek i tak jakoś przy nim malałam wraz ze swoimi rozmyślaniami i mędrkowaniem na temat życia. Rzeczywiście wydawał się samym życiem, w którym nie wszystko było mi zrozumiałe, więc próbowałam znaleźć odpowiedź na niezliczone „dlaczego” w jego zachowaniu i czynach, mimo że na pozór wszystko było takie proste, zwyczajne i prawidłowe.

Dobro państwa — jakoś sam doszedł do zrozumienia go, rozumiał konieczność postępu, ale jednocześnie okazał się człowiekiem, który nie potrafi się oderwać od tego, do czego się przyzwyczaił.

Mój bohater jest przy mnie w chwilach samotności, lub kiedy się znajdę w hałaśliwym towarzystwie. Chodzimy razem po mieście, słyszę jego kroki w parku, w alei, w której w tej chwili nie ma rzeczywiście żywej duszy poza mną, oglądamy we dwoje telewizję i razem siedzimy przy obiedzie, towarzyszy mi, kiedy się zastanawiam nad rzeczami, które wydają się mi bardzo ważne, i kiedy spieram się z powodu drobnostek, o których od razu zapominam — nie wiem już w końcu, kto kogo obserwuje, kto kogo studiuje, kto i czyje rozważa czyny... Co więcej, człowiek ten czy też już postać, zrodzona z mojej wyobraźni, urosła do niezwykłych rozmiarów, usiłuję porównywać sens własnego życia i życia mego bohatera — to jest, sama już nie wiem, czy bohatera, czy tego człowieka, z którego począł się bohater, sądzę o własnych czynach z jego punktu widzenia i czasami zmuszona jestem pod jego wpływem zmieniać swoje postępowanie.

Poznałam się przecież z realnym człowiekiem, spokojnym, sympatycznym, zrównoważonym, odbyła się nasza pierwsza rozmowa, najzwyczajniejsza, o po-

wszednich sprawach i oto z czasem właśnie ta zwyczajność zaczęła budzić wątpliwość — czy rzeczywiście wszystko jest takie zwyczajne, zrodziło się zaciekawienie, człowiek realny przetwarzał się w postać literacką, a postać ta z kolei domagała się (stałe, ale zawsze przedziwne sprzężenie zwrotne) realnego wcielenia, żywego ciała i krwi, żywej duszy, której nieobcy jest i ból, i radość, domagała się, by stanął dom, gdzie ów nowy człowiek mógłby się przespać i ukryć przed deszczem lub natrętnymi interlokutorami, gdzie mógłby przyjąć przyjaciół — musiało się znaleźć to miejsce, gdzie by człowiek pracował, musieli być koledzy, z którymi by obcował...

Można go było otoczyć najróżniejszymi ludźmi, wymyślić jak najostrzejsze konflikty, które musiałyby zgodnie ze swoim charakterem rozwiązywać, bo nie należy, jak sądzę, do tych, co umieją — bardziej nawet umieją, niż chcą — przechodzić nad konfliktem do porządku dziennego.

Najbardziej chciałam jednak po prostu zrozumieć to, co było przede mną. Nie wymyślałam dla swego bohatera legendy — nie mam skłonności do zwijania kłęбка tylko po to, żeby go potem rozwijać, fabuła i wydarzenia interesują mnie o tyle, o ile z nich samych, nie zadanych, niby to zwyczajnych, wyłania się problem, który należy rozwiązać.

Muszę bodaj w części, ale jakoś zrozumieć mimo wszystko tego człowieka, jakkolwiek początkowo, kiedy nie znałam go jeszcze dobrze (bodaj tak, jak znam teraz), próbowałam wymyślać dla niego sytuacje, rzecz jasna, niezbyt odbiegające od życiowych możliwości, wszelkie sytuacje, w których tak lub inaczej mógłby się ujawnić jego charakter, a było takich sytuacji wiele i wszystkie stopniowo odrzucałam, nie rozwiązywały żadnego problemu, a niektóre wydawały się fałszy-

we w porównaniu z czystą prostotą, jaka cechowała mego bohatera w jego drodze przez życie. Kiedy próbowałam, na przykład, zrozumieć coś z zamkniętej przed światem, niemal tajnej strony jego życia, kiedy chciałam się czegoś dowiedzieć (nie dla zwykłego zaspokożenia własnej ciekawości, lecz by wnikać głębiej we wszystko, co w człowieku tym zagadkowe), odwracał się ode mnie tak, że zaczynałam już besztuć się w duchu i nie pozostawało mi nic innego, jak wymyślać sytuacje i godzić się z odrobiną fałszu, ale nie było to już wcale to, o co mi chodziło w rzeczywistości, bo poznać swego bohatera znaczyło, moim zdaniem, rozłożyć światło na wszystkie jego barwy, żeby widzieć równocześnie i jedność, i rozczłonkowanie tego charakteru, i przyczyny jego postępowania. Widać było wyraźnie, że jest to człowiek stojący ponad okolicznościami, umiejący nimi pokierować i jednocześnie zrozumieć, a w razie potrzeby także nie odrzucić, lecz zaakceptować, że potrafi to zrobić z jakąś pełną dobroci prostotą.

Szukam aktora, by go obsadzić w roli głównego bohatera.

Ale czyż nie zależy to ode mnie, by powiedzieć sobie, że oto podszedł już do mnie, zbliżył się ktoś do-  
tąd nieznajomy, przywitał się i...

Przepraszam, co pan mówi? Jest pan aktorem? I chce pan zagrać rolę mego bohatera? Rzeczywiście? A jeżeli powiem panu, że główny bohater — to określenie raczej umowne, że i główny, i bohater — to tylko hasła ze słownika literackiego i brak tu dokładniejszego określenia? Jeżeli powiem, że to zwykły człowiek ten mój bohater?

**Aktor:**

Wcale mnie to nie przeraża i nie dziwi. Jak twier-

dzi znany astronom Shapley, wszechświat jest taki olbrzymi, że grać w nim nawet bardzo skromną rolę — to też zaszczyt. Uciekając się do pięknej metafory astronom dodaje ponadto, że człowiek uważa się obecnie za jednego z głównych uczestników olbrzymiego wyścigu ewolucyjnego i najczęściej maszeruje dziarsko w towarzystwie wibrujących atomów, promieniujących gwiazd, mgławic, wiecznie zielonych lasów, ptaków i motyli. Zwyczajność jest więc dzisiaj pojęciem bardzo względnym.

**Zastanawiam się chwilę i odpowiadam:**

Ciekawa myśl. Przekonywający argument w naszej rozmowie. Dobrze jest mieć do czynienia z człowiekiem, który pamięta, co przeczytał lub usłyszał i umie z tego korzystać. Punkt na pańską korzyść w tym wypadku, bo będzie pan przecież musiał wiele zapamiętać, ale też niemało zapomnieć, w szczególności Harlowa Shapleya i cytat z niego, gdyż bohater, którego zgadza się pan zrozumieć i którego rolę chce pan zagrać, nic nie wie o Shapleyu i chyba nie przychodziło mu do głowy, że przebywa w towarzystwie wibrujących atomów. Cytaty z Shapleya będą panu przeszkadzały w roli mego bohatera.

**Aktor:**

Czy zapomnieć Shapleya, czy nie, czy zapomnieć także jeszcze to i owo, co mi wiadomo — to już moja rzecz. Wcale mnie pani nie przekonała, że moja rola rzeczywiście tego wymaga. Przecież bohater jest taki czy inny z woli pani, prawda?

**Odpowiadam:**

Sądzi pan, że moja wola ma jakieś znaczenie? Wydaje mi się czasem, że moja wola o niczym tu nie decyduje, że wszystko dzieje się niezależnie od niej.

**Aktor:**

Wytlumaczyć pani, jak się to odbywa? Zrodzona z pani wyobraźni rzeczywistość całkowicie się od pani odrywa, wyalienowuje, usamodzielnia i nie pozostaje pani wtedy nic innego, jak utrwalić tę nową realność. Proszę uprzejmie poznać mnie z pani bohaterem. Jestem pewien, że po kilku spotkaniach porozumiemy się i że będzie on wiedział coś niecoś o Shapleyu.

**Mówię:**

Czyż to takie konieczne? I wie pan, nie brak panu pewności siebie. Obawiam się, że nie zrozumie pan wobec tego mojego bohatera — właśnie pewności siebie często mu brak.

**Aktor:**

Tak, tak, już Feuerbach mówił: wątpić w samego siebie — to najwyższy kunszt i siła. Może jest tak rzeczywiście, ale właśnie teraz nie wolno mi wątpić — nie odważę się wtedy zagrać roli, jaką mi pani proponuje.

**Mówię:**

Teraz znowuż Feuerbach, a przedtem była mowa o modnej obecnie alienacji. Czy nie zamierza pan tłumaczyć memu bohaterowi różnicy między systemem Stanisławskiego i systemem Brechta — i za którym z nich opowiada się pan, którym się posłuży, żeby zagrać nową rolę? Mój bohater nie wie nic o Shapleyu i Feuerbachu, wątpię zresztą, czy poza cytatami ma pan sam jeszcze jakieś wiadomości o nich. Wielkim ludziom nawet nie przychodzi do głowy, że ktoś może brać bez potrzeby ich myśli...

**Aktor:**

Jak Boga kocham, mógłbym się obrazić! Zamierzam podpisać taki niekorzystny kontrakt — najpraw-

dopodobniej zginę bez oklasków, mowy nie ma o zapłacie, żadnej nadziei na sławę, ale, że wolno mnie obrażać — wśród tych niekorzystnych warunków nie wymieniono. Z jakiej racji nie pozwala mi pani cytować?

### **Mówię:**

Wcale nie chciałam pana obrazić. Może wypowiadam się w zbyt kategorycznej formie. Przepraszam. Zaraz spróbuję pana poznać z moim bohaterem. Widzi pan, tam, przed kliniką, na skrzyżowaniu dwóch ulic zatrzymał się właśnie samochód, wysiadł z niego wysoki, siwiejący mężczyzna i nie zatrzasnąwszy jeszcze drzwiczek wozu, podnosi głowę do góry, szuka spojrzeniem znajomej twarzy w oknie — to właśnie ten człowiek, którego powinien pan zagrać. Przyjeżdża tu codziennie o piątej, chce zobaczyć jak najprędzej synową, która leży teraz w klinice położniczej — widzi pan, macha do niej ręką i coś mówi z uśmiechem, synowa oczywiście nie rozumie ani słowa, ale chyba też się uśmiecha. Nazywa ją córeczką, ona jego — tata, co podoba się jego synowi. Zaraz odda synowej paczuszkę, potem znowu pomacha ręką na pożegnanie i wróci do domu — będzie miał dzisiaj wieczorem dość czasu i będziemy mogli wreszcie z nim porozmawiać — byle się tylko zgodził, bo z natury jest bardzo małomówny.

A teraz proszę wyobrazić sobie smukłego, sympatycznego młodego człowieka o szeroko rozstawionych szarych oczach i dużych, wesołych ustach — to syn mego bohatera, mój bohater poświęcił niemałą część swego życia i sił, żeby wychować tego beztroskiego na oko chłopca, który chodzi w wytartych dżinsach, z torbą przewieszoną przez ramię, słowem, jest typowym dzisiejszym studentem. Możliwe, że tak samo jak

pan czyta Shapleya czy jeszcze kogoś innego... Ożenił się ten student trzy lata temu z tak samo beztroską na oko dziewczyną, liczącą osiemnaście lat i tak samo ubraną — w wytarte dżinsy, z torbą przewieszoną przez ramię. A teraz spodziewają się syna, w każdym razie nie wątpią, że musi to być syn.

Jeszcze panu nie powiedziałam, jak się nazywają — proszę, niech pan zapamięta: Fedir Pyłypowycz Żuryło — to oczywiście ojciec, mój bohater. To spokojne, sympatyczne imię jest bardzo dla niego odpowiednie. Syn nazywa się Bohdan, w dzieciństwie był i dla żony jest nadal Dankiem, Danem, ale dla nas pozostanie Bohdanem. Jego żonę Anhelinę wszyscy nazywają Helą, co nam również wolno.

#### **Anhelina opowiada:**

Tak, ten wysoki, siwiejący mężczyzna — właśnie wysiadł z samochodu i nawet nie zamknąwszy jeszcze drzwiczek niecierpliwie podnosi w górę głowę szukając spojrzeniem znajomej twarzy w oknie — to ojciec mego męża, mówię mu tato i wszyscy troje jesteśmy z tego zadowoleni. Przyjeżdża zawsze do kliniki punkt o piątej, chce mnie zobaczyć, więc już zawnazasu staję przy oknie.

Przycisnąwszy czoło do szyby czuję, jaka jest zimna, jak drży na mrozie powietrze tam w dole, na ulicy. Zdaje mi się, że dostrzegam lekki kłębek pary wokół jego ust, kiedy coś mówi i uśmiecha się, wymachując lekko ręką. Wiemy oboje, że rozmowa na taką odległość jest nadaremna, nikt z nas nie słyszy ani słowa i mimo to co dzień rozmawiamy w ten sposób. Tata bardzo elegancko wygląda w tym nowym palcie, dobrze skrojonym, i nie krępującym ruchów, szalik trochę mu się rozchylił na szyi i widać ładny, dobrze zawiązany krawat. Ktoś mógłby pomyśleć, że ten nie-



młody już człowiek stosuje się do mody i dba o swoją powierzchowność, ale w rzeczywistości nic mu na niej nie zależy, po prostu nasz tata jest jednym z tych ludzi, którym jest we wszystkim do twarzy.

Szyny tramwajowe podobne do równiutek, zamarzniętych strumyków przecinają jezdnię niegłębokimi rowkami wypełnionymi zimnym, szarawym blaskiem. Twarze pasażerów widoczne z mego okna mają wyraz jakiejś nieprzystępnej zadumy, w ciągu tych kilku sekund, kiedy tramwaj przesuwa się tam w dół, udaje mi się dostrzec ten wyraz — pewnie wyglądają tak wszyscy dlatego, że nie mają możliwości zaraz, w tej chwili wybrać jakiś inny kierunek ruchu i zmuszeni są podporządkowywać się woli ruchomego czerwonego pudła.

Tramwaj zasłania tatę, a kiedy widzę już znowu przeciwległą stronę ulicy, tata przechodzi przez jezdnię, w rękę ma brązową teczkę, znam tę teczkę, ojciec używa jej od dawna jako torby na zakupy, a teraz w teczce tej jest z pewnością coś przeznaczonego specjalnie dla mnie — z całą pewnością to, co lubię. W paczce z prowiantem będzie także karteczka — pismo ma tata cudaczne, litery stawia koślawe i zdania buduje też koślawe — inaczej być nie może, gdy niemłody człowiek, przyzwyczajony do powściągliwości w wyrażaniu uczuć, usiłuje mówić czule.

Żuryło! — drze się na całe gardło pielęgniarz, jakbym była nie wiadomo jak daleko od niego. Biorę paczuszkę, kładę ją na stoliku przy łóżku i wracam do okna, bo tata bez wątpienia stoi już znowu koło wozu i patrzy w górę szukając mojej twarzy. Staram się podziękować mu i wytłumaczyć na migi, żeby nic jutro nie przynosił i że karteczki nie napiszę; uśmiecha się, macha na pożegnanie ręką i wsiada do wozu. Te-

raz, kiedy nie widzę jego dłoni na drzwiczkach samochodu, wóz zatracą swoją indywidualność, tę szczególną cechą, jaką mu nadaje, jak sądzę, obecność taty; wmieszany w potok innych wozów znika mi z oczu.

Między wszystkim, co tata włożył dziś do przezroczystego woreczka z prowiantem, znajduję w pudełku od herbatników nową książkę, jakiś przełożony z angielskiego kryminał — przynoszenie książek do kliniki położniczej jest surowo zabronione, więc ta mała konspiracja i fakt, że tata wyczuł, jak bardzo potrzebna mi jest właśnie taka książka, taki do niczego czytelnika nie zobowiązujący kryminał, wzrusza mnie bardziej niż pomarańcze i granaty, tak starannie owinięte w papier, każdy owoc z osobna.

Czas spędzony w klinice tak mnie uczulił, że na wszystko reaguję obnażonym sercem i przez to ból wydaje się czarniejszy, a najdrobniejsza radość bucha takim jaskrawym, czerwonym płomieniem, że można od niego oślepnąć. Żeby się uspokoić, staram się nawet mówić powoli, cicho i jakby obojętnie, bo muszę oszczędzać wszystkie siły, jakie mam, na ten dzień i chwilę, na którą czekam ze strachem i z ufnością zarazem, która przybliżyła się do mnie jak moment przedziwnego odkrycia i przejrzenia, gwałtownego przeobrażenia we mnie samej i w całym świecie.

Cudzy ból i cudzy krzyk dokoła staje się początkiem nowego życia i nadziei, przejmuję mnie do głębi myśl, że tylko raz w ludzkim życiu okrutny ból niemal nie do wytrzymania przechodzi w radość. Nie lubię teraz przeglądać się w lustrze — brzydka jestem, na twarzy plamy, obrzmiały nos, wargi jak u murzyńskiego bożka, jeszcze dobrze, że bodaj włosom nic się na razie nie stało, ale niewieka to pociecha — nie należę do takich szczęśliwców jak tata, którzy w każdym stroju ładnie wyglądają. Nie do twarzy mi w szpital-

nym kitlu, który ledwie schodzi się pod piersiami. Chodzę jak syta, utuczona kaczką i sama się z siebie śmieję, kładąc ręce na baniastym, dużym brzuchu.

Lekarze powiedzieli, że będę musiała spędzić w klinice całe dwa miesiące, by wszystko skończyło się dobrze, początkowo omal się nie rozbeczałam z tego powodu — nie znoszę szpitali, a zwłaszcza tej babskiej szpitalnej paplaniny — takie tu obrzydliwe nudy, że można zwariować. Ale co robić — jak trzeba, to trzeba, gdyby chodziło tylko o mnie, nie zgodziłabym się, lecz mowa była jednak nie o mnie. A teraz nawet jestem zadowolona, że siedzę tu zamknięta, nie próbuję namawiać lekarzy, żeby pozwolili Bohdanowi zobaczyć się ze mną, jestem wprost szczęśliwa, że nie widzi mnie takiej — a potem wszystko będzie normalnie, jak dawniej, zresztą potem nie będzie miał czasu przyglądać się tak bardzo, czy się zmieniłam. Przez okno widzi tylko moją twarz — jak w pociągu, na chwilę, dwie, trzy; nie pozwalam mu długo wystawać tam na dole, na ulicy, nie chcę czytać nawet z daleka w jego twarzy tego samego, co wyczuwam w jego liścikach, tego przykrego niepokoju czy nawet strachu, nie chcę, żeby udzielił mi się ten strach, najwięcej boję się właśnie tylko strachu. Wiem, że ich obu, Bohdana i ojca, prześladowe ta sama myśl, bo przecież matka Dana umarła, kiedy go urodziła, więc boją się teraz — widzę to i rozumiem, mimo że ani tata, ani Dan nie powiedzieli o tym ani słowa.

Dlaczego miałyby się to powtórzyć? Dlaczego miałyby się znowu coś takiego wydarzyć? Nie dopuszczam nawet myśli o tym, wsłuchuję się w siebie — pewnie tak samo wsłuchuje się w siebie brzoza, kiedy z jej ciała trysnąc ma sok lub nabrzmiewają pączki, wsłuchuje się tak w siebie kwiat rumianku, kiedy rozwiera się jego złociste oko, i mimo że tak ciągle pogrą-

zam się w sobie, słyszę również wszystko, co się dzieje dokoła, jakby świat istniał nie poza mną, nie oddzielnie, lecz we mnie samej, w moim wnętrzu, jakby bił i stukał tysiącami serc, rąk i nóg; domaga się ten świat mego uznania, zrozumienia i miłości, natrętnie i wzruszająco żąda mnie samej jako ofiary dla siebie, jako ratunku i osłony, cały świat domaga się mnie jako swojej matki, czuję się złączona z ziemią, z niebem, z ptakiem w gnieździe, z nurtem rzeki, z chropawą ścianą domu, i cieszy mnie to, jakkolwiek ciężko mi dźwigać własne ciało z zamkniętym w nim olbrzymim i nieograniczonym światem.

Chcę myśleć i rozpamiętywać tylko to, co piękne i przyjemne, odżegnuję się od wszelkiego zła i szpetoty. Chcę zapomnieć, że istnieje na świecie śmierć, chciałabym, by w tym dniu, w którym urodzi się mój syn, nikt na świecie nie umarł, żeby nikogo nie grzebano w ziemi i żeby nikt nie płakał — by nie zginął tego dnia nawet postrzelony ptak. W ubiegłym tygodniu zobaczyłam przez okno efektownego myśliwca w kożuszkach i butach z cholewami niemal po same pachwiny, ze strzelbą, z ładnym, włochatym psem — chętnie przesłabym mu drogę z pustymi wiadrami w rękę lub zaklęła wszystkie kule w jego strzelbie, ale było już za późno, bo na przewieszanej przez ramię myśliwego lince chwiały się żałośnie, główkami w dół trzy duże, martwe ptaki.

Wskrzeszam w swojej pamięci wszystkie piękne twarze, piękne krajobrazy, ciekawe rozmowy, najcudowniejsze, ulubione melodie.

Przypominam sobie, jak poznaliśmy się z Bohdanem — chciałam wtedy właśnie trochę sobie dorobić, żeby pojechać latem nad morze, właściwie mój szanowny tatuś Wasyl Petrowycz mógłby substydiovować tę

moją podróż, ale panu ojcu nigdy nie przychodziło nic podobnego do głowy, a mego stypendium w szkole muzycznej nie starczyłoby, mama też nie ma Bóg wie jakich zarobków — urządziłam się więc jako pilotka w biurze wycieczkowym na czas urlopu jednej z jego współpracownic i co niedziela jeździłam autobusem po mieście. Autobus podjeżdżał do placu przydworcowego i wypełniali go pasażerowie tranzytowi, którzy nie mieli co robić z czasem między jakimiś swoimi sprawami i chcieli jakoś z pożytkiem spędzić tę godzinę czy dwie.

Kierowcą autobusu był fajny chłopak, Ilko Stepanszyn. Dla zabawy często odgadywaaliśmy oboje, kim są nasi wycieczkowicze, jaki ten czy ów ma zawód, skąd przyjechał i w jakim celu... A pewnego razu wskazałam Ilkowi Bohdana — stał wtedy i stał niedaleko od naszego autobusu, jakby nie wiedząc, co z sobą począć, dlatego zwróciłam na niego uwagę — pokazałam Ilkowi Dana i zapytałam:

— Jak myślisz, a co robi ten chłopak w naszym mieście? Pewnie oddał bagaż do przechowalni i tak sobie, dla zabicia czasu chce obejrzeć miasto?

— Nie — nie zgodził się Ilko — nie oddał żadnego bagażu do przechowalni, cały jego bagaż spoczywa gdzieś na Złotej czy Stryjskiej w starym, ładnym mieszkaniu na drugim piętrze — rzeczywiście nie poznasz lwowskiego chłopaka?

Nie uwierzyłam, tym bardziej, że Bohdan wszedł do autobusu — komuż przyjdzie do głowy oglądać własne miasto z okien autobusu? Założyliśmy się z Ilkiem o całą butelkę szampana — Ilko wygrał i wypiliśmy potem tego szampana w trójkę — ja, Ilko i Dan.

**Gdyby Bohdan Żuryło zechciał, opowiedziałby:**

Tego niedzielnego dnia odprowadziłem do pociągu

tatę — pojechał na delegację do Kijowa — i zastanawiałem się, czym się zająć.

Na początek wypilem bez potrzeby szklanke wody sodowej z saturatora, nacisnąłem guzik na pulpicie, który miał za zadanie dokładnie informować o ruchu pociągów, był jednak wyłączony, skierowałem się więc do wyjścia, ale oto zauważyłem w dworcowym westybulu duże i barwne ogłoszenie. Biuro wycieczkowe proponowało wszystkim chętnym przejażdżkę autobusową po mieście. Autobus odchodził o dziewiątej z placu koło dworca, bilety były do nabycia w kasie nr 3.

Podróżować autobusem po mieście znajomym od dzieciństwa — jest w tym mimo wszystko coś niezwykłego, jakby poszedł człek i zapytał w biurze adresowym o własny adres, i poinformowano go tam nagle, że mieszka na zupełnie innej ulicy niż w rzeczywistości.

Kupiłem bilet i podszedłem do tego autobusu. Stała tam dziewczyna i uśmiechając się rozmawiała z kierowcą. Podrzucała na dłoni kasztan i zdawało mi się, że nawet spojrzała na mnie kilka razy. Prawdę mówiąc, dziewczyna od razu wydała mi się jakaś niepodobna do wszystkich dokoła. Wśród tego pstrego i chyba bezcelowego ruchu na placu przed dworcem ona jedna nigdzie się nie śpieszyła i na nikogo nie czekała, ona jedna nie miała chyba nic wspólnego z krzątaniem i hałasem, otoczona, zda się, atmosferą ciszy, spokoju i zadumy — ja sam odczuwam zwykle taki spokój, kiedy wchodzę do brzoźowego gaju.

Ludzie wsiadali do autobusu i zasłaniaли mi dziewczynę, a chciałem na nią patrzeć i pomyślałem nawet: żal mi będzie, jeżeli to po prostu jakaś znajoma kierowcy i autobus ruszy za chwilę, ona zaś zostanie. Nie została jednak. Wsiadła też do autobusu i powiedziała:

— Proszę siadać, o tam, koło okna jest wolne miejsce — obejrzałem się i dopiero zrozumiałem wtedy, że zwróciła się do mnie, bo wszyscy inni już siedzieli.

Była więc pilotem. Nazywała się — przedstawiła się niebawem szanownym pasażerom — Anhelina Bojko. Imię wydało mi się trochę pretensjonalne, ale trudno o to winić dziewczynę, nie wybierała go sobie.

Zapamiętałem coś niecoś z tego, co mówiła: miasto jest stare jak świat. Ma jednak dobrą naturę — nigdy nie utyskuje na zmianę pokoleń i obyczajów, nie skarży się, że dawniej było lepiej, że mury były mocniejsze i budowle wznoszono trwalsze. Miasto chętnie widzi rozsądne zmiany, ale w ciągu całych dziesięcioleci i wieków utrzymuje swój styl i zachowuje to samo oblicze...

Pewnie, było to również odrobinę pretensjonalne podobnie jak jej imię, ale nie przeczytałbym czegoś takiego w żadnym przewodniku, podobało mi się, co mówiła. Siedział przede mną pasażer z walizką upstrzoną nalepkami z różnych hoteli — śladami krótkotrwałych znajomości z różnymi miastami. Nie wiem dlaczego zaczął rozmowę z pilotką, może rzeczywiście zainteresowało go nasze miasto, sądzę jednak, że bardziej niż miasto i jego zabytki historyczne zainteresowała pasażera pilotka. Dziewczyna odpowiadała mu uśmiechając się uprzejmie — wiedziałem, że pilot powinien być uprzejmy i życzliwy, ale jakoś strasznie mnie to irytowało.

Pasażer z walizką chciał wiedzieć:

— Czy podoba się pani współczesna architektura miejska? Co do mnie, uważam, że człowiek zatracą w tych labiryntach indywidualność, staje się podobny do sąsiada — tak samo, jako podobne są do siebie domy.

Anhelina Bojko postanowiła bronić współczesnego

miasta. Prawdę mówiąc, zgadzałem się z owym pasażerem, ale odpowiedź dziewczyny brzmiała rozsądnie:

— Przecież renesansowe budowle są też do siebie podobne — łączy je ten sam styl architektoniczny i ta jednolitość pozwala nam określić styl i epokę. Tak samo zwykle chaty wiejskie — czyż ludzie zatracili swoją indywidualność, bo okiennice są tu tak samo rzeźbione? Myślę, że jest wprost przeciwnie — ludzie w sztuce dają wyraz swojej indywidualności i tym samym charakterowi swojej epoki.

— Cóż, wobec tego charakter naszej epoki — to uproszczenie doprowadzone do granic absurdu.

— Uproszczenie? Dlaczego? Raczej racjonalizm. Innymi słowy, rozsądne podejście do rozwiązania problemów, które wymagają racjonalnego rozwiązania.

— Nie ma pani racji. Powiedziała pani przed chwilą, że ludzie ponoć dawali wyraz swojej indywidualności w sztuce, a teraz dowodzi pani, iż sztuka wymaga racjonalnego podejścia.

— Nie, powiedziałam, że...

Ten obrzydliwy facet zbił ją w końcu z pantofelku, jak mi się wydało, taka była w tej chwili skonsternowana, że chętnie bym powiedział: Panie, daj dziewczynie spokój, mało panu, że zabawia tu pana przez całą godzinę — w ogóle chce pan, by tylko na pana zwracała uwagę. Zostaw ją pan w spokoju!

Autobus zbliżał się znowu do placu przed dworcem, pomyślałem, że trzeba będzie wysiąść, pozostawić Anhelinę Bojko, nie wyrzec ani słowa — przecież nawet nie patrzy w moją stronę, ten nudziarz z pstrą walizką i małym krążkiem łysiny na ciemieniu — co go obchodzi nasze miasto i jak mówi Anhelina Bojko? Niebawem wyniesie się stąd, spędzi w naszym mieście dzień czy powiedzmy, nawet tydzień i pojedzie do domu, żaden ślad tu po nim nie pozostanie, więc po co



ta dyskusja — po prostu chce zabić czas i dać upust własnej gadatliwości, no, chyba że ma jeszcze zamiar po wycieczce zaprosić gdzieś Anhelinę Bojko na wino po tak uczciwie wykonanej pracy. Wątpię tylko, czy się dziewczyna zgodzi. Nie powinna się zgodzić. Zresztą, tak czy inaczej ten pasażer zniknie, a ja zostanę przecież tutaj, u siebie w domu i to niemożliwe, aby dziewczyna nie zapamiętała mojej twarzy, i kiedy się znowu spotkamy, żeby mnie wtedy nie poznała.

Pozwoliłem sobie wtrącić się do ich rozmowy:

— A dlaczego pan sądzi, że ludzie nic innego nie robią, tylko starają się dać wyraz swojej własnej indywidualności czy duchowi epoki? Zdaje mi się, iż po prostu budują sobie mieszkanie, myśląc przy tym o sobie, o swoich dzieciach i jak będą żyli w tych domach, które wybudują, więc robią to tak, by były jak najlepsze i najwygodniejsze. A ponieważ każde pokolenie budowlanych jest już inne i czymś się różni od poprzedniego, rozumie tę wygodę i piękno na swój sposób i ma swoje własne szczególne środki, by realizować swą koncepcję. Ludzie ci budują, my zaś wymyślamy sobie, iż dają wyraz swojej indywidualności.

Czułem, że wygłaszam niezwykle długą tyradę, ale musiałem wypowiedzieć się do końca. Mówiłem nie to, co myślę, bo w rzeczywistości lubię właśnie nasze stare miasto, ale bałem się ponadto, że mi ktoś przerwie lub ludzie zaczną się śmiać — nie wiedziałem, jak reaguje dziewczyna na moje słowa, ale osiągnąłem coś, co było najważniejsze: patrzyła na mnie, zauważyła mnie i słuchała.

— Przepraszam — z nutą ironii w głosie odezwał się pasażer z nalepkami — w jakiej dziedzinie sztuki pan pracuje, bo z taką znajomością rzeczy...

Warto by powiedzieć teraz, iż jestem architektem

i niech się zamknie, ale dziewczyna patrzyła na mnie, nie mogłem zachować się tak głupio.

— Nie mam nic wspólnego ze sztuką. Studiuję na uczelni problemy mechaniki kwantowej. Bo co?

— Aaa — ze zrozumieniem pokiwał głową pasażer z walizką, ale nic mu już to kiwanie nie pomogło, dziewczyna patrzyła na mnie. Tylko na mnie. Autobus stał na placu koło dworca. Pasażerowie wychodzili i dziękowali pilotce za ciekawe opowiadanie o mieście, mówili, że jeszcze nigdy i tak dalej... Rzeczywiście, pomyślałem, coś niecoś wie ta dziewczyna o mieście, ale nie sposób chyba wszystko tu zgłębić, trzeba by przeżyć w tym mieście nie jedno ludzkie życie, ale wszystkie stulecia — od jego narodzin po dzień dzisiejszy. Ale chwileczkę — przemawiałem do niej w duchu — czyż nie przeżyliśmy wszystkich tych wieków w naszym mieście, setek lat aż po dzień dzisiejszy, od samego początku do dzisiaj, czyż nie żyje to miasto w nas samych, alboż nie wycisnęło swego piętna nawet na tym pasażerze z oklejoną walizką! Jakby tam nie było, ale nalepkę hotelową przylepi do swojej walizki również w naszym mieście, a to już także jakiś znak, prawda?

**Anhelina nie może odpowiedzieć od razu, więc powie później:**

Wiesz, pomyślałam wtedy o tobie: zaraz sobie pójdzie, ma tam w przechowalni walizkę, a w kieszeni bilet kolejowy, pójdzie sobie zaraz, a nie chcę tego. Dobrze by było z nim porozmawiać. Wcale nie ma racji twierdząc, że ludzie ponoć nie myślą i nie starają się wyrażać swego ja, nie ma racji, ale przecież nigdy nie będę mogła mu tego powiedzieć. Strasznie nie lubię, kiedy pasażerowie (szanowni pasażerowie) z obrzydliwym, proszącym uśmieszkiem proponują mi — poufnym szeptem — jeszcze jedną indywidualną

wycieczkę po mieście, pieszą lub samochodową; odpowiadać trzeba uprzejmie, a mam chęć dać takiemu po głębie — ale gdybyś ty, Dan, powiedział wtedy coś podobnego...

**Bohdan się śmieje (ale także znacznie później):**

Powiedziałem przecież, tylko nie usłyszałaś. Powiedziałem: Anhelino, chcę się z panią zobaczyć, czy nie ma pani nic przeciwko temu? Nie pogniewa się pani, jeżeli przyjdę tu, na ten plac, jeżeli będę przychodzić co niedziela, żeby znowu panią spotkać, będę kupować bilety w kasie nr 3, żeby mi pani opowiadała o naszym mieście — może pani opowiadać nawet jakieś banialuki, zgadzam się ich słuchać, słowo daję, wolę nawet banialuki niż wyświechtane jak stara marynarka prawdy...

**Anhelina stoi przy oknie w klinice i rozpamiętuje:**

Powiedział „do zobaczenia”, zdziwiłam się, bo zwykle nikt nigdy nie mówi „do zobaczenia”, wysiadając z wycieczkowego autobusu, on zaś powiedział i w następną niedzielę znowu się pojawił. Właściwie byłam zadowolona i niezadowolona zarazem: czyż mogłam po raz drugi mówić i tłumaczyć wszystko tak samo, jak wtedy, w dniu, kiedyśmy się poznali? Zacinałam się, wyszukiwałam w pamięci nowe fakty, ale on patrzył na mnie tak, jakby słyszał to wszystko po raz pierwszy, jakby nigdy dotąd nie był w naszym mieście i nie słyszał nic ciekawszego.

W tydzień później czekał na przystanku, kiedy już wracaliśmy po pracy, i powiedział: Widzi pani, chciałem znowu wziąć udział w wycieczce, ale pociąg Liverpool—Lwów spóźnił się i nie zdążyłem... Może będzie pani tak łaskawa i pójdzie ze mną pieszo, ale wybierzemy już jakąś inną drogę? Byłam taka łaskawa, zgodziłam się bez chwili wahania, nawet nie udałam,

że się zastanawiam: Dan miał także takie oczy, które nie pozwalają nic udawać. Chciałabym, żeby mój syn miał takie oczy jak Dan.

Może mu kiedyś opowiem, jak się poznaliśmy, ja i Dan, opowiem również, jak przyszedłam do Dana tamtego deszczowego wieczoru, w zabłoconych bucikach i zachlapanym płaszczu, z opuchniętymi od płaczu oczami i powiedziałam mu, iż u mnie w domu wszystko jest takie wstrętne i obrzydliwe, że nie sposób tam dłużej pozostać. Zacinając się raz po raz mówiłam długo, pewnie trudno było mnie zrozumieć, rozumiał jednak wszystko, całą tę historię i to, jak dotąd żyłam w domu — dawniej ani słowem nie wspomniałam o tym, nie skarżyłam się, a tamtego wieczoru zrozumiałam wreszcie, że jest na świecie tylko jeden człowiek, któremu można to wszystko opowiedzieć — dlatego przyszedłam do niego.

— Uspokój się, chcesz, zrobię ci kawy. No, uspokój się, słyszysz?

Uspokoić się nie mogłam, wciąż pochlipywałam i opowiadałam chaotycznie i bez wszelkiej logiki, jaki wszystko miało przebieg i dlaczego mogło się tak stać.

Dan zagotował kawę, przyniósł mi swoją piżamę, żebym się przebrała, bo dobre dwie godziny błąkałam się na deszczu, zanim się zdecydowałam przyjść do niego późną nocą — piżama leżała na stole, dotąd się nie przebrałam, kawa stygła w małej filiżance, Dan stał oparty o futrynę drzwi i słuchał paląc papierosy — ma taki zwyczaj, słucha stojąc tak oto przy drzwiach i pali jednego papierosa po drugim, aż zaczyna mi się męcić w głowie od dymu.

... Mama stała na środku pokoju i uspokajała mnie nieporadnie: Córku, co robisz, jak ci nie wstyd, czyż można tak rozmawiać z tatą? — i płakała, po jej policzkach toczyły się farbowane łzy. Wasyl Petrowycz,

mój rodzony ojczulek, spróbował mi wytłumaczyć to samo w inny sposób — wymierzył nie okazującej mu szacunku córce policzek i teraz siedział zamknięty w swoim pokoju. Stałam przed lustrem i patrzyłam na ślad jego ręki na policzku. Dłoń odcisnęła się cała, z wypukłościami żółtawych odcisków i wąskimi liniami, z których cyganki wróżą przyszłość za pięćdziesiąt kopiejek.

Mama płakała i przyszło mi nagle na myśl, że rzeczywiście nie trzeba było nic mówić, jestem winna, bo zepsułam mamie wieczór, przecież zaledwie pół godziny temu śmiała się i była wesoła; jeżeli sama spokojnie i obojętnie reaguje na obrazę i poniżenie, to po co się właściwie wtrącam? Ślad dłoni na policzku robił się coraz wyraźniejszy, wyglądał jak fotograficzny negatyw. Cóż, jeden bity wart jest dwóch nie bitych, a tatuś Wasyl Petrowycz już niejednokrotnie wychowywał mnie w taki sposób — można za mnie dać już dziesięciu nie bitych, wychowano mnie na wartościowego człowieka...

Plecy mamy ciasno opięła moja sukienka, moja jedyna odświętna sukienka, pantofle na nogach mamy też są moje — trochę są za ciasne, mama wyciągnęła nogę, poruszyła palcami, taki zwyczajny jest ten ruch, patrząc na taki ruch nie sposób wprost uwierzyć, że bywają na świecie straszne awantury rodzinne, dramaty, nawet tragedie. Pół godziny temu mama wybierała się do teatru, namówiłam ją, żeby włożyła moją sukienkę, bo jej suknie są wszystkie szare i wyblakłe, jak dni powszednie mamy, a nie wypada iść do teatru w czymś takim szarym.

Mama ruszała stopą, pytając mnie:

— Napijesz się herbaty? — i pociągnęła nosem jak dziecko po płaczu.

— Nie, nie mam chęci — powiedziałam; ale mama

nalala dwie filizanki, posmarowała chleb masłem — to dobrze, że nie odechciało się jej jeść kolacji, była zresztą przyzwyczajona do kłótni w naszym domu i chyba jeszcze sobie w pełni nie uświadomiła, że ta kłótnia trochę się różniła od poprzednich.

Ci dwaj mężczyźni pojawili się cztery dni temu i mama — Och, Wasylu! — spojrzała na tatę, czy wolno jej się cieszyć, bo już się bardzo ucieszyła, co od razu zauważyłam, nawet policzki jej się zaróżowiły i wyglądała cała jak kryształowy kielich z czerwonym winem.

W kuchni od razu zapachniało rumianymi bułeczkami i pieczoną w cieście kaczką. Wasyl Petrowycz nie poskąpił tym razem grosza, wyjął całą garść pieniędzy, nie licząc ich (potem zapyta mamę, gdzie się podziała jego krwawica), bo jak je liczyć w obecności przyjaciół z frontu, skoro po tylu latach wreszcie raz przyjechali. Od razu wyłożył całą tę garść rublówek i dziesięciurublówek, niechaj wiedzą, jak Wasyl Petrowycz przyjmuje przyjaciół — a mama też nie liczyła i na wszystko się zgadzała, była od rana do wieczora na nogach, i dusiła się pieczeń, rumieniły bułeczki, mama kupiła nawet nową serwetę i kwiaty. Obie zostałyśmy wpuszczone do należącej do taty połowy mieszkania — w dni powszednie muszę pytać, czy mogę pograć na fortepianie, który stoi w pokoju ojca — siedzieli wszyscy przy stole, wspominali front i wojnę, i gdybym nie znała Wasyla Petrowycza, nie widziałam go w innych chwilach życia, może bym nawet pomyślała, że to cudowny, dobry i dzielny człowiek, który potrafi nawet sympatycznie żartować, i może trwałabym w tym przekonaniu, bo zdobył się nawet na miłe spojrzenie rzucone w stronę mamy, kiedy jego koledzy przypomnieli, jak mama pewnego razu pościła, co się dało, z kartoflanych obierzyn

i zgotowała z tych resztek jakąś strawę z konopianym olejem, wprost pyszności, a teraz była kaczka i wino, tata ogryzał kacze udko i łaskawie wspominał jadło z kartoflanych obierzyn. Na ścianie wisi fotografia z czasów wojny: mama i Wasyl Petrowycz, oboje w płaszczach wojskowych, chciałabym ich widzieć wtedy, na przykład na przeprawie, kiedy forsowano Dniepr, bo przepawili się jako jedni z pierwszych. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak się to wszystko odbywało. Musieli wtedy być zupełnie inni — ta para dzisiejszych zwyczajnych ludzi u siebie w domu, Wasyl Petrowycz ogryzający kacze udko i mama w pantoflu na jednej nodze, godząca się pokornie ze wszystkim na świecie, i tamci w wojskowych płaszczach, odważni — czy tak być powinno? Ależ jak mogła się dokonać w ludziach taka straszna przemiana i czy ci dwoje teraz, gdyby tak się złożyło... Aż mnie zgroza ogarnia na tę myśl, bo znaczy to, że wcale nie wierzę w swoich rodziców, którzy byli chyba kiedyś pięknymi i odważnymi ludźmi, mają odznaczenia bojowe, tata — nawet wysokiej klasy — i tak mile patrzą na świat z tej fotografii zrobionej dawno, w czasie wojny...

Teraz, już z pewnego czasowego dystansu, próbuje sobie wytłumaczyć, jak do tego doszło. Jak się to stało, że wyrzekli się siebie, tych swoich sympatycznych, szczerych i dobrych twarzy? Ta para, ci młodzi ludzie w płaszczach wojskowych chyba nie poznaliby siebie w tych dzisiejszych ludziach, podobnie jak nie poznają ich ja porównując z tamtymi, dawnymi. Teraz myślę sobie tak: Wasyl Petrowycz pewnie zdecydował, że wszystko, czego dokonał jest już wystarczające na całe życie, że biorąc udział w wojnie opłacił całą swoją późniejszą egzystencję, nawet przyzwyczaił się powtarzać raz po raz: Ja byłem na wojnie, a co wy, co

wy? — zapominał przy tym, że mama też była na froncie z nim razem. A mama wszystko mu wybaczała, bo pewnie wciąż pamiętała tylko młodego, odważnego kapitana i nie widziała tego zadufanego człowieka, którego ja widzę w swoim ojcu. Pokpiwa sobie tata z jej wyglądu, z jej zamiłowań literackich: Co ty tam wiesz, milcz, będzie tak lepiej dla ciebie i dla wszystkich. W ogóle niemal nie dostrzega jej obecności, a ona tylko się uśmiecha — nie wiem, skąd się bierze ta jej wyrozumiałość? Bo mnie zbrakło wyrozumiałości właśnie owego wieczoru, kiedy goście już odjechali i wraz z ich odjazdem w mamie jakby coś zgasło, już nie promieniowała taką przejmującą radością jak podczas ich obecności, tata zamknął się w swoim pokoju, a ja zastanawiałam się, czy nie zapyta w końcu mamy o resztę z pieniędzy, które dał na poczęstunek.

Kupiłam jeszcze z tych pieniędzy cztery bilety do teatru, żeby poszli wszyscy razem, ale goście musieli jechać, mama myślała, że pójdzie z tatą i ubierała się, śmiała się nawet i cieszyła, ale już nie tak pogodnie jak wczoraj, kiedy w domu było ludno i gwarno.

I wtedy wszystko to się stało: tata wyszedł z pokoju i swoim zwyczajem przyjrzał się mamie krytycznie, wsunąwszy rękę do kieszeni, pochrzäkując uderzył kilka razy końcem buta o podłogę i wreszcie powiedział:

— Nigdzie nie chcę z tobą iść, kochaneczko. Gdyby chłopcy zostali, niechby już tam, mogłabyś być obecna. Ale we dwoje — przypatrz się tylko, do kogo jesteś podobna, moja droga! Źle ucharakteryzowany kłown, nic innego!

Powiedziałam wtedy:

— To podłość, Wasylu Petrowyczu, to podłość i hańba obrażać człowieka, który ci poświęcił całe życie,



i jeżeli w tej chwili nie przeprosisz mamy, to... to...  
Do końca życia będę cię uważała za nikczemnika!

Tata zapalił papierosa, potem go odrzucił i powiedział:

— Mało mnie interesuje, za kogo mnie uważasz, ale skoro sobie pozwalasz na głos wypowiadać takie mądrości, muszę ci podziękować.

Spokojnie, nawet jakoś z zastanowieniem podniósł rękę i uderzył mnie.

Mama potem powiedziała, że wszystko byłoby dobrze, ubłagałaby Wasyla Petrowycza, żeby poszedł do teatru, i wszystko byłoby dobrze... Rzeczywiście, lepiej już być nie mogło!

Może nie jest to rzeczywiście taka ciekawa i ważna historia — różne rzeczy dzieją się za setkami, za tysiącami zamkniętych drzwi w dużym mieście, ale dla mnie to rodzinne wydarzenie znaczyło bardzo wiele, gdyż owego wieczoru wszystko stało się dla mnie jasne, wszystko ujrzałam we właściwym świetle. Wiedziałam, że jestem obca w ojcowskim domu, obca i niepotrzebna, bo nawet mama mnie nie zrozumiała i wyrzucała mi mój „dziki wybryk”, a już potem, kiedy odeszłam z domu, została i tak z ojcem, wszystko mu przebaczyła, a do mnie żywiła urazę. Owego wieczoru tłumaczyła mi rozgoryczona, pijąc trzecią filiżankę herbaty z konfiturą, że człowiek musi płacić za każdą chwilę radości. Może jest tak rzeczywiście, ale nie zauważyłam, niestety, prawdziwej radości w życiu mamy i nie wiem, za co płaciła — chyba za coś, co działo się kiedyś dawniej, kiedy mnie nie było, czego nie mogę pamiętać.

Opowiadałam to wszystko Bohdanowi, siedząc u niego w kuchni, on zaś stał oparty o odrzwia, palił i słuchał, ściskając papierosa w ustach, które, mimo że zacisnięte, wydawały się czułe i dobre, a mnie nagle za-

kręciło się w głowie, wszystko przesunęło się, rozsypało, poczerniało — była wojna i mój tata takimi samymi czułymi ustami całował mamę, a oto teraz przemówił do niej...

— Pozwól mi się przez kilka chwil zastanowić, żebym mógł się wypowiedzieć po ludzku — powiedział Bohdan, i od razu wiedziałam, co mogło mu przyjść do głowy. Oczywiście, ułożył to swoje szczególne zdanie, które uważał za odpowiednie w takiej chwili, ale wiedziałam już bez tego zdania i zgodziłam się z góry ze wszystkim, co powie, myślałam przy tym, że może mama też tak się niegdyś zgodziła z góry ze wszystkim, co miał powiedzieć mój tata — ale nie, ze mną pewnie było i będzie zupełnie inaczej...

— Słuchaj, sformułowałem właśnie swoją ważną propozycję. Pewien młody człowiek bez zawodu, ale z ambitnymi perspektywami na przyszłość, jakkolwiek nie może jeszcze utrzymać ciebie i siebie, gdyż jego stypendium wynosi cztery i pół dziesiątki, ofiaruje ci rękę, serce i dach nad głową w domu swego ojca. Jedno wie z pewnością ten pewny siebie student — ojciec nie odmówi nam błogosławieństwa, jeżeli się pobierzemy...

Przez ten czas, kiedy Anhelina rozpamiętywała to wszystko, podchodziłam już wraz z aktorem do domu Żuryłów.

### **Powiedziałam:**

Ten nowy dom na końcu Grodeckiej — właśnie tam mieszka mój bohater. Widzi pan, wprowadził wóz do garażu, zostawmy mu trochę czasu, żeby się umył i chwilę odpoczął, może nawet włączy telewizor i zdecyduje, czy warto obejrzeć dzisiejszy program wieczorny. Dajmy mu na to trochę czasu. I niech pan otuli szyję szalikiem, bo wieje tu wiatr, a postoiemy

z piętnaście-dwadzieścia minut. Wie pan, z początku, kiedy się poznałam ze swoim bohaterem, było mi szczególnie trudno wniknąć w całą jego sytuację życiową, a kiedy pytałam, zbywał mnie zwykle jednoznaczными, obojętnymi frazesami i to nie tylko dlatego, że jego zdaniem nic w jego życiu nie zasługuje na czyjeś zainteresowanie. Nigdy nie dawał po sobie poznać niezadowolenia z mojej upartej, wprost nieprzyzwoitej ciekawości, ale jednocześnie ani myślał ją zaspokoić. Delikatnie i bardzo taktownie dawał do zrozumienia, że w końcu nikt nie ma prawa tak się dobierać do czyjejś duszy i badać przyczyny postępków człowieka, by ustalić, co mu kazało powiedzieć „nie”; ale nie przerażało mnie to wszystko, nie żałowałam, że towarzyszę mu tak nieodstępnie i natrętnie, gdyż postanowiłam nie tylko dowiedzieć się o nim jak najwięcej, lecz również zrozumieć.

**Aktor:**

A prawdę mówiąc: udało się to pani?

**Przyznałam się:**

Nie, niezupełnie. Dlatego właśnie szukałam aktora, by go obsadzić w roli mego bohatera — skoro już się pan podjął tego zadania, musi pan wiedzieć: chcę, żeby mi pan właśnie dopomógł zrozumieć go w całej pełni.

**Aktor:**

Właściwie też mi na tym zależy — chcę zagrać bohatera, którego nie sposób zrozumieć od razu, bo przecież zawsze muszę poprzestawać, jeżeli nie na schemacie, to na jakiejś jednoznacznej masce, stałej masce, do której wystarczy dodać ze dwa nowe rysy, by z całym uzasadnieniem oświadczyć: oto nowy bohater, zupełnie nowa rola. Jeżeli o to chodzi — chętnie grałbym tę samą rolę przez całe życie, ale rolę

takiego człowieka... słowem, takiego bohatera, który byłby do pewnego stopnia zagadką, żeby na każdym spektaklu rozwiązywać ją, odcyfrowywać, niejako na nowo odnajdywać i obmyślać. Żebym mógł jednocześnie być nim i nie być, żeby ten, co obserwuje moją grę, widział — mój bohater jest oto taki, bo tak go zrozumiałem, ale poza moją koncepcją roli jest jeszcze nowa przestrzeń i nieskończoność, możliwość odkrycia nowych prawd i myśli w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdzie bohater.

#### **Zgodziłam się z nim:**

Tak, może rzeczywiście dlatego go nie odstępowałam, bo jest w tym człowieku to, o co panu chodzi. Ale co innego — odczuwać samemu, i co innego — przekonać kogoś jeszcze...

#### **Aktor:**

Znowu to samo — szukała mnie pani, bym jej dopomógł przekonać innych, że pani bohater jest człowiekiem zasługującym na zainteresowanie.

#### **Ucieszyłam się:**

Prowadzimy teraz rozmowę w zupełnie innym tonie niż na początku. Nabraliśmy do siebie zaufania, chyba przyjrzeliliśmy się już sobie trochę i nikt z nas nie zamierza rezygnować z tej, powiedzmy, współpracy. Irytował mnie początkowo pański ton i cytaty ze znanych i nieznanym autorów. Pomyślałam nawet, że bardziej odpowiadałaby panu zupełnie inna rola, rola kogoś będącego zaprzeczeniem mego bohatera.

#### **Aktor:**

Znalazła pani dobry sposób, żeby wytłumaczyć aktorowi, jak się zbliżyć do bohatera — w pewnym stopniu muszę się stać jakimś antyją, tak? A czy nie uważa pani, że w pani bohaterze może się dokonywać jakieś rozdwojenie?

### **Roześmiałam się szczerze:**

Pozna go pan lepiej i sam zrozumie.

Pojechaliśmy windą na siódme piętro. Znałam to mieszkanie nawet lepiej niż swoje własne. U siebie w domu nie zawsze znajduję jakąś potrzebną mi rzecz, bo rzuciłam ją gdzieś na szafę, czy do jakiegoś kąta, tutaj zaś orientowałam się o wiele lepiej. Wszystko było tu poukładane starannie i jakby na zawsze. Każdy przedmiot miał swoje miejsce, nienaruszone i dobrze widoczne — wiedziałam nawet, o ile minut śpieszy się w tym domu budzik: znałam siedzibę mego bohatera wcześniej, niż się tu znalazłam, przecież sama wywołałam ze swojej wyobraźni to trzypokojowe mieszkanie — nie tak trudno było wyobrazić je sobie z nowymi standardowymi meblami, kupionymi na kredyt, z telewizorem, który został już spłacony, z kilkoma starymi zegarami, szafą biblioteczną i kilkoma dopiero co napoczętymi butelkami włoskiego wermutu i koniaku w barku, ze starym bujakiem; spokojnie i w zgodzie miało tu koegzystować wszystko, co odpowiadało upodobaniom mego bohatera, jego syna i synowej, jakkolwiek mój bohater wykazuje oczywiście więcej pobłażliwości i ustępliwości niż młodzi, pozwala im kolekcjonować te stare zegary, wieszać na ścianach niezrozumiałe dla niego obrazy ich przyjaciół i nagrywać na taśmę magnetofonu, który sam kupił, wcale nie takie piosenki, jakie mu się podobają.

Drzwi otworzył Bohdan. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że go zastanę. Wyliczyłam sobie, że miał być teraz na wykładach w instytucie i trochę się spieszyłam, stanąwszy z nim oko w oko. Ale trzeba się było dostosować do okoliczności.

Syn mego bohatera miał teraz niezbyt życzliwą miłą — gdyby nie fakt, że ojciec zgodził się porozmawiać ze mną, Bohdan chętnie zamknąłby mi drzwi

przed nosem, nawet nie siląc się na tłumaczenie i nie przeprasząc, brakło mu właściwej ojcu tolerancyjności i zrównoważenia, i kompensował ten brak chyba tylko wyraźnym usiłowaniem, by nie sprzeciwić się woli ojca. „Znowu przyszli dokuczać tacie” — mówiło jego spojrzenie, rzekł jednak:

— Proszę bardzo — i dodał: — To do ciebie, tato.

Stali oto twarzą w twarz — mój bohater i aktor. Co mi da to ich spotkanie, ta dziwna znajomość? Aktora muszę przedstawić jako kolegę, nie mogę przecież powiedzieć, kogo tym razem przyprowadziłam do tego domu, nie pytając o pozwolenie, bez ceremonii. Powiedzieć, że jest to aktor, który chce wystąpić w roli mego bohatera, to postawić Żuryłę w niebywalej sytuacji, jednej z takich, jakich całe mnóstwo już wymyśliłam i wcześniej odrzuciłam.

Jedna z tych wymyślonych sytuacji wydaje się trochę melodramatyczna, ale muszę się sama sobie przyznać, że najbardziej mi żal rozstawać się z tym właśnie wymysłem, szkoda mi go odrzucić jako niezbyt trafny wariant, jako efektowne, ale zbędne posunięcie na szachownicy:

— Nie odchódź, Fedir. Nie odchódź!

— Co ci jest, Wasyłynko?

— Nie odchódź, bo będę krzyczeć. W sobie samej, nie na głos, milcząco będę krzyczeć, ale tak, że wszystko się we mnie oberwie.

Nigdy jeszcze tak nie było, jeszcze nigdy i ani razu tak nie prosiła, aż go zgroza zdjęła, wstydził się jednak tego strachu i spróbował się roześmiać:

— Dobrze, nie pójdę. Albo ty zostań, nie jedź.

— Nie zostanę.

Fedir zalecał się do dziewczyny wbrew matczynej woli. Matka wybrała sobie na synową Natalię Dziurynkową, dziewczynę o błękitnych oczach i taką ła-

godną, że nie było drugiej takiej na całym świecie. Dawno już sobie umyśliła, że żoną Fedora będzie Natalia Dziurynkowa, ale jemu spodobała się Wasyłyna; wprawdzie sierota, dumna była jednak i harda, chodziła z Fedorem jakby mu robiła łaskę, chociaż wiedziała cała wieś — była mu żoną, jakkolwiek wesela jeszcze nie sprawiono.

Przychodziła do chaty i nie patrzyła na Żuryłychę, lecz jakoś przez nią, jakby stara była przezroczyista niby woda w potoku. Patrzyła tak zresztą na wszystkich prócz jednego może Fedora. A kiedy tak patrzyła, Żuryłycha spuszczała wzrok, chociaż baba z niej była twarda — bo kto wie, co ta kochanica syna (nie narzeczona, tylko kochanica, inaczej Żuryłycha nie nazywała w myślach Wasyłyny, która nawet po weselu też zostałaby dla starej tylko kochanką syna) — kto wie, co mogła wyczytać w duszy swoimi ciemnymi i nieprzezroczystymi jak stary miód oczami. Co prawda, z twarzy była ładna, może nawet ładniejsza od Dziurynkowej, którą Żuryłycha chciała jednak wydać ze swego syna, więc w Wasyłyńie wszystko jej zdaniem było brzydkie: i te urokliwe, ciemne oczy, i szczupła, niewysoka postać, i lekki chód — wydawało się, że nie idzie sama, tylko wiatr ją niesie.

— Alboż to żona dla takiego chłopaka, jak ty? — mówiła stara. — Jak ptak wygląda, oskubany i mokry ptak, Boże, bądź miłościw! Ale jeżeli chcesz, niech ci będzie. Jak chcesz. Jedno ci tylko powiem: wpuściła cię Wasyłyna, chociaż nie jest ci jeszcze żoną, lekko jej to poszło — pilnuj jej teraz, żeby tak samo lekko nie przytrafiło się jej z kimś innym.

— Milczcie, mamó, niech to was nie obchodzi, to moja rzecz, niczyja więcej!

— Wyjedziemy stąd, wyjedziemy do miasta, Wasyłyńko — Fedir mógł ją wziąć na ręce i kołysać jak

dziecko, czarna chustka w czerwono-białe kwiaty, z długimi frędzlami przykrywała ją niemal całą.

— Do miasta?

Na ich weselu przygrywać będą skrzypce, cymbały i bęben, najlepsi w okolicy muzykanci, na sto weselisk tylko raz przygrywa taka muzyka — stary wuj Wasyłyny grał na skrzypcach, a dwaj jego tak samo starzy druhowie też obiecali zagrać na weselu Wasyłyny; więcej już nigdy grać nie będą, zarzekli się, bo starzy już są, zginą wraz z ich muzyką trzy radości, trzy smutki, trzy nadzieje i trzy dusze — skrzypce, cymbały, bęben.

— Pojedziemy, do miasta pojedziemy, Wasyłyno — obiecywał czy prosił Fedir, kryjąc twarz w dłoniach Wasyłyny, rozplatając jej warkocze i ściągając z niej chustę.

— Nie pojedę, zostanę tutaj. Ty — jak chcesz, a ja zostanę. Fedir chwycił Wasyłynę za ramiona, jakby zamierzał zabrać ją z sobą wbrew jej woli:

— Nie pojedziesz? Przecież wiesz, że związałem się już z miastem na śmierć i życie, już mi sądzone tam być i nie ma na to rady — musisz tam być ze mną.

— Nie muszę. Będę tutaj. Chcesz — to wróc, nie chcesz — jedź, ja będę tutaj, nie trać ani sił, ani słów, nigdzie z domu nie pójdę.

— Może nie od razu, bo teraz trzeba by wynająć mieszkanie, ale wkrótce będziemy mieli swoje. Urządzisz tam wszystko, jak zechcesz; co zechcesz, postawisz, będziesz gospodarować, dobrze?

Zamknęła mu usta gorącymi pocałunkami. Chodzili kochać się do lasu, w którym rosły same buki, i tylko drzewa ich widziały. Fedir dotykał wargami jej szyi, gładkiej i świeżej jak młode listowie.

— Wiesz, za każdym razem, kiedy się rozstajemy, czuję się tak, jakbym się oderwał od ciebie, odłamał



— łamie się tak żywe drzewo na dwie części, do korzenia. Kiedy żyję w mieście, to wrywam się do ciebie, ale chcę być także tam. Nie gniewaj się, Wasylyno, sama jesteś winna — Fedir nie mógł zrozumieć dziewczyny, nie pojmował, dlaczego nie chcę z nim jechać, mimo że go kocha. Próbował wniknąć w tę mieszaninę uczuć i pragnień — swoich i Wasylyny, wiedział, że można kochać jak własną duszę to wszystko, co on sam porzucił, ale chciał, żeby Wasylyna tak samo kochała to, co mu było drogie tam, w mieście. Dzielił swoje uczucia między miasto i Wasylynę — więc może z nią działo się też coś podobnego? Żuryło usiłował zrozumieć ją i siebie, ale wysiłek ten był daremny, wszystko było wciąż po staremu. Nie zawsze tak się układało, że przyjeżdżał na wieś. Czasem Wasylyna pojawiała się w mieście, niespodzianie, bez uprzedzenia i wtedy doznawał takiej radości, że gotów był nawet tutaj, na środku ulicy, jak w bukowym lesie chwycić dziewczynę na ręce i krzyczeć wszystkim, żeby się przyjrzeni, jaka ładna jest jego Wasylyna. Była rzeczywiście niezwykła i niespodziewana jak jej przyjazd. Czarna chustka z frędzlami pokrywała małą jasnowłosą głowę, oczy i usta były dobre i wilgotne, jakby dopiero co umyła się przy źródle, szorstka dłoń ujmowała po dziecięcemu jego rękę — ludzie oglądali się za nią, mimo że nie malowała ust i nie była modnie ubrana.

Śmiała się — tylko on jeden na świecie wiedział, jak Wasylyna umie się śmiać, bo zwykle uśmiechała się jedynie nie rozchylając warg. Przy nim śmiała się tak, że na szczupłych policzkach znaczyły się podłużne zmarszczki, a oczy mrużyły się i robiły takie wąskie, że widać było tylko ich blask.

Chodzili całą noc do świtu po mieście, a potem Wasylyna wyjeżdżała, zostawiwszy mu świeżo uprane ko-

szule, jabłka, suszoną kalinę, domowe ciasto, którym częstował potem chłopców w fabryce, a ci wiedzieli od razu, że przyjeżdżała jego Wasyłyna — taka tajemnicza i dziwaczna, nikt z nich nie widział jej nigdy. Gdyby nie te jabłka i ciasto, pewnie by powątpiewali, czy rzeczywiście istnieje ta Wasyłyna.

W ciągu nocy nie udawało się im opowiedzieć sobie wszystkiego, chociaż mówili o wszystkim: on opowiadał jej o swojej pracy i próbował wytłumaczyć, że jest to rzeczywiście najlepsza na świecie praca. Wasyłyna nie spierała się z nim, godziła się nawet, że miasto jest ładne, zwłaszcza o świcie, kiedy bywa takie ciche jak dziecię w kołysce i mgła się nad nim unosi leciutka niby oddech, a ulice wprost się wspinają na wzgórzach i tak się przy tym wydłużają — i jego praca też jest cudowna. To dobrze, że jest z niej zadowolony. Wasyłyna odjeżdżała, a Fedir przypominał sobie, co mu opowiedziała: na tej jabłonce, co ją posadził, pojawiły się w tym roku dwa jabłka, tylko dwa, małe i twarde, a stara stodoła jej wuja skrzypka, której zrab liczy sobie ze dwieście lat, wypełniona jest całą jabłkami i pachnie jabłkami. Wujek układa je jedno przy drugim — trzyma takie jabłko w ręku niczym słońce — i częstuje nimi każdego, kto zajrzy do jego obejścia.

Stodoła spaliła się później. Buchnęła płomieniem, jak stóg siana, sucha i pachnąca jabłkami, spaliła się razem z nimi. Wuj wiedział, kto ją podpalił, i Wasyłyna się domyślała, ale nikomu nic nie mówili, bo i po co? Podpalacz był stary, jeszcze starszy od wuja, a żywił do niego starą nienawiść, zatwardziałą jak odcisk. Przyczynę tej nienawiści wujek znał — podpalacz mścił się na nim dopiero teraz, że niegdyś ładna dziewczyna nie wyszła za męża za niego, tego podpalacza, tylko za wuja Wasyłyny, mścił się za to, że jego

własne jabłka pogniły i pomarszczyły się, że zniszczył się bęben, kiedyś taki duży i ładny. Spalił za to stodołę, po której zostało we wsi wspomnienie i zapach jabłek, a wuj nie wskazał podpalacza, i mimo że cała wieś domyślała się, jak to było, wszyscy milczeli, bo milczał wuj Wasyłyny i w ogóle po co mieliby mówić?

Różności opowiadała Wasyłyna, także o swojej robocie na wsi, ale ani słowem nie wspominała matki Fedora. I także tego, że jak się jej czasem wydaje, matka śledzi każdy jej ruch, słowo, spojrzenie, jakby chciała ją przyłapać na czymś złym, by potem ciesząc się w duchu, powiedziec złośliwie: A widzisz, synu, mówiłam przecież, a teraz masz, masz, przekonaj się, że trzeba było słuchać matki.

— Nie odchodź, Fedir, nie odchodź.

— Co ci jest, Wasyłyno?

— Nie odchodź, bo będę krzyczeć, w sobie samej, nie na głos, będę krzyczeć, ale tak, że wszystko się we mnie oberwie.

Nigdy jeszcze tak nie prosiła, aż zgroza go zdjęła, wstyd mu się zrobiło jednak tego strachu i spróbował się roześmiać:

— Nie pójdę jeszcze. Albo ty zostań, słyszysz, Wasyłyno?

— Nie.

Nie trzeba było słuchać tego upartego „nie”, lecz wziąć ją na ręce i zanieść z powrotem do miasta mimo jej oporu, trzeba było zatrzymać ją pieśczołą, gniewem, przemawianiem do rozsądku i nie wypuszczać z rąk, niechby się opierała, wyrывała, płakała. A może trzeba było pojechać z nią razem. Wskoczyć do autobusu i pojechać?

Kto wie, co trzeba było zrobić. Gdyby nawet wiedział, i tak chyba nie potrafiłby tego zrobić. Albo nie zechciałby: jeżeli nie została z własnej woli, to co —

czyż można ją związać? A może zresztą chciała, żeby ją związał?

O zmroku przychodził najładniejszy we wsi parobczak i zaglądał w okna chaty. Wieś o tym wiedziała i wiedziała Wasyłyna, ale firanek nie zasuwiała. A w dzień zaczepiał ją ze śmiechem:

— Dobrze ci się wiecie, Wasyłyńko: masz narzeczonego i nie masz!... Przykryj, kochaneczko, kolana, bo jak widzę te twoje białe kolana, to wydaje mi się, że jak ta rusalka nad wodą idziesz przez wieś, samymi tylko włosami przykryta.

I szeptał prosto w twarz:

— Otworzysz mi, Wasyłyńko? Kiedy mi otworzysz? Czego się boisz, czego się opierasz? Przecież i tak otworzysz!

Uderzyła go na odlew w twarz, a chłopak się śmiał:

— Kocham cię, Wasyłyńko! Gdybyś mi otworzyła, to bym cię nie pokochał, ale tak — kocham!

Wasyłyna czuła na sobie jego spojrzenie i spojrzenie matki Fedora. Ta matka widziała Wasyłyne nawet wtedy, kiedy nie mogła jej widzieć, czatowała na nią i jakby zaklinała: Upadnij, upadnij, musisz upaść, nie może być, żeby nie stało się tak, jak mówiłam!

A kiedy nocą wiatr świszczwał w kominie, Wasyłyna słyszała szept tego chłopaka:

„Otwórz. Słuchaj, przecież otworzysz, czyż potrafisz być sama? Więc czyż nie wszystko jedno — dzisiaj czy jutro?”

„Odejdź, jak ci nie wstyd?” — walczyła z tym szepem, ale chłopcu rzeczywiście wstyd nie było, śmiał się:

„A tobie wstyd nie było, kiedy chodziłaś z Fedorem do lasu, ślubu z nim nie mając? Nie było ci wstyd? Więc skąd ten wstyd teraz wzięłaś?”

„Wynoś się, słyszysz! Zostaw mnie w spokoju, wynoś się!”

„Dobrze już, dobrze, pójdę. Pójdę, ale wiem, że się w końcu doczekam. Sama wiesz, że się doczekam — a jeżeli tak już chcesz udawać cnotliwą, to pobaw się trochę, rozumiem, że chcesz się pobawić, byle nie za długo, Wasyłynko.”

„Ty pijaku, nikczemniku, nie zbliżaj się więcej do mnie!”

Przed Nowym Rokiem stara Żuryłycha oczekiwała syna na przystanku autobusowym. Do domu był spory kawał — wieś leżała z dala od traktu — Fedir chętnie pobiegłby, żeby prędzej zobaczyć Wasyłynkę, ale matka szła powoli, ciężko dyszała i często przystawała, żeby odetchnąć i odwrócić się plecami do hulającego na dworze zimnego wiatru.

— Po coście wyszli do autobusu, matko?

— Chcę cię zapytać... Rzeczywiście myślisz ożenić się z Wasyłyną?

— Przecież wiecie to od dawna! Czy warto było iść przez pole, żeby o to zapytać? — roześmiał się Fedir.

— Powiedziałam ci kiedyś, że lekko jej poszło zadać się z tobą i lekko będzie zadać się z innym. Cemu nie chce jechać do miasta — pytałeś jej?

Fedir milczał.

— Bo chodzi tu jeden pod oknami — i latem chodził, i jesienią, a teraz na śniegu lepiej widać ślady — mówiła stara, wierząc w to, co mówi.

— Milczcie, mammo.

Wasylyna patrzyła na Fedora z ciemnej głębi niezrozumienia tak, jakby znalazła się gdzieś na samym dnie rzeki, a on pochylał się nad nią. Na mrozie wargi jej spierzchły i popękały, między pęknięciami znaczyły się kropelki krwi i Fedir poczuł, jak jego ręka wprost unosi się sama, żeby dotknąć tych warg. Opuścił jednak rękę, w oczach Wasylyny zamigotało zdziwienie, patrzyła na Fedora spodziewając się pieszczoty, on

zaś nie mógł już wytrzymać milczenia, musiał coś powiedzieć, ale milczał mimo wszystko i nie patrzył już na dziewczynę. Wasylyna też nie otwierała ust — chciała zapytać: co ci to, Fedir, czemu nic nie mówisz? — nie zapytała jednak.

W końcu odezwał się:

— Czy to prawda, co mówią ludzie? Puszczasz do siebie chłopców na noc, żeby ogrzali biedną sierotkę? Czy dlatego nie masz chęci jechać do miasta? — powiedział to wszystko i gdyby mógł, zasłoniłby sobie usta dłonią, gdyby zastanowił się bodaj chwilę, nic by nie powiedział, ale skoro słowo już się rzekło, za późno było żałować tego.

— Więc tak, Fedorze — nie wierzysz mi. A dlaczego? Nie, nie mów nic, jeżeli nie wierzysz, to o czym będziemy mówili? Czy może chcesz coś ode mnie usłyszeć? Ani słowa już nie usłyszysz, Fedorze. Cały świat nic nie jest wart, jeżeli już mi nie wierzysz.

Wasylyna milczała i Fedir usłyszał wtedy, jak krzyczała: nie na głos, milcząco krzyczała, aż rozrywało się całe jej wnętrze. Chętnie zatkałby sobie uszy, ale pewnie słyszałby ten krzyk mimo wszystko. Co właściwie krzyczała?

Otworzyła usta, jakby wreszcie postanowiła coś odpowiedzieć Fedorowi, czy krzyknąć w końcu na głos, i gdyby krzyknęła, Fedir chwyciłby ją na ręce, pieścił i całował, nie wierzyłby nikomu i niczemu, tylko jej oczom i pocałunkom, słuchałby jej słów — milczała jednak. Poruszyła tylko wargami i patrzyła na niego — wprost na niego i jednocześnie przez niego i obok niego, gdzieś w dal — już na zawsze bez niego...

Aktor, przygarbiony, wciśnięty w fotel, podobny był do ptaka czatującego na zdobycz — oczy patrzyły bacznie, powieki opuszczały się ciężko, jakby się nie wyśpał lub długo przebywał na wietrze. Niedawno jesz-

cze wydawało mi się, że mógłby może wystąpić w roli mego bohatera, ale teraz wrażenie to znikło i żalowałam już, że przyprowadziłam tu nieznanego człowieka, który zaledwie pół godziny temu przypominał mi smarkacza popisującego się z próżności swoją erudycją, potem kogoś podobnego do mego bohatera, a w tej chwili — zmęczonego staruszka nie mającego pojęcia, po co znalazł się tutaj w naszym towarzystwie.

— Wszystko to nieprawda — powiedział aktor z rozczarowaniem. — Wszystko to — o kimś innym.

— Pewnie, że wszystko było inaczej, od początku inaczej — przytaknął mu Żuryło.

Sama wiedziałam, że to nieprawda, że jest to zupełnie inny Fedir, ale przecież mogło mu się również przydarzyć coś podobnego? A może dlatego nieprawda, że zachowały się zupełnie inaczej?

Cieszyło mnie zawsze, że nawet w czterech ścianach nie czuje się skępowany, starczy mu przestrzeni, jakby znajdował się stale gdzieś w polu. Mówił nawet tak, że od jego słów załatywało chlebem, dopiero co upieczonym, gorącym żytnim chlebem, wzrostu jest wysokiego, w ogóle jest jakiś duży i mimo to nigdzie mu nie ciasno, przedmioty wydają się przy nim małe i niepokazne i stąd wrażenie, że dokoła jest dość przestrzenie, by mógł się swobodnie poruszać nawet w małym pokoju, gdzie stoi sporo mebli i rozsiadło się wygodnie dwoje gości — Bohdana na razie tu nie było, wyszedł do sąsiedniego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Fedir Żuryło wyrzekł te słowa trochę speszony, jakby mu było nieprzyjemnie przyłapywać mnie, powiedzmy, nie na kłamstwie, ale mimo to na wyraźnym odstępstwie od faktów.

— Nie tak to wszystko wygląda od samego początku — powtórzył i dodał żartem: — Nie było żadnej Wa-

syłny, bo kto wie, gdyby była taka Wasylińska, to może siedziałbym przy niej po dziś dzień, a że pojąłbym za żonę — to już z całą pewnością.

Mówił to ze śmiechem, w którym wyczułam jednak jakąś nutę goryczy, i jak to już nieraz bywało, na chwilę chyba znowu zajrzałam w żywą duszę tego człowieka.

— W rzeczywistości było zupełnie zwyczajnie: tak sobie jakoś wyrozumowałam, że lepiej nie siedzieć na jednym miejscu, lecz zobaczyć świat... A Lwów wydawał mi się wtedy takim końcem świata, że dalej już nie sposób, w dodatku ludzie mnie zapewniali, że można tam znaleźć dobrą i ciekawą pracę, że w fabrykach potrzebni są ludzie — powiedziałem więc matce, że jadę do Lwowa, i pojechałem, jak rzekłem, mimo że mama nie bardzo była z tego zadowolona. Pewnie, teraz to już zwykła rzecz i nikt nikogo za poję nie trzyma, teraz chyba cały świat puścił się w drogę i wędruje bezustannie, ale wtedy — trzeba się było odważyć na taki wyjazd. Musiał ktoś zacząć jako pierwszy, prawda?

Umilkł na chwilę, a potem ciągnął dalej, jakby chciał jeszcze raz wszystko to dobrze wytłumaczyć nie tylko nam, lecz również samemu sobie:

— Potem już pół wsi wyjechało do miasta, tego tylko trzeba było, żeby ktoś wyruszył pierwszy. A przecież wtedy miasto rzeczywiście bardzo potrzebowało naszych rąk — dopiero co skończyła się wojna, zresztą na roli też zostało dość młodych i silnych ludzi; potem już nie było chyba takiej konieczności, żeby ludzie ze wsi wyjeżdżali do miasta, trzeba było raczej, żeby wszyscy co młodszy trzymali się roli, nie bardzo mieli jednak chęć na to i wyjeżdżali teraz nie dlatego, że potrzebowało ich miasto, miasto potrzebne było im... A było to miasto zupełnie inne niż to, co



czekało na nas w swoim czasie, tylko że my nie widzieliśmy innego, więc sądziliśmy, że tak być powinno, zmądrzeliśmy dopiero po pewnym czasie i staraliśmy się sami to i owo przeinaczyć.

Bezustannie mrugając powiekami, teraz chyba jeszcze cięższymi, aktor wcisnął się głębiej w fotel i w milczeniu słuchał, co mówi Żuryło.

A jak wyglądało to wszystko w moich oczach? Czy rzeczywiście było takie proste i nietrudne, jak twierdził Żuryło? Nigdy nic nie wyolbrzymiał, co im się podobało i jednocześnie przeszkadzało, gdyż nie pozwalało przyjrzeć się jego życiu — zresztą, może rozmyślnie tak wszystko obchodził, omijał, żeby nie dopuścić mnie bliżej?

Wasyłyny nie było, rzeczywiście, ale była stara Żuryłycha. Umiała ujeżdżać konie i kiedy jej mąż poszedł na front, tylko ona jedna potrafiła zwabić narowistego ogiera, co dawniej słuchał wyłącznie jego. Wszystko umiała robić i wszystko się jej udawało, aż ludzie pogadywali, że ma ponoć Żuryłycha swego diabła, co jej pomaga. Śmiała się z tego, ale żeby ludzi jeszcze bardziej zaciekawić, malowała na ścianach swojej chaty dziwaczne postaci, wśród których byli wojacy z szabłami, czerwoni, rzeczywiście podobni do diabłów, jakieś wesołe figurki i ładne dziewczuchy w długich spódnicach; Fedorowi długo śniły się potem te ściany i postaci, co jakby poruszały się na nich niczym w kinie.

Żuryło z wojny nie wrócił — przyszło zawiadomienie o jego śmierci i nikt nawet nie widział, czy płakała Żuryłycha, czy nie, bo zamknęła się w chacie na całą dobę, a kiedy wyszła potem o świcie, była taka jak zawsze i jak zawsze zabrała się od razu do swojej codziennej roboty.

Jedno tylko wszyscy zauważyli — kiedy wiosną Żu-

ryłycha znowu malowała ściany w swojej izbie, zupełnie zapomniała o wesołych, dziwacznych figurkach, i izba wyglądała po tym malowaniu jak wszystkie inne w Podhorcach.

Fedir był chłopakiem zdrowym i silnym, tak samo zdolnym do każdej pracy jak matka, ale spokojniejszym, łagodniejszym i bardziej otwartym niż stara Żuryłycha — wdał się pod tym względem w ojca i dla matki było tak lepiej — gdyby miał te same przywary, co ona, byłoby im ciężko we dwoje pod jednym dachem.

Pewnego dnia okazało się jednak, że dobry z natury i łagodny Fedir może podobnie jak matka obstawać przy swoim, żeby nawet grzmiało i błyskało dokoła i zatrzęsała się ziemia.

Do Podhorców przyjechali ze Lwowa — mechanik z fabryki i jego pomocnik, który pracował w tym zakładzie od niedawna. Obaj opowiadali ciekawe rzeczy o Lwowie, mówili, że po okupacji po przedsiębiorstwach pozostały same budynki i trzeba teraz przywozić sprzęt ze wszystkich stron kraju, a mechanik może nawet pojedzie do Niemiec, żeby odebrać, co zostało zrabowane. Ludzie słuchali tego wszystkiego uważnie i z zainteresowaniem, ale kiedy lwowianie zaproponowali im w końcu, żeby pojechali do miasta pracować tam w zakładach, wielu zaczęło patrzeć na nich nieufnie, a rodzice zabraniali chłopakom słuchać tych namów.

Mieszkali goście u Żuryłychy, było w jej chacie tak czysto i przyjemnie, że nikt się nie dziwił, kiedy ich tam umieszczono. Stara przeklinała gości ze Lwowa i w głębi duszy życzyła im szczerze wszystkiego najgorszego: bo przyjechali, spędzili dwa dni w jej chacie, chłopaka zbałamucili i pojechali gdzieś dalej swoim wozem, pewnie żeby w jakimś innym miejscu

zbałamucić czyjeś dziecko i zauroczyć, a matka już nie zazna spokoju, bo będzie musiała zostać sama na gospodarstwie, i ziemię uprawiać, i chatę oporządzać. Gdyby wiedziała, czym się to wszystko skończy, nie wpuściłaby ich do izby, a tymczasem i przenocować w cieple pozwoliła, gotowała obiad i wieczerzę, a na śniadanie nalewała nawet do kubków mleko prosto od krowy, pełniuteńkie nalewała, z wierzchu pianka się zbierała i Żuryłycha patrzyła, jak jeden z tych lwowskich nawet ręce sobie grzał, ściskając kubek z ciepłym mlekiem i pił powoli, tak powolutku, jakby chciał, żeby to mleko nie kończyło się jak najdłużej, i chyba nawet zaglądał do kubka, czy zostało jeszcze trochę na dnie, aż się Żuryłycha rozczuliła i chciała mu dolać, ale pewnie się wtedy zawstydził i powiedział, że nie chce już ani kropli. Tamten drugi wypił od razu, duszkiem i znowu opowiadał Dorkowi o tej swojej fabryce — Żuryłycha z początku tej rozmowy nie słyszała, bo krzątała się przy krowie, wydoiła ją, wypędziła za wrota, żeby pastuch zabrał ją do stada, na pastwisko — dlatego nie wiedziała, od czego zaczęły się te pogaduszki i czemu syn słucha tak pilnie, co mówi ten ze Lwowa. Ten zaś opowiadał, jakie powinny być te zakłady — po dwóch-trzech latach będą oczywiście zajmowały tyle miejsca, że mogłaby się tam zmieścić część ich wsi z chatami i obejściami, mówił, co fabryka będzie wyrabiała i jak ludzie będą się tam uczyli różnych zawodów — Żuryłycha nie bardzo rozumiała i nie miała czasu na słuchanie — ludzie są z miasta, więc je wychwalają, co im tam — pogadają i pojedają sobie, a tu jest tyle do roboty.

Żuryłyszce nawet w głowie nie powstało, do czego ten przyjezdny zmierza, ale kiedy lwowianie wyjechali, zrozumiała, bo Fedir powiedział, że wybiera się do Lwowa, do zakładów.

Okazuje się, że przyjeżdżali ci ze Lwowa namawiać ludzi, a przede wszystkim, rzecz jasna, młodych chłopców i dziewczęta, żeby porzucali swoje domy, odrywali się od ziemi i jechali do Lwowa, do fabryk — a dlaczego nie mieliby w tych fabrykach pracować sami lwowscy ludzie, jeżeli tak tam dobrze? Pewnie nic dobrego tam nie ma w tych fabrykach: swoi nie przychodzą, więc trzeba ze wsi ludzi zwoływać, takich głupców jak ty, synu, bo uwierzyłeś przecież, złakomiłeś się na miejskie dobro i cóż sobie teraz myślisz — że tak mnie samą zostawisz — początkowo Żuryłycha tylko żaliła się i lamentowała, a potem szła do sąsiadów i opowiadała, jacy ludzie są teraz na świecie, bo mogą tacy przyjść do kogoś, do domu, spać na miękkich poduszkach, nawet kozuch podkładała, żeby im ciepło było, a oni...

Nawet do Soroczuczki poszła, mimo że zazwyczaj omijała jej chatę z daleka, bo syn Soroczuczki służył w policji, a teraz gdzieś się ukrywał, został tylko jego płaszcz — Żuryłycha pierwsza we wsi zauważyła, że Soroczuczka zrobiła z tego płaszczka wycieraczki przy drzwiach i pozatykała szczeliny w drzwiach cienkimi paseczkami z poły czy rękawów tego płaszczka. Żuryłycha skwapliwie wycierała zabłocone nogi o te wycieraczki — chętnie nawet spluwała na nie i rozcierała plwociny nogą, żeby Soroczuczka widziała, ale ta chytra baba udawała, że nic nie rozumie, i odwracała latające spojrzenie gdzieś w bok, bo pewnie serce jej się krajało z powodu tego płaszczka tak samo, jak z powodu nędznika syna.

A więc nawet Soroczuczce skarżyła się Żuryłycha, a ta chytra baba tylko obrzucała ją spojrzeniem, ale nie wyrzekła ani słowa, bo kto wie, co kiedy trzeba mówić, jeżeli o świecie jeszcze słyhać wciąż dudnienie

wojny, a na progu leży wycieraczka z policyjnego płaszcza.

Do domu wracała Żuryłycha posępna i zła, dowiedziała się już od kogoś, że we Lwowie teraz straszna zaraza i głód, ludzie boją się nawet przywozić tam mleko nie tylko z Podhorców, ale nawet z pobliskich wsi, żeby się nie nabawić jakiejś choroby albo nie wpaść w łapy rabusiów. Zachowanie matki dziwiło Fedora — nigdy nie biegała do sąsiadów, nie gadała tyle wciąż o tym samym.

— Głupstwa gadacie, mamó. — wzruszał ramionami — kto wam naplótł takich rzeczy? Pewnie jakiś mądrała, co mu się w głowie przewróciło. To prawda, że w mieście trudniej teraz ludziom niż nam, ale widzieliście przecież — obdarci nie przyjechali.

— A któż by obdartusów wypuścił ze Lwowa — posłano ich nie na żebry, a po coś innego! — przerywała Żuryłycha, ale Fedir dowodził w dalszym ciągu:

— Mówicie, że rzucam was na pastwę losu — przecież to nieprawda, słyszeliście, mówili ci ludzie także o spółdzielniach, zresztą — nie wyjeżdżam na wieki... Wzywa się ludzi do miasta, bo sami pomyślcie: wielu nie wróciło z wojny, (wiem, bo do naszej chaty też tato nie wrócił — mówiła matka), niektórzy wrócili okaleczeni, a trzeba przecież przystąpić do pracy i w nowych fabrykach, i w starych...

— Żyliśmy dotychczas bez tych fabryk i będziemy żyli! — upierała się przy swoim Żuryłycha, wciąż jeszcze nie wierząc, że syn wyjedzie; kiedy się już upewniła jednak, że jej nie posłucha, zawzięła się, przestała z nim w ogóle rozmawiać, nic mu nie szykowała na drogę, a ponieważ Fedir też był dumny, nie zabrał z domu ani okruszyny, jak stał, tak pojechał do miasta, a Żuryłycha poczuła jakby kamień na sercu i nawet nie podniosła głowy, kiedy syn powiedział:

— Bądźcie zdrowi, mamó! Nie jestem wam wrogiem i złego nie życzę, a wy — jak sami uważacie...

Nocą, kiedy syn spał, Żuryłycha wstała, zapaliła lampę i osłoniła ją ręką, żeby światło nie raziło syna w zamknięte we śnie oczy. Stała i słuchała, jak oddycha z lekko rozchylonymi ustami, i nie sposób powiedzieć, co szeptała nad synem — czy zaklęcia, żeby nie jechał, czy prośby, czy modlitwy — ale na głos, w dzień nie wyrzekła ani słowa.

— Nic w tym nie ma dziwnego, że ten człowiek nie chce teraz odejść ze swego działu — powiedział aktor, prostując się trochę i zmieniając pozę. — Sam też bym nigdzie nie poszedł.

Wyobrażał sobie Fedir wszystko nieco inaczej. Nie leciał, co prawda, na lekki chleb, wiedział, że nie jedzie na zabawę, tylko do ciężkiej pracy, ale za tą wizją, za przyszłością zakładów, jaką mu zobrazował wtedy w domu mechanik, Fedir nie dostrzegł fabryki dzisiejszej, terażniejszość zaś oddzielała na razie od przyszłości taka przepaść, że nawet największego śmiałka mogło to odstraszyć i odstręczyć.

Mechanik znał swój fach, ale nie było prawie nic, co by służyło do pracy. Już na samym początku wojny faszyci wywieźli z przedsiębiorstwa cały sprzęt, pozostawili je obrabowane i zrujnowane. Można było wyliczać bez końca, czego brak, czego nie ma, i policzyć na palcach, co jest. Zresztą, Fedir Żuryło orientował się bardzo słabo, co jest rzeczywiście potrzebne i czego brak. Widział jednak na przykład sterczące z ziemi popękane i zardzewiałe rury wodociągowe i rozumiał, że trzeba je naprawić i zastąpić nowymi. Właściwie było jedno jedyne pomieszczenie, w którym znajdował się dział główny i naprawczy, gabinety dyrektora i głównego księgowego oraz świetlica. Był jeszcze szyld nad drzwiami, a za fabryką, wzdłuż

czerwonej ściany z cegieł, rosła, nie wiadomo jak tam posiana, stercząca z ziemi gruba, dojrzała marchew. Fedir zastanawiał się, czy powinien podzielić się z kimś tym swoim odkryciem i czy nie będą się śmiać ludzie z miasta, że skusiła go marchew, i mimo to, przewyciężając rozterkę czy nawet wstyd, niemal ukradkiem wyciągał marchewkę z ziemi, wycierał rękawem i jadł. Była soczysta i słodka, ale głód zaspokajała nie na długo.

Mógł pojechać na wieś, poprosić o kartofle i solony ser, przywieźć kawał słoniny. Nie pojechał. Nie mógł. Postanowił sobie, że wróci na wieś, kiedy będzie mógł powiedzieć matce, że fabryka wygląda tak, jak ją sobie wyobraził i jak mu ją opisał mechanik.

Mechanik zmuszony był odrywać się od pracy i wyjeżdżać na wieś — brakło rąk do pracy, a ponadto poprzez młodzież, która przychodziła do zakładów ze wsi, zacieśniała się nowa więź między wsią i miastem, wytwarzał się szczególny, żywy i życiowy kontakt, którego nie zrodziłaby żadna inna siła.

Z mieszkaniem kłopotu nie było, Fedir wynajął w pobliżu fabryki kąt; gospodyni, niemłoda już kobieta, brała za ten kąt niewiele, prosiła tylko, żeby się wystarał o opał na zimę. Fedorowi nie wydało się to takie trudne, więc obiecał.

Zapisywano, komu potrzebne są kartofle na zimę, a o Fedorze powiedziano, że pewnie ich nie potrzebuje, bo przywiezie sobie z domu. Fedir wbił wzrok gdzieś w pułap, pomyślał i powiedział, że rzeczywiście przywiezie sobie z domu.

Miasto było zadziwiające, budziło w nim niepokój, ale pociągało zarazem. Poznawał się z nim powoli, za każdym razem zapuszczając się coraz dalej od fabryki i miejsca swego zamieszkania i odkrywając podczas tych przechadzek nowe dziwa; wszystkie te niespo-

dzianki budziły w nim taką dobrą, na pół dziecięcą ciekawość, że ustąpiła nawet gorycz osamotnienia, którą odczuwał początkowo.

Uczucie to rzeczywiście odstępowało coraz dalej, nie nawiedzało go tak często jak przedtem wieczorami i jeszcze bardziej o świcie, bo przyzwyczajony był budzić się z pierwszym brzaskiem i nie wiedział co począć z tymi wczesnymi godzinami przed pracą — niekiedy leżał i rozmyślał założywszy ręce pod głowę, nienawidząc tego niepotrzebnego próżniactwa rankiem, kiedy na wsi było tyle różnych obowiązków do wykonania, a tutaj nie było nic do roboty.

Dlatego właśnie o tej porze, kiedy szarzało za oknem, kiedy nie mógł zapalić światła i trzeba było tylko oczy sobie wypatrywać, wziął w ręce książkę. Czytał ledwie rozróżniając litery, nie zapalając świecy, podnosząc książkę do samej twarzy i sprawiało mu to jakąś niespodziewaną przyjemność, jak w chwili, gdy odkrywał w mieście jakieś nowe dziwo.

Jeszcze dziwniejsi byli ludzie. Starał się początkowo trzymać na uboczu, z dala od wszystkich — czuł się jakby go trochę oszukano, bo otrzymał coś różniącego się znacznie od tego, co mu obiecano — ale zespół go wciągał. Zespół ten był jeszcze niewielki, pięćdziesiąt sześć osób, w tej liczbie zupełnie młode dziewczyny w wojskowych mundurach, jakby wciąż jeszcze były na wojnie — teraz już nie z nieprzyjacielem, lecz z tą ruiną i biedą, którą nieprzyjaciel pozostawił — wstydził się ich najbardziej, unikał, odwracał wzrok od ich figlarnych i wesołych czasem spojrzeń; dziewczyny były od niego starsze, czuł jakąś dziwną zależność od nich i wdzięczność zarazem, bo przecież to one stały gdzieś między ogniem a nim, stały tam, gdzie on sam nie był, myślał, że musiały bać się śmierci, a teraz pewnie chętnie by się rozstały



z wojskowymi płaszczami i kirzowymi butami, ale nie mogły jeszcze, nie miały w co się ubrać po cywilnemu, jeszcze na to nie zapracowały, pod wojskowymi płaszczami kryła się ich niewypowiedzianie dobra i pragnąca tkliwości dziewczęcość, której nie zabiła wojna i która go też niezwykle niepokoiła. Sam nawet nie dostrzegał, jak rozszerzał się świat wokół niego, jak poznaje i przyswaja sobie nowe pojęcia, a to, co wczoraj było nowe, nazajutrz stawało się już zwyczajne i on sam wymagał już od świata czegoś nowego.

Dziewczęta były wszystkie spoza Lwowa — zostały tu razem, jak razem walczyły i wyzwały Lwów, żeby pracować w fabryce, w której nie było naczelnego inżyniera i kierownika ich działu, w której tokarka, jedna jedyna, jak Robinson Crusoe na bezludnej wyspie, służyła całemu przedsiębiorstwu i jeden tylko mechanik — nawet nie dyrektor — znał całą produkcję.

Dziewczęta posłano na naukę do Moskwy, pisały stamtąd listy, a Fedir w pęsnym milczeniu zazdrościł im, jakkolwiek nie śmiał powiedzieć, że ma również chęć pojechać na naukę. Ponadto brakło mu tych dziewcząt, które były w Moskwie — nie jakiejś jednej z nich, lecz właśnie wszystkich razem, brakło mu ich wojskowych mundurów i drwiąco-figlarnych spojrzeń, pod którymi czuł się jakby młodszy i jednocześnie starszy niż dotąd.

Aktor wodził wzrokiem za młodziutkim Fedorem Żuryłą i zauważyłam wreszcie, że jego leniwe, jak się zdawało, spojrzenie jest jednak chwytniwe i wszystko widzące, że wpija się w najdrobniejszy szczegół i dostrzega zmieszanie Fedora, kiedy chłopak otrzymuje nagle list z Moskwy, patrzy na podpis i w pierwszej chwili nawet sobie dobrze nie przypomina twarzy tej dziewczyny, która podpisała się Raisa Petrowa, jeszcze dobrze nie pojmuje, co mu pisze ta dziewczyna, bo

nie ochłonął po niespodziance; (spojrzenie aktora śledzi Żuryłę), kiedy podchodzi do niego i rozsiada się na przewróconych do góry dnem skrzynkach niejaki Trawianko i rozwija — właśnie jest pora obiadowa — owinięty w papier chleb z kawałkiem apetycznej słoniny. Fedir odwraca się, żeby tamten nie widział, jak łyka ślinę, żeby uwierzył jego zapewnieniom — Fedir nie chce; nie jest głodny, jadł przed chwilą.

— Jak ciepło — przymyka na słońcu oczy Trawianko. — Ludzie kochani, świat jest taki urozmaicony i dziwny...

— Rzeczywiście — ostrożnie potwierdza Fedir, który niezbyt lubi tego człowieka, ale nauczyła go matka i każe mu stary obyczaj rozmawiać ze starszym z szacunkiem.

— Strasznie urozmaicony jest świat i dziwny — powtórzył Trawianko. — Prawda, kochany, że urozmaicony i dziwny... A skąd właściwie jesteś?

— Z Podhorców.

— Masz tatę i mamę?

— Matkę.

— A szkołę skończyłeś, co?

— Sześć klas.

— Uczysz się dalej?

Oczy Trawianki zdają się wydobywać z Fedora jakąś bardzo ważną tajemnicę, a usta wymawiają jednocześnie dziwne słowa, jakby chciały wprowadzić chłopaka w błąd, odwrócić jego uwagę od tego bacznego spojrzenia, więc Fedir nie odpowiada na pytanie.

— Ta-ak, dziwny i urozmaicony jest świat, mój kochany. Mówi się, że jest miłość. Ale inaczej się to nazywa. Nie rozumieją ludzie prawdziwej miłości. Prawdziwa miłość — to Bóg, mój chłopcze.

— Bóg? — wciąż z tą samą uprzejmością pyta Fedir. — A zwyczajna miłość — to co?

— Nie bądź pyszałkowaty i 'hardy, życie nasze ma swój kres. Popiera cię nasz mechanik, Potajczuk, sły-  
szałem, że chce ci we wszystkim dopomóc. Żebyś szedł  
w górę. Bo niby wiejski chłopak, niechaj pnie się  
w górę, żeby było widać, jak się troszczymy o ludzi, co  
przyszli do nas na fabrykę. Myślisz pewnie, że jest  
wszechmocny?

— Jak to, jak? — dziwi się Fedir, nie rozumiejąc  
w swojej naiwności, do czego zmierza Trawianko.  
W ogóle Fedir nigdy nie zauważył nic szczególnego w  
stosunku Potajczuka do niego — był przyjacielski, da-  
wał wiele rad, mówił, że trzeba uczyć się nadal, nie-  
jedno pokazał w pracy — ale czyż to znaczy, że go  
„popiera”? Potajczuk w ogóle odnosi się tak do ludzi,  
taki jest z natury i takie już ma zadanie, obowiązek  
w pracy.

— Zaślepia cię twoja pycha. Przecież nie od Potaj-  
czuka zależy twój los i tak samo nie od ciebie. Czło-  
wiek jest grudką brudnego, marnego prochu, która mo-  
że się rozsypać w każdej chwili. Myślisz o jutrze, ale  
trzeba myśleć o śmierci i wieczności. Słyszałeś kiedyś  
tę pieśń? „Pokój wieczny nastanie i wieczne ucztowa-  
nie, mgła i mrok się rozwieje, chwalebne zabrzmi pie-  
nie...” — cicho zanucił Trawianko. Głos miał niezły  
i Fedir znowu spojrzał mu w twarz ze zdziwieniem.  
Malował się na niej w tej chwili wyraz jakiegoś uro-  
czystego oczekiwania, jakby Trawianko spodziewał się,  
że zacznie się zaraz to „wieczne ucztowanie” i można  
się będzie najeść do przesyty.

Wargi miał Trawianko tłuste, lśniące od przeżutej  
dopiero co słoniny i mimo całego swego szacunku dla  
starszych, Fedir nie mógł się powstrzymać od śmiechu,  
bo jakoś nie pasowało tu jedno do drugiego — te po-  
ważne słowa o Bogu, pieśń o wiecznym ucztowaniu  
i lśniące od tłuszczu wargi.

— Śmiejesz się, chłopcze? — obrażony Trawianko wytarł usta dłonią — śmiejesz się, ale śmiać się — to grzech, zastanowiłbyś się nad tym, co ci powiedziałem, zamiast się śmiać, bo śmiech — to jego sprawa, to robota Złego, chłopcze, więc zastanów się!

— Nie śmieję się, nie myślcie — znowu speszył się Fedir, a Trawianko potrząsnął głową i odszedł, tylko raz obejrzał się jeszcze. Jakiś dziwak — pomyślał Fedir pod baczny spojrzeniem aktora, które towarzyszyło mu również wtedy, kiedy Fedir siedział na pierwszym w swoim życiu zebraniu robotniczym; w świetlicy było duszno od dymu tytoniowego i ciepło, bo ludzie siedzieli ciasno, jeden przy drugim, w okryciach, długo czekali na rozpoczęcie zebrania, i palili, bo nikomu nie chciało się wstać ze swego miejsca i wyjść z ciepłej izby. Oświetlenie było słabe — właśnie wyłączono światło w tej dzielnicy; trzeba było zapalić kilka świec, po których zaczęły niebawem spływać białe, przezroczyste łzy, knoty kopciły, załatywało stearyną i Fedorowi jakoś ni z tego, ni z owego przypominała się cerkiew i matka, on sam jako mały chłopczyk przy jej boku — obejrzał się i zobaczył nie opodal Trawiankę, który mówił coś do sąsiada — ruszały się jego cienkie, rozciągnięte wargi, usta te jakby rozcinały całą twarz. Potem widział Trawiankę na mównicy — Trawianko głosił stamtąd, że wiara w Boga — to zacofanie i ciemnota, a człowiek jest silny i piękny, spoglądał przy tym na salę — Fedorowi zdawało się, że Trawianko patrzy prosto na niego i nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi — czy mu coś wyrzuca, o coś go oskarża, czy milcząco prosi, żeby Fedir nikomu nic nie mówił o ich niedawnej rozmowie o Bogu i „wiecznym ucztowaniu”. A potem znowu zebranie i Żuryło, zaczerwieniony, wzburzony i speszony, stoi już teraz sam na mównicy i nie może rozpoznać ani jednej twa-

rzy przed sobą: nawet miła twarzyczka Raisy, która stara się uśmiechem dodać mu otuchy, zmieszała się gdzieś z innymi, nie widzi jej, jest daleko od niego — Fedir patrzy w kartkę, boi się oderwać od niej oczu, ale mimo że wyteża wzrok, nie rozróżnia liter, które podobnie jak ludzkie twarze zlewają się w szarą plamę, nie przychodzi mu do głowy ani jedno słowo, mimo że od wczorajszego dnia uczył się na pamięć swego przemówienia — napisał mu je kierownik działu, bo upłynęło już dużo czasu i w dziale był teraz kierownik, taki niewysokiego wzrostu, rudawy, mówiący cieniutkim głosem człowieczek, który umiał absolutnie wszystko; tak się przynajmniej zdawało Fedorowi, cieniutki głosik szefa świdrował mu uszy od rana do końca zmiany, a nawet dłużej, bo niejednokrotnie musiał Fedir zostawać na drugą zmianę — od niedawna pracował jako nastawiacz przenośnika taśmowego, niebawem pojawił się drugi przenośnik, potem trzeci i czwarty, a Fedir był na razie jedyny i mechanik Potajczuk śmiał się, że Fedir jest teraz tak samo jeden jedyny jak niedawno ich tokarka... Kierownik działu najlepiej przemawiał, słowa jego układały się jak kwiaty we wianku i Żuryło nawet mu zazdrościł tej umiejętności, bo wiedział, że nigdy się nie nauczy tak przemawiać, gdyby nawet skończył wszystkie wyższe uczelnie. Kierownik działu właśnie napisał Fedorowi przemówienie, ale Fedir nie mógł teraz sobie przypomnieć ani jednego słowa, mimo że kuł od wczoraj i wiedział dobrze, że słowa są tam tak ładnie dopasowane, że to wprost grzech zapomnieć i opuścić bodaj jedno.

Uspokoił się w końcu, odcyfrował wszystko, co było napisane, i dokładnie odczytał tekst, jakkolwiek nawet teraz nie rozumiał jego treści.

A skoro już mowa o zebraniach, to były jeszcze in-

ne, na których Żuryło znowu przemawiał i znowu miał w swych dużych dłoniach na gładko wypolerowanej powierzchni mównicy — było to już wtedy, kiedy je robiono z imitacji orzechowego drzewa — kartkę z przemówieniem. Weszło już jakoś w zwyczaj od tego pierwszego razu, że dla niego i zamiast niego ktoś pisał taką przemówienie, jakby się obawiano, że Fedir nie przemówi jak należy, zająknie się, nie potrafi się wysławić, więc głupio nie dowierając własnemu rozumowi i możliwościom, odczytywał dokładnie cudze myśli, których sens w ostatniej chwili, na mównicy, zatracił się dla niego. Tym razem nie mógł ani rusz odcyfrować czyjś pisma i przeczytać poprawnie: nie zabrał okularów i wetknięto mu w rękę tę kartkę niemal w ostatniej chwili, bo właściwie nie powinien był przemawiać — i stał oto teraz ten szanowany w swojej fabryce człowiek jak gapiowaty uczeń, stał przed dorosłymi ludźmi skonfundowany i zacierwieniony, pogardzając sobą w duchu, że jeszcze nie nauczył się przyzwoicie przemawiać na dużym zebraniu, peszył się na mównicy, jakkolwiek rozmawiając z kimś sam na sam potrafił wyrazić wszystko, co myślał. W tej takiej ciężkiej dla Fedora chwili ciszy rozległ się nagle głos z prezydium:

— Towarzyszu Żuryło, rzućcie tę kartkę i powiedzcie, co uważacie za potrzebne powiedzieć, powiedzcie zwyczajnie, po ludzku — i Fedir niemal odruchowo zmiął z gniewem kartkę, pogroził zaciśniętą pięścią komuś na sali, kto go naraził na takie publiczne poniżenie, i powiedział, co uważał za potrzebne. Fedir chciał — mówił jego własny głos — żeby do działu przychodził czasem sam dyrektor, żeby teraz jak dawniej był bodaj trochę bliższy robotnikom — tak, rzeczywiście, fabryka się powiększyła, działów jest dziesięć razy więcej, dyrektor nie musi — nie jest to wcale potrzebne

— stać przy obrabiarce i uczyć kogoś, jak szlifuje się tę czy inną część, dyrektor ma dziś większe i ważniejsze sprawy, ale niechaj nie trzyma się tak z dala od robotników, niechaj nie będzie dla setek ludzi tabliczką na drzwiach gabinetu, głosem z mównicy czy podpisem w gazecie — warto, żeby dyrektor był także człowiekiem i miał na to czas — czyż to takie niemożliwe? Jego słowa wiązały się z sobą, myśli się nie mąciły, upewniał się, że mówi o czymś potrzebnym i ważnym, dowodziła tego nie tylko cisza, twarze na sali przybliżyły się do niego, poznawał każdą, mimo że było ich teraz nie kilkadziesiąt, lecz kilkaset — klaszano, kiedy powiedział, że dyrektor — to tylko stanowisko, nie zawód, którego uczy się człowiek raz na zawsze, może się zdarzyć — alboż to niemożliwe? — że ten, co był dyrektorem, stanie na roboczym miejscu — co wtedy będzie, jak sobie poradzi z pracą i jak będzie rozmawiać z ludźmi, jeżeli umie tylko przemawiać z góry, z mównicy?...

Aktor nie mógł być świadkiem jeszcze czegoś — obecna byłam tylko ja: siedzieliśmy w gabinecie przewodniczącego komitetu zakładowego — ja, Fedir Pyłypowycz Żuryło i przewodniczący. Ten ostatni pochwalił tekst przemówienia, które napisałam dla Żuryły i starannie przepisałam na maszynie, na trzech stronicach — Fedir Pyłypowycz miał przemówić do uczestników zlotu przodowników pracy komunistycznej. Uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, przewodniczący wręczył mu tekst i powiedział, że tak właśnie trzeba — krótko, zwięźle i mądrze. Speszyla mnie ta pochwała, wstyd mi było przed Żuryłą, samą sobą i całym światem, zdziwił mnie brak taktu ze strony przewodniczącego, który wręczając Żuryle tekst, dodał jeszcze: Przeczytajcie to, będzie świetne przemówienie. Fedir Pyłypowycz uprzejmie przeczytał, skinął głową, zastanowił się

i powiedział: Rzeczywiście bardzo to ładnie, ale nie odpowiada mu, on powie to, co uważa sam za potrzebne, co sam myśli — i nie ta pani, tylko ja sam — przeprosił i tak właśnie powiedział — wiem najlepiej, jakie uczucia budzi we mnie wydarzenie, w którym wezmę udział...

Tylko raz w życiu doznałam czegoś podobnego. Po trzecim roku studiów odbywałam praktykę w gazecie obwodowej — redaktor zastanawiał się długo, jakie zadanie dać takiej smarkatej. Rzecz jasna, starałam się nadrabiać wyglądem i miną, żeby redaktor, gdyby się, okazał nawet najlepszym na świecie psychologiem, nie domyślił się, jaka jeszcze ze mnie smarkata (jakby i tak nie było tego widać) — redaktor długo się zastanawiał i wymyślił to najgorsze ze wszystkiego, co mógł wymyślić: posłał mnie do odległej spółdzielni rolnej i polecił napisać krytycznie ujęty materiał o przygotowaniach do żniw.

W wojowniczym nastroju, gotowa ratować plony, którym ponoć zagrażała beczynność przewodniczącego spółdzielni, jego przerażający brak odpowiedzialności oraz nieumiejętność kierowania ludźmi i wywiązywania się ze swoich obowiązków itd., itp., przygotowałam sobie ze dwadzieścia zabójczych, jak sądziłam, pytań, ostrych i mądrych — musiałam jakoś ukryć swoją absolutną nieznaną gospodarki wiejskiej, bo czegoż mógł mnie w tym zakresie nauczyć w ciągu sześciu miesięcy wykładowca zasad agrotechniki, które zaliczyłam zresztą bez zarzutu? Rzecz jasna, że wszystkie moje pytania były w rzeczywistości naiwne, śmieszne i standardowe jak szkolny mundurek, z którego jeszcze nie wyrosłam i nosiłam go nadal, tyle że bez białego kołnierzyka.

Przyjechałam do spółdzielni czupurna, gotowa podjąć walkę i wystrzelić w nieznanego przewodniczą-



cego cały ładunek swoich „złych” i podchwytliwych pytań, przedstawiłam się, ale przewodniczący krzyczał właśnie do telefonu i nie uświadomił sobie w całej pełni, jakie straszne niebezpieczeństwo grozi mu w związku z moim pojawieniem się, bo po chwili spokojnie zapytał: Skąd jesteś, dziewczyno? Obraziłam się śmiertelnie, oburzyłam na to poniżające „ty” i powtórzyłam, że jestem z redakcji gazety obwodowej; przewodniczący spojrzał na moje zakurzone obuwie, na mój półszkolny strój, dostrzegł wzrokiem dorosłego człowieka zmęczoną, na pół dziecięcą twarz, której usiłowałam nadać poważny i gniewny wyraz, co chyba śmiesznie wyglądało, zauważył to wszystko i powiedział: Jesteś pewnie zmęczona po podróży i chce ci się jeść — zaprowadzę cię zaraz do naszej gospody, podają tam dobre befsztyki, zjesz, a potem zabierzemy się do roboty.

A ja, głupia, naburmuszona smarkata, uznałam tę normalną i ludzką propozycję za próbę przekupienia mnie — tylko to, nic innego: nakarmi mnie, więc jak się potem odważę krytykować? Befszyk zakwalifikowałam jako łapówkę i zrezygnowałam z obiadu w takich słowach, że przewodniczący od razu się zorientował i popatrzył na mnie po raz drugi, ale już tak, że po dziś dzień pamiętam to spojrzenie. Posadził mnie na swój motor i przez cały dzień jeździliśmy razem po polnych drogach, byliśmy w fermie, wstąpiliśmy do czyjejs chaty, rozmawialiśmy z ludźmi — stwarzał okazje, w których ujawniała się cała moja niewiedza i brak przygotowania, zmusił do towarzyszenia sobie w ciągu jego całego, długiego i ciężkiego dnia pracy, byłam taka zmęczona, że waliłam się z nóg, on zaś posadził mnie na pniu zrąbanej brzozy — pamiętam to po dziś dzień — a sam wstąpił na chwilę do owej gospody, żeby coś przekąsić, ja zaś dręczona głodem

i wstydem, nie odważyłam się kupić nawet paczki herbatników — kiedy żegnaliśmy się w końcu, przewodniczący powiedział: Masz, dziewczyno, dodatek do szkolnej nauki — tak właśnie powiedział — „do szkolnej nauki”, a ja zaczynałam sobie uświadamiać, że nigdy już nie wybiorę się w podróż dziennikarską z powziętym z góry zamiarem, żeby kogoś besztać i ganić. Może był ten człowiek rzeczywiście kiepskim przewodniczącym spółdzielni — nie wiem, nie miało to już jednak żadnego znaczenia, bo okazał się dla mnie dobrym nauczycielem. Zapamiętałam tę lekcję na całe życie i przeżyłam to wszystko znowu, kiedy Żuryło — nie śmiem nazwać go tym razem „swoim bohaterem” — obrzucił mnie zupełnie takim samym spojrzeniem. Powtórzenie lekcji było równie gorzkie jak sama lekcja. Wyobrażam sobie — i niech wyobrazi to sobie również aktor — jak blisko trzydzieści lat temu do Żuryły podszedł taki sam (no powiedzmy, trochę bardziej doświadczony) dziennikarz z setką czy dziesiątkiem pytań, z pomocą których zapewne przerażał i trapił ludzi i przedtem, i potem — jak dłonie Żuryły nagle spotniały, jak wstydził się wyciągnąć rękę do dziennikarza, wstydził się, czując na sobie czyjeś spojrzenie i sam bał się obejrzeć — czy to rzeczywiście do niego, właśnie do niego przyszedł ktoś z gazety? Aparat fotograficzny, który budził nieprzyjemne uczucie, że ktoś go zamierza na czymś przyłapać, a potem dowieść dokumentem, że był taki fakt i nie ma na to rady, pytania nad którymi nie zastanawiał się dotąd nigdy: jak pan pracuje, że wyniki ma pan lepsze niż inni? jak się panu udaje uczyć się w szkole wieczorowej? — i jeszcze inne, bliźniaczo do nich podobne, wśród których brakło chyba tylko tych dzisiejszych, z intelektualnym zabarwieniem — pańska ulubiona książka? itd. — pojęcia nie miał mój młody wówczas bohater,

jak się wykręcić, jak się uchylić od tych pytań, i nawet się nie spostrzegł, jak zaczął stosować zwroty samego dziennikarza: „Tak, dokładamy wszelkich starań... moim obowiązkiem jest... z pożytkiem... ofiarna praca... dowiedzimy...”, nie widział, jak uradowany reporter szybko wodzi piórem po papierze — a powinien ten reporter przerazić się, przerwać mu, kazać młodemu Żuryło pomilczeć chwilę, powinien był powiedzieć mu jak wtedy ten ktoś w prezydium: towarzyszu Żuryło, mówcie własnymi słowami, po ludzku!

Jeszcze dobrze, że Żuryło też dostał nauczkę wtedy, gdy tak trudno mu było przemówić, bo patrzył teraz na mnie trochę potępiająco, ale ze zrozumieniem zarazem, było to dobre i delikatne spojrzenie mądrego człowieka, który mimo wszystko przemówił swoim własnym głosem, samodzielnie myśli i gotów jest myśl swoją wyrazić.

... Mógłby właściwie pojechać na wieś, do rodzinnego domu — fabryka już się w każdym razie przybliżyła do tej wymarzonej, zaplanowanej, a Żuryło ma wycięty z gazety artykuł o nim ze zdjęciem. Nawiasem mówiąc, będzie długo zbierać te wycinki, dziwiąc się za każdym razem, jak mało podobny jest do siebie w relacjach ludzi, którym starczyło pół godziny, by uwierzyć, że wiedzą o nim wszystko, że mogą o nim sądzić i opowiadać wszystkim na świecie — w końcu zbrzydło mu magazynowanie tych gazet, a w jego zachowaniu pojawił się odcień ledwie dostrzegalnej ironii, czego nie było dotąd ani śladu.

Tak, mógłby pojechać do domu, na wieś — cóż, że nie w modnym garniturze, jeszcze bez samochodu i telewizora, zawszeć jest szanowanym człowiekiem, ma dobry zawód, dobrze zarabia, wie teraz o wiele więcej o świecie i ludziach — mimo to nie jedzie do domu i nie chciałby, żeby pojawiła się tu, w mieście,

matka, chociaż sniła mu się nieraz w tej izbie z różnymi wymalowanymi na ścianach postaciami. Wie, że matka żyje, że jest zdrowa — spotykał się z przyjeżdżającymi do miasta ludźmi z ich wsi. Pewnie opowiadali matce o synu, było w tym trochę prawdy, a coś niecoś dodawali, ona zaś odżegnywała się od niego, że niby nikogo takiego nie zna, nie ma żadnego syna w mieście; matka pracuje w spółdzielni, nieźle jej się wiedzie — ale syn nie przyjeżdża, zacięty, niedobry syn, nie może zapomnieć i przebaczyć, że go nie pobłogosławiła na drogę (rób, jak uważasz, ale dobrego słowa na pożegnanie nie usłyszysz). Fedir ma już najcięższe czasy za sobą, podobnie jak fabryka, teraz było już jasne, że wszystko jest w porządku, że nie popełnił błędu w życiu i mógłby wybaczyć, milczą jednak oboje i nie potrafią się do siebie zbliżyć. A może on jest taki zatwardziały? I nie nauczyło go miasto przezwyciążania w sobie dumy? Idzie w końcu na pocztę i posyła matce pieniądze — nie wracają, ale nie ma również ani słowa odpowiedzi. Syn mógłby kupić ładną chustkę, materiał na sukienkę czy ciepłą koldrę, nie chce się jednak zdradzać ze swoimi uczuciami, dość że wysyła, właściwie anonimowo, pieniądze. Matka je odbiera jako należny jej zwrot długu za chleb, który jadł syn w dzieciństwie, albo jako dowód, że przyznaje się Fedir do winy, nie odpowiada mu jednak ani słowa, i syn zdaje sobie wreszcie sprawę, że go to boli. Boli tak samo jak wtedy, kiedy wyruszył w drogę bez matczynego błogosławieństwa.

Czy miał chęć opowiedzieć komuś o tym? Poskarżyć się, wysłuchać słów pocieszenia lub współczucia? Może nie umiał opowiadać o takich rzeczach? I czy nie ten właśnie ból podpowiedział mu potem, po wielu latach, że trzeba przyjąć do swego domu to zasmucone, zabłocone i mokre od deszczu dziewczętko, które przy-

szło do jego syna ze swoim bólem? Nie napomknął ani słowem, czy tak sobie wyobrażał żonę syna, przyjął ją, jak przyjąłby własną córkę po długiej nieobecności, a przebaczał jej więcej, niż wybaczyłyby własnemu dziecku. Kiedy nagle stwierdzał, że między synem i synową rodzi się jakieś napięcie, jakieś nieporozumienie czy sprzeczka, próbował to załagodzić niepostrzeżenie, jakby się w ogóle nie wtrącając do ich spraw.

Gdyby go można było zapytać teraz o to! Ale dość tych pytań — Żuryło zaprosił nas na kolację, aktor zgadza się skwapliwie, mnie też nie wypada się wymawiać, nasza rozmowa — rozmawiamy, albo uparcie i wytrwale milczymy, przy czym każde z nas na swój sposób rozważa jedno i to samo, i może dlatego nam się zdaje, że rozmawiamy — trwa nie tak znów długo czy może strasznie długo, może najwyższy czas odejść, przekroczyliśmy już wszystkie wytknięte przez dobry ton granice, chyba rzeczywiście pozwalamy sobie na coś niedopuszczalnego, bo jeżeli chodzi o tamto, z Wasyłyną, był to tylko domysł, a teraz poruszamy coś, co działo się w rzeczywistości — czy też może wcale nie było i jest również domysłem? A co wtedy ze wszystkim pozostałym?

Dziewczęta miały za kilka dni wrócić z Moskwy, w dziale postanowiono powitać je uroczyście i nawet przygotowano podarunki — dziewczyny, które zostały we Lwowie, szyły dla koleżanek nowe bluzeczki, wcale nie takie strojne, ale zawsze z cieńszej tkaniny niż bluzy wojskowe.

Raisa w tej bluzce wprost cała jaśniała, jej jasne włosy skręcone w drobne kędziorki spadały na ramiona. Fedir sam nie wiedział, co się z nim dzieje — nie odpowiedział dziewczynie na tamten list, bał się, że jego odpowiedź wyda się głupia albo śmieszna, przychodziło mu do głowy, że może dziewczęta zażar-

towały sobie z niego, napisały ten list wszystkie razem i będą sobie pokpiwać z jego naiwności. Słowem, różnie myślał i nie odpowiedział, a teraz Raisa stała przed nim w białej bluzce i pytała, dlaczego wyrządził jej taką przykrość i nie napisał ani słóweczka — widać było zresztą, że od razu mu przebaczy, byle tylko jakoś się wytłumaczył.

Opowiadała o Moskwie; jak wiele się tam dziewczęta nauczyły i powiedziała jeszcze, że wkrótce moskwianie przyjadą tu, do nich i pokażą już na miejscu, jak obsługiwać nowy sprzęt. Opowiadała także, że chodziła w Moskwie do teatru i nagle, zupełnie niespodzianie zaproponowała Fedorowi:

— Chodźmy do teatru, dobrze? Do opery!

Nie był tam jeszcze ani razu, nawet nie bardzo rozumiał, co to właściwie znaczy — opera, widział tylko piękny gmach, ale w jego wnętrzu nigdy nie był, wiedział także, że pewnie kosztowałoby to dużo, a pieniędzy zwykle mu brakowało.

Można je było zdobyć różnymi sposobami. Fedir znał nawet jeden taki sposób poza uczciwym zarobkiem, ale nie odpowiadał mu ten sposób w żadnym wypadku, starał się o tym nie myśleć, lecz myśl wracała uparcie raz po raz. Nie powiedział dziewczynie ani tak, ani nie; udawał, że zapomniał o jej prośbie, ona zaś także niby to nie pamiętała, albo może дума nie pozwalała jej przypominać mu o tym.

Produkowała wówczas fabryka pewne deficytowe detale, które bardzo drogo sprzedawano na czarnym rynku — nic prostszego, trzeba tylko przejść koło wartownika w portierni, a byli tacy wartownicy, z którymi można się było umówić i podzielić się potem zyskiem — byle tylko przejść i wynieść, bo dobrze sprzedać — to już bagatela, i można potem pójść do teatru, można poczęstować dziewczynę, można sobie

kupić nowe buciki, można kupić... kupić... Byle tylko wyciągnąć rękę, byle ukradkiem schować detal, i z obojętną miną postać chwilę koło wartownika, który nie zawsze i niekoniecznie każdemu przeszukuje kieszenie...

Pokusa nie odstępowała go, wprost przylgnęła do chłopaka, który opędzał się i znowu słuchał jej podszeptów, wstydził się swoich myśli i jednocześnie nie mógł nie myśleć.

— Więc wziął pan w końcu te detale czy co tam?  
— zapytał zniecierpliwiony aktor.

Jakby dopiero teraz zdemaskowany Żuryło zatrzymał się nagle na środku pokoju, który przemierzał dotąd wolnym krokiem, i spojrzał na aktora. Ten jakby wiedział już z góry wszystko, wydawało się, że chce tylko usłyszeć przyznanie się do owego faktu, albo ciekaw jest, jak człowiek będzie przy tym wyglądać, gdy poinformuje o tej dawnej historii z odcieniem pobłażliwości w głosie, że niby było to tak dawno! Byliśmy wówczas nie tylko kiepsko ubrani i nie mogliśmy zaprosić dziewczyny do teatru, byliśmy jeszcze głodni — alboż takie wielkie to nieszczęście — trzy małe detale, i mimo to Żuryło wraca na próg portierni, pod wyblakły kartonowy szyld fabryki, wraca na ten próg i znowu go przestępuje, i jeszcze raz wraca, i jeszcze... czyż nie zapomni już nigdy, jak wartownik skinął mu głową na pożegnanie — robotników było w owym czasie nie tak wielu, wartownik mógł się przywitać i pożegnać z każdym, podobnie jak mógł to wówczas zrobić także dyrektor — Żuryłę wartownik znał tak dobrze, że ani myślał go rewidować, gdy chłopak wychodził z fabryki, a przez to właśnie wina wydawała się jeszcze większa, gnębiła jeszcze bardziej, bo Żuryło na to właśnie liczył w głębi duszy, że wszyscy mu ufają, że nikomu nie przyjdzie do głowy obszukiwać

go — może byłoby lepiej, gdyby mu odebrano owe detale?

— Mimo wszystko poszedł pan za te pieniądze do teatru? — bezlitośnie dopytywał się aktor.

Poszedł, pewnie, że poszedł za te pieniądze do teatru, z Raisą Petrową, nie pamięta zresztą ani treści przedstawienia, ani jakich doznał wrażeń, zapamiętał jakoś tylko swoje stare, łatane buciki, które jakby oderwane od niego, oddzielone, stały pod białą kolumną teatru, pamiętał wojskowy płaszcz Raisy, którym na ulicy okryli się oboje; bo spadł deszcz.

Syn Żuryły stał oparty o futrynę — widocznie była to rzeczywiście jego ulubiona poza — i palił papierosa. Słuchał naszej rozmowy i uśmiechał się. Dżinsy ciasno opinały jego długie i szczupłe nogi, jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej ścisnął papieros, a uśmiech jego był odrobinę pogardliwy i nieufny — tak właśnie powinien się uśmiechać syn, który stoi i przysłuchuje się, jak ktoś wypytuje jego ojca o takie dawne i niemal już nierealne sprawy. Pomyślałam, że nie jest to rozmowa dla synowskich uszu, po co ma wiedzieć o ojcu takie rzeczy? Nie wiadomo, czy rozmawiali kiedyś na ten temat i jak syn oceni teraz to wszystko. Tym bardziej, że brak mu ojcowskiej tolerancji. Ciekawe, co w związku z tym powie?

— Słowem — problem, prawda, tato? — zapytał. — Więc dotychczas sobie nie wybaczyłeś? Co za dziwny z ciebie człowiek — nie wybaczyć sobie takiej bagateli! A co mogłeś zrobić innego — musiałeś przecież pójść do teatru, jeżeli dziewczyna sama zaproponowała. Dziwne, że nie powiedziałeś publicznie, jakim fałszywym człowiekiem jest Trawianko, pozwalałeś mu perorować z mównicy, wygłaszać komunały, w które ów Trawianko wcale nie wierzył — co znaczą te trzy detale w porównaniu z dwulicowością społeczną, fałszy-



wą demagogią, oszczerstwami, które rzucał Trawianko na waszego mechanika!

O tych oszczerstwach nie wiedziałam. Widocznie chłopak był lepiej poinformowany o różnych sprawach ojca, pożałowałam, że nie udało mi się jakoś nawiązać z nim kontaktu i dowiedzieć się czegoś także od niego.

Żuryło uśmiechnął się przepraszająco:

— Przepraszam, syn jest taki zapalczywy. Spieramy się o to od dawna.

— I nigdy nie będzie temu końca — powiedział syn.

Hm, nie będzie temu końca. A gdyby tak opowiedzieć Bohdanowi (tego nie wie z całą pewnością), jak pewnego razu zimą, podczas trzeciej zmiany, kiedy Żuryło ledwie się już trzymał na nogach i niemal zasypiał, usłyszał nagle przed świtem, że jego Raisa wzywa na pomoc, słów nie rozróżniał, wyczuł tylko przeżalenie, strach w jej głosie — jeden taki drań chciał siłą... no, powiedzmy, zdobyć jej względy, i Żuryło bił go pięściami z całej siły, a ten obrzydliwiec miał jeszcze śmiałość powiedzieć: Wiem, że ona robi to z każdym, te dziewczuchy w wojskowych płaszczach, czyż nie pocieszały na wojnie żołnierzy, a teraz udają cnotki. Dziewczęta to usłyszały, Żuryło cofnął się i palcem nie kiwnął, słowa nie powiedział, kiedy te dziewczuchy z wojny całą gromadą biły gwałciciela do utraty przytomności w zimnej hali fabrycznej o świcie — człowiek ten dotychczas pracuje w fabryce. Zapomniał Żuryło o tym wydarzeniu czy nie?

— Spieramy się od dawna — powtórzył ojciec. — Niepotrzebnie się teraz wtrąciłeś synu, to moja sprawa.

— Słusznie, twoja. Więc niechaj inni będą tacy jak ty. Bo na ogół starsi pozują zwykle na świętych, nieomylnych, szlachetnych, kryją się przed nami ze swoimi niewłaściwymi postępkami i błędami, popisują się tylko pięknymi czynami, a nam zarzucają różne grze-

chy i nie przychodzi im ani razu do głowy, że wszystkie te grzechy sprowadzają się do tego jedynie, czym my różnimy się od nich.... At, stara to piosenka, wieczna, musiałem jednak powiedzieć to wszystko, bo mój ojciec nie może sobie wybaczyć tych trzech detali!...

— A czy ma pan jakieś pretensje do ojca?

— Pretensje? Ależ nie, żadnych pretensji! Jest jednym z tych ojców, którzy ani jednym słowem nie przypominają dzieciom o swoich dobrych uczynkach. Nie przyprowadził do naszego domu drugiej żony, kiedy matka umarła, bo uważał, że jeżeli jakaś kobieta zastąpi mu może żonę, to mnie nie zastąpi nigdy matki. Bawił się ze mną klockami i nauczył mnie jeździć konno — niech pani spróbuje znaleźć w mieście dziesięciu chłopaków, którzy jeżdżą konno! Tato oddał mnie do szkoły, w której na lekcjach prac ręcznych dzieci w drugiej klasie robią samochody lub inne zabawki nie z wystruganych pałeczek, lecz z elementów kupionych w sklepie dla majsterkowiczów. Dobra, może tak właśnie trzeba, ale dlaczego potem nasi ojcowie, szturchając nas palcem w plecy, powtarzają: „Sybaryci! Obojętne, syte pokolenie! Bo my...” Wcale nie jestem sybarytą. Przyprowadziłem do domu swoją dziewczynę i wiedziałem, że ojciec pozwoli mi to zrobić, moja dziewczyna właściwie nie miała domu — nie zmusiłem jednak ojca, żeby nas oboje utrzymywał. Po prostu przenieśliśmy się na studia wieczorowe i zacząłem pracować. Nie ma we mnie sybarytyzmu. A skoro taki jestem fajny, niech mi pani wytłumaczy, dlaczego mój tata podejmuje się szkolić nicwartów i najgorszych chłopaków, jacy trafiają do fabryki, czemu stara się ratować ich przed konsekwencjami, kiedy wplątują się w różne historie, łobuzują i piją, czemu gotów jest wziąć ich w obronę, ale kiedy ja pozwoliłem sobie powiedzieć pewnemu wykładowcy naszej

uczelni, co myślę o jego wykładach, i omal nie wyrzucano mnie z uczelni, tata palcem nie kiwnął, żeby mi dopomóc. Myślałem, że mam wszechmocnego tatę, że wszystko może i wszystko dla mnie robi. Tak się cudownie czułem za jego szerokimi plecami i ni z tego, ni z owego odmówił mi pomocy, mimo że miałem rację i nie jestem wcale jednym z takich chłopaków, co mogą się pobić po pijanemu z tak samo podpitym kumplem. Ojciec zaczął mi tłumaczyć, że nie należało podkopywać autorytetu... Wciąż te trzy detale! Dlaczego nie potrafi ich zapomnieć nawet teraz, kiedy pozostaje w fabryce, w której jego dział jest już prawie nieczynny i jego praca — niemal niepotrzebna, dlaczego zostaje w charakterze eksponatu historycznego, jeżeli mógłby zostać brygadzystą w nowym przedsiębiorstwie.

Student zaczął zadawać pytania, ale wolałabym, żeby raczej odpowiadał na moje — niechby już poszedł do swego pokoju i zaczął przygotowywać się do zajęć, jeżeli nie poszedł już dziś z jakiejś przyczyny na wykłady.

— Rozumie pani, wszyscy mogli sobie pozwalać na wyskoki, popełniać błędy i zapominać o nich, tylko mój ojciec nie chce sobie na nic pozwalać!

Nie ulega wątpliwości — chłopiec z całą pasją i boleśnie reaguje na wszystko, co dotyczy ojca, kocha go, co wiedziałam już zresztą wcześniej, ale teraz się upewniłam.

— Synu, dlaczego każesz ludziom rozstrzygać sprawy, które sam już sobie rozstrzygnąłem?

— Przecież sami mają chęć rozstrzygnąć zamiast ciebie jak najwięcej problemów — roześmiał się chłopiec. — Przecież widzisz, że znowu chcą zrobić z ciebie bohatera, szukają odpowiednich ram, odpowiednich barw, jakichś faktów i nie mogą znaleźć nic, co by

dowodziło twojej niezwykłości. Chcę im dopomóc, czyż nie rozumiesz? Przecież to takie ciekawe — człowiek, który za nic na świecie nie chce sobie przebaczyć takiej dawnej, śmiesznej przewiny. Albo człowiek, który nie pomaga własnemu synowi, gdy ten znalazł się w trudnej sytuacji. Czy człowiek, który nie sprzeciwia się ani jednym słowem, kiedy pod jego dachem pojawia się młoda osoba pretendująca do stanowiska synowej i już w pierwszym dniu zaczyna łamać cały układ życia i tego człowieka, i jego syna... Poczekał, zaraz przypomnę coś z serialu „bohaterskiego”. Pamiętasz, opowiadałeś mi raz, że mieliście kiepski surowiec i wazną produkcję brakowano, a potem przyszedł nowy transport potrzebnego surowca — nie pamiętam, co to było — i wtedy jednej z najlepszych, przodujących brygad zaproponowano pracę na trzeciej zmianie, po raz drugi w ciągu doby. Przodownicy odmówili: jutro — owszem, z samego rana jak zwykle, ale w nocy — nie, nawet za podwójne wynagrodzenie. Zebrałeś wtedy ludzi ze swojej brygady, a pracowaliście już piątą dzień na trzeciej zmianie, i mimo to poszliście znowu, nawet magazynierka próbowała wam pomagać, po raz pierwszy zabrała się do roboty, jakiej zupełnie nie znała, a potem została już u was, prawda? A dziewczęta z brygady młodzieżowej zrobiły sobie święto — były urodziny jednej z nich, czy też wymyśliły to sobie po prostu. Chciano je ukarać, ale przecież próbowałeś nawet jakoś usprawiedliwić ich postępek, bo zawsze znajdziesz usprawiedliwienie dla wszystkich oprócz siebie... i oprócz swego syna, prawda? Nie opowiedziałeś mi zresztą, czym się skończyła ta historia, pamiętam tylko, że czekałem na ciebie całą noc — nawet mnie wtedy nie uprzedziłeś, że zostajesz na trzecią zmianę. Bohdan teraz już patrzył na mnie: — Przyda się ten

szczegól do portretu ojca, który zamierza pani namalować?

— Będzie najlepiej, jeżeli rzeczywiście pójde przyrzadzić kolacje — powiedzial Żuryło. — Mój chłopak chce się popisać krasomówstwem — nie zabraniam mu tego.

Chłopiec usiłował uporządkować fakty, ale w rezultacie wszystko mi się pomieszało; chciałam wrócić do tego dnia, w którym Fedir Żuryło stanął w drzwiach swego rodzinnego domu wraz z młodą żoną — zmusił się do tego kroku, albo może Raisa chciała sama poznać matkę Fedora i nie czekała, żeby ta przyjechała do niej, lecz jako młodsza pojechała sama.

Ciekawe, dlaczego później już się nigdy nie spotkały, dlaczego stara Żuryłycha nie przyjechała do miasta nawet wtedy, kiedy Fedir został sam z małym dzieckiem? Może czuła się już zbyt stara i słaba, żeby zmienić tryb życia i pomagać synowi w wychowaniu wnuka? Ciekawe, czy robiła sobie w duchu wyrzuty, że taka jest niezdolna, czy też sądziła, że nie powinno być inaczej?

Bohdan obejrzał się na ojca, a kiedy ten zamknął drzwi od kuchni, powiedział cicho, wprost błagalnym szeptem:

— Wie pani... proszę... żeby nie robiła pani z niego bohatera. Nie uda się to pani. Wiem z pewnością, że się nie uda. Przez całe życie wszyscy dokoła próbowali robić z niego bohatera. Myślę czasem — po co to, na co? Ojciec nie należy do ludzi, którzy chcą pozostawić potomkom swój upiększony portret. Jeżeli potomkowie uwierzą, no cóż, dwie-trzy takie sfalszowane twarze — nic strasznego, świat się przez to nie zmieni. Gorzej, jeżeli nie uwierzą i zaczną zeszkrobywać z wierzchu farbę, a pod nią ukaże się portret prawdziwy.

### **Aktor:**

Wygłasza pan bardzo kategoryczne sądy, młody człowieku. Każde pokolenie tworzy sobie bohaterów — w różny sposób i różnych bohaterów. Z czasem sam się pan o tym przekona. Tworzenie bohaterów — to nie przymus, lecz czysto ludzka potrzeba i pragnienie, jak potrzeba piękna czy miłości.

Wywiązująca się dyskusja oddalała mnie od mego głównego zadania, chciałam przecież, żeby aktor poznał mego bohatera. Właściwie nie miałam już teraz najmniejszej chęci używać słowa bohater, coraz bardziej dręczyło mnie uczucie, że zupełnie nie znam człowieka, którym interesuję się od dawna i szczerze, przekonałam się, że mogłam wyrządzić temu człowiekowi przykrość, pragnąc i usiłując poznać go jak najlepiej. Aktor natomiast nie żywił żadnych wątpliwości, widocznie gra podobała mu się coraz bardziej, gdy ja nie uważałam tego za grę, zadawałam sobie znowu pytania — czy mam prawo i skąd się takie prawo bierze, czy mam prawo pytać, wyjaśniać i — pisać?

Żuryło wysunął przez uchylone drzwi głowę i zawołał syna:

— Chodź, mój drogi, pomożesz mi! Bardzo przepraszam, że zabieram państwu takiego nieprześcignionego mówcę... I po kim właściwie odziedziczył ten talent?

— Tata! — zachnął się syn, ale wyszedł.

### **Aktor uśmiechnął się do mnie:**

Pewnie się pani boi, że teraz zrezygnuję, bo nie jest to rola dla mnie, prawda?

### **Zdziwiłam się trochę:**

Więc się pan domyślił... Rzeczywiście trochę się zlekłam, bo co robić, jeżeli pan zrezygnuje? Co więcej, rola nie zarysowuje się w gruncie rzeczy. Nie ma żad-

nego materiału, brak kanwy czy czegoś tam jeszcze, prawda?

**Aktor:**

Zarysowuje się rola, zarysowuje, chociaż widzę ją może inaczej niż pani. Piękna rola, ani myślę z niej zrezygnować, gdyby pani nawet tego nie chciała i sama się wycofała. Widzi pani, szukała pani różnych możliwości, nie wiedziała, czym mnie rzeczywiście zainteresować, dobierała pani barwy, szczegóły, fakty — niech to pani nazwie, jak się pani podoba z pomocą swoich terminów literackich — wybierała pani to, co wydawało się pani szczególnie warte uwagi, ja zaś widziałem takie rzeczy, które interesujące były dla mnie... Wie pani, najciekawsze było, jak uczył się przemawiać — to z jednej mównicy, to z drugiej, uczył się przemawiać... Pamięta pani, jak rozmawiał ze swoją matką, a jak teraz, tutaj rozmawia z nami! Powiada pani, że pani bohater nie zna Shapleya i Feuerbacha — tak, nie zna, ale ma pewną cudowną zdolność... Chodzi mi o pewną małą i bardzo zwyczajną rzecz — nie wyrzekł się samego siebie. Mniejsza, że nie może sobie wybaczyć owych trzech detali, rzecz najważniejsza, że nie zaparł się siebie, tego chłopaka, co odważył się w czterdziestym piątym roku wynieść z fabryki te trzy detale, człowiek nie tylko się postarzał, lecz także wyrósł i mimo to nie wyrzekł się siebie. Dyrektor, który zapomniał drogi do hali fabrycznej, wyrzekł się siebie przed laty, ten zaś człowiek niesie w sobie swoje ja zawsze, a ciężar to nielekki — tak jest; wszystko to zaobserwowałem sam dla siebie, i dlatego nie rezygnuję z roli. To właśnie mój temat — wierność samemu sobie, to mój temat i nawet pani nie wie, że doprowadziła mnie pani do tego tematu — i akurat w takim ujęciu: człowiek wierny sam sobie. Proszę sobie przy-

pomnieć, bo może nawet nie zauważyła pani, jak przez cały czas była o tym mowa — mówiła i dziewczynka, która żyje w dorosłej kobiecie, i ojciec Anheliny, który, zatracił swoją przeszłość, pamięta pani? A ten — w modnym garniturze, wśród wszystkich tych rzeczy, tych nietrwałych nowoczesnych mebli, telewizorów, nagrań magnetofonowych, przy kierownicy samochodu pozostaje tym samym chłopcem, który opuszcza dom, pragnąc zobaczyć świat i nawet tego nie dostrzegając, sam przeobraża oblicze tego świata — zauważyła pani, że przeobraża oblicze miasta może nawet bardziej niż miasto przeobraziło jego? Sądzi pani, że nie mam racji? Spróbuję panią przekonać, co jest już w mojej mocy, gdyż powierzyła mi pani rolę.

— Proszę, kolacja czeka — powiedział pan domu, lekko skinąwszy nam głową i zapraszając gestem do sąsiedniego pokoju.

Stół był nakryty ładnie i gustownie, widocznie do rytuału wieczerzy przywiązywano tu szczególne znaczenie — mogli wtedy wszyscy razem posiedzieć rozmawiając lub milcząc. Rekwizyty, dekoracje — jak nazywa to wszystko mój nowy znajomy, ten oto aktor, który znieruchomiał na swoim krześle i wodzi dokoła uważnym spojrzeniem, robi to jednak tak dyskretnie, że wydaje się, jakby rozkoszował się jedynie przecuciem smacznej kolacji, bo przegłodził się i zamierza jeść z wyraźnym apetytem, podobnie jak pan domu i jego syn. Mnie nie chce się jeść ani trochę, zastanawiam się wciąż jeszcze nad słowami aktora, które ucieszyły i zasmuciły mnie zarazem, gdyż wytknęłam sobie cel zupełnie inny, chciałam wskazać aktorowi coś zupełnie innego i inaczej wyobrażałam sobie tę rolę, jaką kształtował na swój sposób wbrew mojej woli.

Pogrążona w rozmyślaniach zwracałam jednak



uwagę na ich słowa i uśmiechy, czułam, że aktor usiłuje zapamiętać każdy ruch mego bohatera i aż się nagle przestraszyłam — bo jakbym pozwoliła komuś dotknąć ludzkiej duszy, jakby tę duszę trochę okradano, coś jej zabierano bezustannie, i bezwstydnie przyglądając się jej odruchowo, wsłuchując się w jej oddech. Też mi pomysł — czyż można w ten sposób okraść duszę, bodaj trochę ją zubożyć? Dotykając czyjeś duszy sami się niejako wzbogacamy, nie czyniąc jej biedniejszą, ale czy dajemy jej coś z siebie, czy korzyść jest tu obopólna — niechaj mi przebaczy aktor takie rozumowe podejście do subtelnych spraw ducha.

Wyobrażam sobie, jak podawała wieczerzę stara Żuryłycha — czy w tym, co widzę tu teraz, pozostał jakiś ślad jej czynności? Co tam było do jedzenia owego wieczoru, kiedy zanocowali u niej ludzie ze Lwowa, tego wieczoru, kiedy zaszła taka gwałtowna zmiana w życiu Żuryłychy i jej syna? Kartofle, całe, okrągłe jak mała ziemská kula i gorące jak ogień? Kawalek słoniny? Ogórki? A z rana — garnuszek ciepłego, przed chwilą wydojonego mleka.

Strój, jedzenie, rzeczy, rozmowa — budowa zdań, akcenty, intonacje, nawet nie to, o czym się mówi, lecz, jak się mówi — wszystko to jest też bardzo ważne, również dla aktora, bo czyż nie ma w tym jakiegoś rysu czy znaku wskazującego na coś ważnego?

Strój okrywa ciało, słowo — duszę. Strój odsłania — tak, odsłania coś w nas i tak samo słowa coś o nas komunikują wbrew naszej woli. Teraz trzech mężczyźni rozmawiali przy kolacji o piłce nożnej. Dowodziła ta rozmowa, że po pierwsze trzech mężczyźni interesują się tym rodzajem sportu, a po drugie, że nie uważają za stosowne kontynuować przerwanej przed kolacją sprzeczki i udają, jakby o niej zapomnieli.

Ja zaś wyobrażałam sobie z kolei, jak stara Żuryły-

cha, ledwie powłócząc nogami, idzie z pola do domu. Poczwała, że robi się jej słabo, ale nie poskarżyła się nikomu i szła do domu sama, nikogo przy niej nie było, przypomnially się jej dawno już zrąbane wierzby Korczakowskie — nie było po drzewach ani śladu, nie, tylko równe, zorane miejsce, ale nazwa — wierzby Korczakowskie — pozostała. Niegdyś ludzi wracających wieczorem z pola wodził tu bies po błędnych drogach. Aż do świtu znęcała się nad nimi siła nieczysta, chodzili w kółko i do domu trafić nie mogli. Jedna młoda kobieta pewnego razu dopiero wtedy wydostała się spod tych wierzb, kiedy słońce zajaśniało i ludzie ruszyli w pole. Kobieta nie wróciła już do domu, tylko poszła ze wszystkimi, a po drodze opowiadała szczegółowo, jak szła i widziała w dali światełka, jakby się w chatach paliły, kierowała się na te światełka, ale kiedy się przybliżała, przekonywała się, że zapuszcza się coraz głębiej w las, aż zawędrowała w końcu na bezdroże, taki strach ją ogarnął, myślała, że od tego posiwieje — zdjęła chustkę z głowy i pytała ludzi, by się upewnić, czy nie posiwiała. Włosy miała jednak nadal czarne jak smoła, nikt nie zauważył, by przeżycie pozostawiło na niej jakiś ślad — nawet niektórzy wątpili, czy powiedziała prawdę, bo widzieli ludzie, że Iwan, syn Korczaków, których chata stała nie opodal wierzb, też wracał do domu o świcie, tylko nikomu się nie skarżył, że go bies w kółko wodził.

Stara Żuryłycha szła pod tymi nie istniejącymi wierzbami do domu, włokła swoje strasznie obolałe i niemal już jej nieposłuszne ciało, dotarła do swego podwórka, kiedy było już ciemno, i upadła, a potem czołgała się, opierając się o ziemię rękami, łokciami i kolanami, chciała się doczołgać do chaty, żeby umrzeć jak człowiekowi przystało — nie pod chatą, lecz w chacie, żeby jej ręce skrzyżowano na piersiach.

Straciłam już rachubę czasu, ale czułam, że nie wypada pozostać w tym domu dłużej, czego chyba nie odczuwał w ogóle aktor i wcale nie myślał odejść. Przemknęła mi nawet przez głowę fantastyczna myśl — może zamierza osiąść tu na zawsze, nie potrzeba mu żadnej roli, tylko przytułku, cichego kąta i niezawodnych przyjaciół — i oto znalazł ich przypadkowo i nigdy się z nimi nie rozstanie. Ciekawe, co by powiedzieli Żuryłowie na ten fantastyczny plan?

Aktora zaczęłam powoli uważać za uczestnika wydarzeń, innymi słowy, próbowałam już sobie wyobrazić, jak właśnie on, a nie prawdziwy, rzeczywisty Żuryło, rozegra ten czy inny epizod i obawiałam się, że sfalszuje. Możliwe, że bał się tego sam aktor i dlatego chciał się wżyć w ten dom, w ten wieczór i rozmowy.

Dzwonek telefonu niczym jeszcze jeden interlokutor wtrącił się do rozmowy niespodzianie, ale, jak sądzę, w samą porę. Syn mego bohatera (może już nie mego, a może wcale nie bohatera?) podszedł do telefonu, a Żuryło-ojciec zwrócił się w tamtą stronę — jakie szerokie, wprost potężne plecy, nie widać za nimi wcale ani mnie, ani aktora, może wcale nas teraz nie ma w tym pokoju? Obaj wsłuchują się w głos w słuchawce telefonicznej, głos dociera do uszu i świadomości ich obu, mimo że Żuryło-ojciec nie może słyszeć słów rozbrzmiewających w telefonie, odczytuje je jednak z twarzy syna. Bohdan kładzie słuchawkę na stole obok butelki z winem i popielniczki, i mówi na pół nieprzytomny:

— Syn. Powiedziano, że wszystko w porządku. I że syn.

**Aktor:**

Grać trzeba będzie w pocie czoła. Przecież ten czło-

wiek nieraz prał przepoconą koszulę. Mokrą od potu i zmęczenia.

**Powiedziałam:**

Chyba już pójdziemy? Najwyższy czas. Zadanie swoje wykonaliśmy, możemy iść.

**Aktor odpowiedział:**

Trzeba iść, oczywiście. Ale praca dopiero się zaczyna. W każdym razie ja muszę zacząć jutro wszystko od początku.

**Syn powiedział:**

Pojadę teraz tam, do niej.

Nie umiał jeszcze mówić — do nich, więc powiedział — do niej.

**Ojciec się nie zgodził:**

Śmieszne, po co jesteś tam teraz potrzebny? Obudzę cię o świcie i pojedziesz.

**Syn:**

Nie, muszę jechać teraz. Anhelina czeka na mnie.

**Ojciec:**

Spokojnie, nic im teraz nie trzeba. Nawet ty nie jesteś im teraz potrzebny. Obudzę cię o świcie i wtedy pojedziesz.

**Syn:**

Dobra, obudź mnie. Tylko koniecznie. Zresztą, pewnie nie zasną.

Nikt już nie zwracał na nas uwagi, więc mogłam się przysłuchiwać i usłyszeć nawet, co mówiła Anhelina.

**Anhelina mówiła:**

Mój świat rozpadł się na dwie części. Rozpadł się na dwie części mój świat z bólem, krwią, krzykiem, ale — z nadzieją. Będę teraz wiedzieć, co to znaczy nosić świat w sobie i co to znaczy, że mój świat dzieli się na dwie części...

Kiedy wychodziliśmy, otworzyły się drzwi jeszcze jakiegoś pokoju i zobaczyłam wiszący tam na ścianie duży, stary i piękny kilim. Trzy duże czerwone kwiaty wychylały się ze zwojów zielonych liści i giętkich łodyg — trzy czerwone kwiaty na czarnym tle na każdej z trzech ścian w pokoju. Przez chwilę widziałam ten kilim — drzwi zamknęły się od razu i nie mogłam się przekonać, czy rzeczywiście zobaczyłam kilim, czy mi się przywidziało, żeby przypomnieć mi ów wyrzut, że o tym jeszcze nic nie napisano.

**Aktor ciężko schodził za mną po schodach i cicho mówił:**

— Byłoby dobrze, gdyby także mnie obudził ktoś jutro o świcie. Pracy będzie dużo.

## SPIS TREŚCI

Biała Wiła . . . . .	5
Kwiecień w czóźnie . . . . .	41
Kilim w trzy kwiaty tkany . . . . .	140

### ERRATA

Str.	Wiersz od góry	Jest	Powinno być
24	6	nie chciało jej się śmierć	nie chciało jej się śmiać
41	4	rokoszowali się	rokoszowali się
98	10	za ściany	za ścianą

Nina Biczuja *Kwiecień w czóźnie*, Lublin 1981

Redaktor  
JADWIGA BIAŁOWAŚ

Redaktor techniczny  
MAREK ŁOŚ

---

WYDAWNICTWO LUBELSKIE . LUBLIN 1981

Wydanie I. Nakład 6728+272 egz. Ark. wyd. 10,8.  
Ark. druk. 15. Pap. offset. sat. kl. V, 90 g. 82×104  
cm. Oddano do składania 13 VIII 1980 r. Podpisano  
do druku w styczniu 1981 r. Druk ukończono  
w styczniu 1981 r. Cena zł 34.—

---

Druk: Rzeszówkie Zakłady Graficzne. Rzeszów  
ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 2297/80 K-8-195

Cena di 34.--



169/148

Cena zł 34,-

18505

WYDAWNICTWO LUBELSKIE